



BRYAN REARDON

Poszukiwanie

Chwytająca za serce powieść o wierze,
sile i odwadze, miłości i zwątpieniu

Prószyński i S-ka

BRYAN REARDON

Poszukiwanie

Przełożył
Jan Hensel

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału

FINDING JAKE

Copyright © 2015 by Bryan Reardon

All rights reserved

Projekt okładki

Wojciech Wawoczny

Wawoczny (Wojciech Wawoczny)

Zdjęcie na okładce

© altanaka/Shutterstock.com

Redaktor prowadzący

Monika Kalinowska

Redakcja

Lucyna Łuczyńska

Korekta

Sylwia Kozak-Śmiech

ISBN 978-83-8097-459-3

Warszawa 2016

Wydawca

Prószyński Media Sp. z o.o.

ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa

www.proszynski.pl

Z bezbrzeżną miłością

wiąże się bezbrzeżny niepokój...

Dla Lily i Bena, oczywiście.

PROLOG

Nazywam się Simon Connolly. Możliwe, że słyszeliście o moim synu, Jake'u. Większość ludzi o nim słyszała, co nie znaczy, że go znają. Nie tak naprawdę.

Ja zresztą też nie. Właściwie nie wiem nawet, dlaczego tu wciąż jestem. Ledwo mogę wstać, a co dopiero mówić o wyprawie za drzwi. Jeżeli pozwolę, żeby pokonał mnie tak mały wysiłek, nie wyobrażam sobie, co mi pozostanie.

Kiedy wychodzę na zewnątrz, słońce ogrzewa nadmiernie naciągniętą skórę mojej twarzy. Powietrze jest ciepłe, miłe, ale pora roku się nie zmienia. Wciąż mamy najsroźszą zimę, jaką można sobie wyobrazić, a podeszwy moich butów do biegania deptają po suchych liściach na chodniku. Każdy szelest wywołuje wspomnienia zbyt świeże, bym mógł je przyjąć.

Wydarzyło się tak dużo, że trudno mi myśleć o tym, co będzie jutro czy choćby za godzinę. Ale wyprawa do skrzynki pocztowej wywołuje we mnie intensywne skupienie i daje cel działania. Moja motywacja nie ma nic wspólnego z koniecznością ani z ciekawością. Przeciwnie, powoduje mną potężna chęć, by po raz ostatni rozpaczliwie uchwycić się codzienności. Odbierz pocztę, mówię sobie, tak jak przedtem.

Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że duża fioletowa koperta w skrzynce na listy może nieść tak jasny promyk nadziei. Nie zwróciłem na nią uwagi, dopiero w domu, gdy ją wreszcie dostrzegłem, kiedy skupiłem wzrok i przeczytałem imię i nazwisko wypisane na przedzie młodzieńczym, krągłym charakterem pisma, serce zabiło mi szybciej. Była zaadresowana do mojego syna.

Może ktoś zna go jednak lepiej, niż myślałem.

ROZDZIAŁ 1

JAKE: OSIEM MIESIĘCY PRZED NARODZINAMI

Wszystko zaczęło się od brzemiennej w skutki decyzji i od najwspanialszej wiadomości w moim życiu, niekoniecznie w tej kolejności. Pewnego szarego dnia pod koniec lutego, jednego z tych dni, kiedy wszyscy żałują, że na gałęziach drzew u sąsiadów nie wiszą już świąteczne lampki, do mojego biura zadzwoniła żona.

– Zrobiłam go – oznajmiła.

Wiedziałem, że mówiąc „go”, ma na myśli test ciążowy. W filmach żona zawsze dzwoni i oświadcza: „Muszę powiedzieć ci coś ważnego, tylko nie upadnij”. W rzeczywistości byliśmy wtedy pięć lat po ślubie, a chodziliśmy ze sobą trzy lata. Nie twierdzę, iż tak się dostroiłem do cyklu żony, że o spóźnieniu się miesiączki wiedziałem wcześniej niż ona. Chodzi mi tylko o to, że w sprawach intymnych między małżonkami jest na pewno mniej niespodzianek, niż mogłoby się wydawać, oglądając filmy.

– No i... – powiedziałem.

– Ale jesteś podekscytowany. – Roześmiała się.

Odchrząknąłem i spróbowałem od początku, swobodnie, tonem bez emocji.

– Mam wrażenie, jakby serce miało mi zaraz wyskoczyć z piersi.

– Ale banał. – Roześmiała się jeszcze głośniej.

Tylko jedna osoba, moja żona, wiedziała, że chciałem zostać pisarzem. Ponieważ jako kierunek poboczny studiowała anglistykę, czuła się w obowiązku co jakiś czas mnie skrytykować, ale zawsze wspierała w tym sekretnym marzeniu. Kupowała mi poradniki dotyczące słowa pisanego i eleganckie pióra wieczne na walentynki.

– Znowu mnie przyłapałaś.

– Słuchaj, nie przez telefon. Wybierzmy się gdzieś na lunch.

– Jasne. – Tak naprawdę chciałem się tylko dowiedzieć, czy zostanę tatą, ale propozycja wspólnego lunchu niewątpliwie sugerowała, że czekają mnie dobre wiadomości. – Dokąd?

– Gdzieś, gdzie będzie elegancko. Co powiesz na Błękitne Wybrzeże?

O dwunastej?

– Spotkamy się na miejscu. Kocham cię.

– Ja ciebie też, Simon. I jestem w ciąży.

Rozłączyła się.

Miałem ochotę natychmiast do niej oddzwonić, śmiać się i pogadać hałaśliwie o tej wspaniałej nowinie, ale wiedziałem, że muszę to rozegrać inaczej. Moja żona miała swoje przyzwyczajenia. Oczywiście to nic złego, po prostu

postępowała wedle swoich niepodważalnych zasad. Tak ważną nowinę należało świętować przy suto zastawionym stole i rozmawiać o niej ściszym głosem w eleganckim, pełnym przepychu wnętrzu. Nie robiła tego dla szpanu, odzywał się w niej raczej duch artystki. Malowała nasze wspomnienia dość specyficznym, a ja byłem jak najbardziej za.

*

Błękitne Wybrzeże to elegancka restauracja, która zdołała się utrzymać w Wilmington w stanie Delaware. W wielkim mieście, jak Nowy Jork czy Chicago, utonęłyby w morzu przeciętności lokali średniej klasy, ale prowadzący restaurację starali się za wszelką cenę – i udało im się – wybić ponad rodzinne włoskie knajpki i nijakie sieciówki, w jakich gustowała większość mieszkańców Delaware. Błękitne Wybrzeże wyróżniało się rzadko spotykaną w Wilmington minimalistyczną architekturą i głębokimi, nasyconymi, lecz subtelnie dobranymi kolorami. Z ukrytych głośników sączyła się przyjemna dla ucha nowoczesna muzyka alternatywna, a mężczyźni i kobiety w garniturach biznesowych siedzieli przy stolikach dla dwóch osób, niektórzy pochyleni ku sobie szeptali o miłości lub pieniądzu, inni zaś rozpierali się na krzesłach i lustrowali wzrokiem salę, żeby zorientować się, kto jest kim, a kto nikim.

Właśnie tam spotkałem się z żoną. Siedziała już przy stoliku, krzyżując swoje długie, smukłe nogi zapalanej biegaczki, podczas gdy jej zwinne palce wystukiwały coś na klawiszach smartfona BlackBerry. Zatrzymałem się przy stanowisku *maitre d'* i przez chwilę po prostu na nią patrzyłem. Ubrana w obcisłą marynarkę, którą kupiła w Nowym Jorku i dała do przerobienia kobiecie mieszkającej w przyczepie z trojgiem dzieci, idealnie pasowała do klienteli restauracji. Zmarszczka nad prawą brwią wskazywała na jakiś problem w pracy.

Była prawniczką w jednej z trzech ogólnokrajowych kancelarii prawniczych, które miały swoje oddziały w mieście. Ze względu na obowiązujące w Delaware przepisy podatkowe spółek, tutejszy sąd kanclerski należał do najpotężniejszych w całych Stanach Zjednoczonych, a to przekładało się na obecność największych kancelarii prawniczych. Moja żona nie specjalizowała się jednak w prawie spółek, tylko w prawie cywilnym, ze szczególnym uwzględnieniem strategii obrony pozwanych, a jednocześnie była najmłodszym partnerem w miejscowym oddziale kancelarii.

Poznaliśmy się, kiedy jeszcze studiowała. W tamtym okresie odbywała staż w biurze tutejszego senatora federalnego, a ja pracowałem u przewodniczącego zarządu hrabstwa. Byłem jego prawą ręką, przynajmniej tak mi się wydawało, a tamtego dnia miałem nawet zajęć. Demokratyczny kandydat na prezydenta przyjeżdżał, by walczyć o głosy. Nie dla siebie, ale dla kandydata ubiegającego się o drugie z przynależnych Delaware miejsc w senacie. Rywalizacja okazała się

ostrzejsza, niż ktokolwiek przewidywał, zwłaszcza że starający się o reelekcję senator republikański był lubiany i nie przyłapano go z opuszczonymi portkami, ani dosłownie, ani w przenośni.

Pomagałem w szukaniu wolontariuszy do pracy przy tej kampanii i natrafiłem na jej nazwisko. Nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy, ale jeden ze znajomych powiedział, że jest „najlepsza”. W czym – nie zapytałem. Gdybym wiedział, jak wygląda, pewnie bym zapytał, ponieważ zawróciła mi w głowie, gdy tylko ją zobaczyłem. Weszła do naszego biura ubrana w bardzo obcisłe czarne spodnie i przykrótki T-shirt, spod którego raz po raz ukazywał się fragment doskonale wyrzeźbionego brzucha. Blond włosy do ramion, lśniące i proste, miała założone z jednej strony za małe śliczne uszko. Gdybym nazwał je wtedy w ten sposób, uznałyby mnie za patentowanego durnia. Ale moją uwagę zwróciła lśniąca srebrna kulka kolczyka tkwiąca pośrodku chrząstki ucha.

- Kto to? – zapytałem jednego z kumpli.
- Stażystka z biura senatora. Studiuje w Villanova.
- No, nieźle.

Żona twierdzi, że usłyszała, co wtedy powiedziałem. Myślę, że ten drobiazg przeszedł do legendy, bo wielokrotnie wspominała o nim, gdy w ciągu lat raz za razem opowiadała historię naszej miłości. Tak czy inaczej, nieważne, że zabrzmiało to banalnie, spojrzenia nasze się spotkały, jej oczy były lodowato błękitne, a moje ciemne jak noc. Później laziłem za nią przez cały dzień. Doszło do tego, że zabronili mi wstępu na wszystkie kolejne imprezy w kampanii, bo olewałem swoje obowiązki i nie odstępowałem fascynującej mnie kobiety na krok. Pod koniec dnia dała się złapać w moją sieć, czy też może było na odwrót.

Kiedy stałem przy wejściu najmodniejszej restauracji w Wilmington, moimi myślami targał huragan sprzeczności. Oto siedziała przy stoliku, tak samo niesamowicie piękna jak w dniu, gdy się poznaliśmy. Zdawało się, jakby oblepiający swą mazią upływ czasu zupełnie na nią nie działał. A równocześnie tak dużo się zmieniło. Ona, ta nowa dziewczyna o świeżej buzi, ta stażystka, była teraz partnerką w wielkiej kancelarii prawniczej, a ja, imponująco młody i przebojowy działacz polityczny, byłem teraz nie tak imponująco młodym i przebojowym biurokratą, który utknął na swoim stanowisku, jakby stopy zatopiono mi w szybko wiążącym betonie z państwowego przydziału.

Rachel podniosła wzrok, zobaczyła mnie i się uśmiechnęła. Pomachałem jej i ruszyłem przez salę. Po drodze rozpoznałem kilka osób przy innych stolikach.

– Hej, Connolly – przywitał się facet w garniturze. Nazywał się Bob Weston. Mimo że pracował w banku, spotykałem się z nim i jego szefem kilkakrotnie w sprawie zaległych podatków.

- Siemanko, stary. – Ucisnąłem mu dłoń i poklepałem go po ramieniu.

Zadarł głowę. Większość ludzi musi to robić, bo mam ponad metr

dziewięćdziesiąt wzrostu.

– Grasz dziś wieczorem?

– Tak – zapewniłem.

– Ja też. Co myślisz o tym nowym miotaczu Philipsów?

Próbowałem udzielić krótkiej odpowiedzi, że jeden miotacz to za mało, żeby drużyna wróciła do dni chwały z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku. Kiedy mówiłem, obejrzałem się przez ramię, ale Rachel wertowała właśnie swój terminarz. Mimo wszystko nie chciałem, żeby na mnie czekała, więc uciałem rozmowę szybciej niż zwykle i ruszyłem dalej. Kiwnąłem głową do kilku innych znajomych i uśmiechnąłem się do Rachel, kiedy znowu podniosła wzrok.

– Cześć – powiedziała.

Nie pokuszę się o stwierdzenie, że wyglądała promiennie, bo to banał, ale gdy na mnie spojrzała, z jej oczu biła jakaś ciepła energia. Widziałem, że się nad czymś zastanawiała. Drobnie wygięcie jej brwi sprawiło, że się uśmiechnąłem. Pomogłem jej wstać, a potem ją przytuliłem. Zwykle, w godzinach pracy, pozwalaliśmy sobie tylko na tyle czułości, ale nie dzisiaj. Pocałowałem ją namiętnie w usta. Kiedy cofnąłem głowę, miała zarumienione policzki.

– Mmm.

– Kocham cię, Rachel. Pięknie wyglądasz.

Usiedliśmy. Cały czas trzymałem ją za rękę.

– Jak się czujesz? – zapytałem.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Tak samo.

– Aha.

Przekrzywiła głowę na bok, oceniając moją reakcję. Pomyślałem, że może coś pochraniłem. Może użyłem złej intonacji, a może zdradziło mnie zmarszczenie brwi. Jej uśmiech, nie tak szeroki jak przed chwilą, był taki sam jak ten, który posyłała mi zawsze, gdy nie wiedziałem do końca, o co jej chodzi, ale wiedziałem, że musiałem zrobić coś dobrego.

– Co? – zapytałem.

– Wyglądasz na bardzo szczęśliwego.

I byłem.

*

Pierwsze pół godziny lunchu zeszło nam na żartobliwym przerzucaniu się propozycjami imion dla naszego dziecka.

– Ben? – zaproponowała Rachel.

Pokręciłem głową.

– Za każdym razem, kiedy słyszałem, jak go wołasz, wiedziałbym, że wyobrażasz sobie Bena Afflecka bez koszuli. A może Simon? Wtedy

nazywalibyśmy go „Junior”.

– Banał.

Roześmiałem się.

– Chcesz się dowiedzieć, czy to chłopiec, czy dziewczynka?

– Myślę, że tak – odparła. – Czemu nie? Będziemy mogli lepiej się przygotować.

– Do wtłoczenia dziecka w stereotypy płciowe?

– Przestań. – Karcąco trzepnęła mnie w przedramię, lekko i czule, a przy tym cały czas się uśmiechała.

Kiedy rozmawialiśmy, wyczuwałem, że za jej słowami kryje się coś większego. Zawsze za bardzo wdaję się w niuanse. Wiem, że najlepiej byłoby je ignorować, nie naciskać, ale nigdy nie mogę się temu oprzeć.

– O czym myślisz?

– Co sądzisz o opiekunce do dziecka?

Zamrugalem dwa czy trzy razy. Pytanie, niewątpliwie z podtekstem, sprawiło, że starałem się stąpać jak najostrożniej.

– To wspaniałe rozwiązanie... dla innych?

– Ale serio.

– A ty co o tym myślisz?

– Daj spokój, Simon. Rozmawialiśmy na ten temat.

Rzeczywiście, ale pobieżnie, chyba przy drinkach, kiedy mieliśmy po dwadzieścia cztery lata. Zastanawiałem się, czy to taka męzowska przypadłość: próżne próby wydobywania z pamięci rozmów uznanych przez niego za stratę czasu, ale arcyważnych dla niej.

– Tak, jasne, to znaczy... – Urwałem, czując w końcówkach nerwowych charakterystyczne mrowienie. Miałem zamiar powiedzieć „decyzja należy do ciebie”, ale nagle uzmysłowiłem sobie, że to nie byłoby dla mnie najlepsze rozwiązanie. Dokończyłem więc inaczej: – Brałem to pod uwagę.

– Co brałeś pod uwagę?

– Niańkę. – Wtedy ludzik w moim mózgu odpowiedzialny za wydobywanie danych trudnych do odszukania zarobił na swój wikt i opierunek. – Na przykład twój bratanek i bratanica. Te dzieciaki są fantastyczne. Na pewno świetnie zajęliby się naszym dzieckiem.

Jej reakcja ukoiliła moje nerwy. Trafiłem w punkt, w samą dziesiątkę, byłem tego pewien. Mina mi zrzędała dopiero po jej następnych słowach.

– I mój brat...

Szczerze mówiąc, nie słyszałem już nic z tego, co powiedziała później. Brat Rachel, który wkrótce miał się stać „wujkiem Markiem”, był postacią niemal legendarną. Gwiazda futbolu ligi uniwersyteckiej o barach szerszych niż... hmm, cokolwiek, czym mógłbym się sam poszczycić, reprezentował wszystko co dobre

w mężczyznach nowego tysiąclecia. Jako odnoszący sukcesy zawodowe kierownik średniego szczebla w korporacji, z tytułem MBA Uniwersytetu Duke'a, zaskoczył wszystkich, kiedy postanowił zostać w domu i zaopiekować się dziećmi. Jego żona, adiunkt na uczelni, pracowała na pełen etat. Mark wychowywał zaś dwa idealne aniołki, chłopca i dziewczynkę, a jednocześnie rozwijał własną firmę doradczą.

– Jest niesamowity – przyznałem, zdając sobie sprawę z pełnej oczekiwania ciszy, która w pewnym momencie zapadła. – Bez dwóch zdań.

– Z finansowego punktu widzenia – powiedziała, co zupełnie nie miało dla mnie sensu, prawdopodobnie dlatego, że coś mi wcześniej umknęło. – To mam na myśli. A ty co o tym sądzisz?

– O czym?

Zmarszczyła brwi.

– O zostaniu w domu z dziećmi.

– Hę?

Nie jestem tępakiem. Wiedziałem, do czego zmierza. Moja niejasna i wymijająca odpowiedź nie brała się z chęci strzelenia focha lub z braku szacunku. Nie byłem też szczególnie zaskoczony. Moja reakcja wynikała z głęboko zakorzonego mechanizmu obronnego. Innymi słowy, miałem pietra.

ROZDZIAŁ 2

DZIEŃ PIERWSZY: PIĘĆ MINUT PO STRZELANINIE

W pokoju Jake'a bajzel. Prosiłem go w niedzielę, żeby posprzątał, ale uparł się, że zrobi to później. Pobiegł do domu kumpla i wrócił dopiero po kolacji. Zapomniałem go upomnieć, no więc w pokoju nadal jest bałagan.

Bez zastanowienia zaczynam sprzątać. Mam dzisiaj mało zajęć. Odsłuchuję pocztę głosową i jednocześnie leniwie zbieram brudne rzeczy z podłogi. Komunikatowi „Zadnych nowych wiadomości” towarzyszy rzut spłowiałym swetrem za trzy punkty. Siup, szorty Jake'a znikają we wnętrzu niebieskiego nylonowego kosza przy drzwiach. Schylam się po leżący na podłodze podręcznik i kręcę głową. Jake notorycznie o czymś zapomina: zostawia w domu pracę domową, książki, telefon komórkowy, nie zakręca tubki z pastą do zębów. Wszystko to składa się na bycie Jakiem.

Odwracając się, by odłożyć podręcznik na biurko, zauważam okładkę: *Psychologia*. Psychologia była moim głównym kierunkiem na studiach, więc z nostalgii, choć zwykle nie szpieguję swoich dzieci, otwieram książkę i zaczynam ją kartkować. Podchodzę do okna, żeby mieć lepsze światło, i dostrzegam złożoną na pół kartkę wyrwaną z notesu, pełną notatek Jake'a, wetkniętą między strony. Wyciągam ją, ale nie rozkładam. Staję przed odwiecznym dylematem rodzica: obejrzeć czy nie. Daję sobie chwilę do zastanowienia, w tym czasie wyglądam przez okno.

Mimo że nasza parcela ma osiem tysięcy metrów kwadratowych, dom stoi dosyć blisko ulicy. Dwa duże klony o ciemnych liściach, które rosną na podwórku, przez większą część roku zasłaniają widok. Otwieram żaluzje, Jake zawsze je zamyka, i zerkam na zewnątrz, koniuszkiem palca pocierając poszarpany brzeg kartki.

Jest dzisiaj ciepło jak na listopad, więc łatwo zapomnieć, że już za dwa i pół tygodnia czeka nas Święto Dziękczynienia. Połowa klonowych liści zmieniła barwę na stalowobrazową i opadła z drzew. Połowę tej połowy zagrabiłem i wyniosłem w zarośla na tyłach domu dwa tygodnie temu. Podwórze pokrywa świeża warstwa uschniętych liści. Notuję sobie w myślach, żeby je posprzątać.

Może powinienem był zauważyć coś niepokojącego. Nie wyczuwam żadnej złowróznej i posępnej aury ani w domu, ani w samym zabałaganionym pokoju Jake'a. A tak wszyscy mówią: że obudzili się w dniu jakiejś tragedii i od razu przeczuwali coś złego. Ja nie. Mam klapki na oczach.

Pierwsza oznaka, że coś jest nie tak, objawia mi się, gdy wyglądam przez

okno. Sąsiadka z naprzeciwka, dwa domy dalej, jest niesamowitą mamą, która została w domu, by wychowywać dziecko. Odkąd Jake miał mniej więcej dwa lata, mówiłem o niej *per* „pani burmistrz”, ponieważ w porównaniu z nią czułem się, jakbym wychowywał dzieciaki, mieszkając z nimi w jakiejś głuszy. Kiedy stoję przy oknie, widzę jej samochód, pędzi po długim podejździe. Nie zwalniając ani trochę, bordowy van ze stelażem na rowery na dachu skręcił ostro na ulicę i przechylił się tak, że przez chwilę jechał dosłownie na dwóch kołach. Z piskiem opon sąsiadka pędzi dalej wysadzaną drzewami ulicą i znika mi z oczu.

W tej samej chwili brzęczyk mojej komórki oznajmia nadejście esemesa. Drgam z zaskoczenia, o mało nie upuszczam podręcznika na biurko, po czym biegnę do naszej sypialni. Nie wiem, czemu tak reaguję. Nie mam pojęcia, czego dotyczy wiadomość, ale coś w sposobie, w jaki sąsiadka wyjechała sprzed domu, każe mi przyspieszyć kroku.

Moja komórka leży na szafeczce nocnej obok łóżka. Odkładam kartkę z notatkami, biorę telefon i czytam:

Na terenie naszej szkoły średniej doszło do strzelaniny. Proszę bez paniki zgłaszać się do Świętego Michała po przeciwnej stronie szosy nr 5.

Zaczynam działać, zanim mózg zdąży przetworzyć to, co przeczytałem. Krótka wiadomość zawiera polecenie: zgłosić się do Świętego Michała. W chwilach kompletnego chaosu ludzki umysł reaguje na polecenia. Rozkazy dają ujście potrzebie działania, podczas gdy myśli przecinają błyskawicami ciemność w naszych głowach.

W biegu chwytam kluczyki od samochodu, które leżą na kuchennym blacie, i wypadam z domu tylnymi drzwiami. W ciasnej przestrzeni między przodem mojego forda pikapa i murem garażu uderzam łydką o nasz stary stojak na rowery. W ogóle tego nie czuję. Jestem za kierownicą i wyjeżdżam na ulicę, nie zwalniając nawet przed znakiem stop, zanim mojemu umysłowi udaje się przetworzyć cokolwiek oprócz tego esemesowego polecenia.

Dopiero gdy widzę inne samochody, jadące tak samo nieostrożnie jak ja, zaczyna coś do mnie docierać. W szkole moich dzieci doszło do strzelaniny. Moje dzieci, Laney i Jake, są na miejscu. Moje dzieci są w niebezpieczeństwie. Nie czuję strachu ani niepokoju. Działam instynktownie, chcę je obronić i ochronić. Zrobiłbym wszystko, żeby uchronić dzieci przed niebezpieczeństwem. Zginąłbym w ich obronie. To żadne przechwałki. Prosty fakt.

ROZDZIAŁ 3

JAKE: WIEK SIEDEMNAŚCIE MIESIĘCY I PIĘĆ DNI

Byłem jak samiec lwa. Drapiąc się po szyi, spodziewałem się, że zanurzę palce w jedwabistej grzywie, bujnej i wspaniałej. Kiedy ziewałem, wyobrażałem sobie, że świat widzi moje godne podziwu kły. Zaryczałbym tak głośno, że słychać by mnie było w całym Serengeti, ale mógłbym obudzić Jake'a.

Tak właśnie się czułem jako niepracujący tata siedemnastomiesięcznego synka. Od dnia w Błękitnym Wybrzeżu, kiedy zgodziłem się zrezygnować z pracy i zająć dzieckiem, swoim dzieckiem, zupełnie się zagubiłem. Z początku cieszyłem się, że już nigdy nie będę musiał nosić garnitur. Ale ta radość okazała się zaskakująco ulotna. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo będzie mi brakować galerii postaci, które spotyka się w biurze. Nie zdawałem sobie również sprawy z tego, jak bardzo utożsamiałem się ze swoją pracą czy też jak bardzo praca mnie określała. Zacząłem zbierać drobne zamówienia związane z pisaniem, lecz to nie wypełniło pustki. Może zabrzmiało dramatycznie, ale niepracujący ojcowie mają skłonność do opadania w ten ton.

Z drugiej strony nie umknęło mi nic z życia syna. Siedziałem na podłodze obok niego, kiedy pierwszy raz usiadł. Pamiętam ten dzień tak dobrze: patrzyłem, jak napinają się jego drobne mięśnie, a na idealnej buźce pojawia się znajomy wyraz nieustępliwego uporu. I co najważniejsze, promienny uśmiech satysfakcji, kiedy wreszcie mu się udało. Gdy Rachel wróciła do domu, nie powiedziałem jej, co się wydarzyło. Dzięki temu, kiedy godzinę później znowu usiadł, była taka szczęśliwa.

– Simon – pisnęła. – Jakey właśnie po raz pierwszy usiadł!

Wszedłem do pokoju i odegrałem wielkie przedstawienie.

– O mój Boże! Jesteś pewna? Pomagałaś mu? To niesamowite.

Ściśle rzecz biorąc, okłamałem żonę, ale tak wielką radość sprawiło jej przekonanie, że była przy nim w tej niezwykle ważnej chwili. Na szczęście nie musiałem się obawiać, że Jake mnie zdemaskuje.

Potrząsnąłem głową, rozpraszając to wspomnienie, i postanowiłem sprawdzić, co u Jake'a. Spał w foteliku samochodowym w dużym pokoju. Na bosaka podreptałem przez kuchnię na drewniany parkiet w przedpokoju. Z dłonią na ścianie, wyrzałem za róg. Był dokładnie tam, gdzie go zostawiłem, wciąż zapięty wygodnie w foteliku po naszej krótkiej przejażdżce. Jake zasypiał tylko w samochodzie. Tak przynajmniej wtedy myślałem. Więc w porze drzemki woziłem go przez pięć minut, a gdy usnął, wracałem do domu, odpinałem fotelik

z nim w środku i ostrożnie wnosiłem go do mieszkania. Drzemał od pół godziny, chociaż te minuty mijały tak szybko jak sekundy.

Poruszył się, wyrzucił rączki w górę niczym maestro dyrygujący orkiestrą. Kiedyś mnie to niepokoiło, więc zapytałem lekarza. Powiedział, że taki odruch mają wszystkie dzieci. To mi wystarczyło.

Przyglądałem się Jake'owi jeszcze chwilę. Mimo że każda minuta jego snu była niczym oaza na pustyni, która znikwała jak fatamorgana, stałem w drzwiach i się uśmiechałem. Miał włosy swojej mamy, proste i złociste jak słoma, gdzieniegdzie rudawe. Na szczęście oczy też odziedziczył po niej. Otwarte, lśniły tak wyjątkowym odcieniem błękitu, że czasem wpatrywałem się w nie zahipnotyzowany ich doskonałością. Karnację jednak wziął po mnie. Żartobliwie nazywałem go „czarnym Irlandczykiem”.

Po chwili wycofałem się z przedpokoju. W pokoju telewizyjnym zostawiłem włączony odbiornik, ale bez dźwięku. Leciał właśnie odcinek serialu dokumentalnego *Big Cat Diary*. Chociaż ten widziałem co najmniej cztery razy, usiadłem po turecku na kosmatym brązowym dywanie i zacząłem oglądać.

Na odgłos budzącego się Jake'a, czyli ciche gulgotanie, któremu towarzyszyła zwykle przeuroczo zmarszczona minka, natychmiast wstałem z dywanu. Nie mam pojęcia, jak długo siedziałem ze wzrokiem wlepionym w ekran. Gdyby minuty drzemki przeliczyć na czyste złoto, zastanawiałbym się, czemu tak je roztrwoiłem, ale byłem zbyt zmęczony, by w ogóle o tym myśleć. Zamiast tego odpowiedziałem na ciche wołanie i uwolniłem Jake'a z fotelika. Złapał się mojej szyi, gdy poszedłem z nim z powrotem do pokoju telewizyjnego. Posadziłem go, a on natychmiast podreptał do starej oliwkowozielonej kanapy, którą żona i ja mieliśmy już w pierwszym wspólnym mieszkaniu.

– Piłta – powiedział.

Wziął małą, miękką piłkę futbolową, rzucił ją w moją głowę i pisnął. Kiedy ją podniosłem, podbiegł, a właściwie potruchtał, zataczając się, w moją stronę i rzucił się na mnie całym ciężarem ciała, wykonując poprawny technicznie blok barkiem. Machnąłem przesadnie ramionami, padłem do tyłu, a on krzyknął i obaj śmialiśmy się głośno tak długo, aż dostał czkawki. Czkawka nigdy Jake'a nie powstrzymywała. Rzucił się na mnie raz za razem, krzyczał i śmiał się, czkając coraz głośniej. W pewnym momencie wziąłem go w ramiona i przytuliłem, ale wywinął mi się i wrócił do gry.

Bawiliśmy się tak jakieś dwadzieścia minut, a przy każdym kolejnym bloku odgrywałem swoją rolę z coraz mniejszym zapalem. Przyznaję, że pod koniec ledwo drgnąłem, kiedy wylądował mi na brzuchu. Podniosłem wzrok na ekran. Zaczął się następny odcinek *Big Cat Diary*. Oglądałem go, wciąż bez dźwięku, podczas gdy Jake po mnie łąził. Przekręciłem się na bok, mocno zmęczony, i ziewnąłem, drapiąc się po szyi. Niech samice polują. Nie?

*

– O której wrócisz do domu? – spytałem Rachel tamtego dnia po południu.

Słyszałem przez telefon, jak szeleści papierami. Zacząłem wspominać. Szeleszczenie papierami było super. Bardzo za tym tęskniłem.

– Tak jak zwykle – powiedziała.

Dochodziła czwarta. Ubrałem synka w lekką kurtkę i wziąłem go za rękę, gdy wyszliśmy do garażu. Kiedy nie była potrzebna, trzymałem spacerówkę w pikapie. Wyciągałem ją właśnie, gdy Jake powędrował na nasz szeroki podjazd. Zawrócił i wyciągnął z kosza w kącie małą piłkę do koszykówki, a ja pociągnąłem za dźwigienkę, która podobno rozkładała wózek.

– Nie bierz tego – zawołałem, gdy zauważyłem, że zamiast piłki trzyma kamyk. – Nie do buzi.

Uśmiechnął się, jakbym podsunął mu doskonały pomysł. Pulchna łapka z kamykiem w palcach uniosła się do warg. Z zamkniętymi ustami popatrzył mi w oczy.

– Nie bierz – powtórzyłem.

Z zaskoczeniem usłyszałem, że ktoś się roześmiał. Nagle na podjeździe zjawiała się kobieta mieszkająca dwa domy dalej po drugiej stronie ulicy, Karen Brown.

– Jakey, kochanie, to będzie paskudnie smakować.

Mały opuścił rękę. Zerknąłem najpierw na niego, a potem na sąsiadkę. Przez myśl by mi nie przeszło, żeby tak dobrze to sformułować.

– Hej, cześć.

– Cześć – powiedziała.

Karen Brown miała ostre, ptasie rysy twarzy, nosiła proste czarne włosy, które były tego dnia odgarnięte do tyłu i przytrzymywane lśniąca opaską. Jej ubiór kontrastował z moim strojem biegacza. Miała na sobie parę drogich, opiętych i doskonale dopasowanych džinsów oraz ciepłą granatową marynarkę od krawca, a do tego grube wełniane skarpety, widoczne w sandałach Birkenstock.

– Dobry chłopak. – Nie wiedziałem, czy mówi do mnie, czy do Jake’a.

Jake przeniósł uwagę na Bo, synka Karen, jej pierwszego i jak sama otwarcie przyznawała, ostatniego dziecka. Był o rok starszy od Jake’a. Mimo to kiedy Jake podreptał w jego stronę, Bo zaczął się cofać. Ignorując niepokój synka, podeszła do mnie. Nic nie powiedziałem, gdy Jake pogonił Bo na podwórze, ale nie spuszczałem syna z oka.

– Jak czujecie się z Rachel na nowych śmieciach? – zapytała.

Wprowadziliśmy się do tego domu miesiąc wcześniej, po sprzedaniu zmodernizowanego bliźniaka w centrum Wilmington, który był naszym pierwszym domem, kupionym rok po ślubie. Z odsłoniętymi ceglami murów i niesamowicie

wąską kuchnią pozostał symbolem naszego życia bez dzieci. Musiałem odwrócić od Karen wzrok, bo wróciłem myślami do tamtych czasów. Zobaczyłem w pamięci, jak Rachel i ja przygotowujemy sobie coś do przekąszenia po imprezie w Filadelfii, a prozaiczne przyrządzanie jedzenia zmienia się w zmysłowy taniec, nasze ciała kołyszą się swobodnie, niedokończone kanapki leżą na talerzach, a na podłodze zostaje szlak porzuconych w nieładzie części garderoby prowadzący tam, gdzie akurat mamy ochotę kochać się tej nocy.

Spontaniczność takich chwil zdawała się niewiarygodnie odległa w porównaniu z obecną rzeczywistością wychowywania dziecka. Rachel uważała, iż to okropny pomysł, żeby przenosić się z szesnastomiesięcznym malcem, ale nalegałem, nie potrafiłem bowiem wyobrazić sobie wychowywania dzieci w środku miasta. Musieliśmy zamieszkać w dystrykcie z lepszymi szkołami. Rachel protestowała, przypominając, że Jake rozpocznie szkołę dopiero za trzy lata, ale nie zamierzałem ustępować. Synek musiał chodzić do dobrej szkoły w bezpiecznej okolicy. W pewnym sensie mój upór doprowadził właśnie do tej chwili, gdy stałem na podjeździe, wspominając szumne lata młodości, by po chwili spojrzeć znowu w roztargnione oczy młodej, pełnoetatowej mamy.

– Całkiem nieźle – odpowiedziałem.

– Super. Czy ta okolica nie jest cudowna? Sue, która tutaj przed wami mieszkała... Poznałeś ją? W każdym razie strasznie tęskni za tym domem.

– Poznałem ją przy finalizacji kupna. Przeprowadziła się chyba bliżej szosy numer pięć, bliżej szkoły średniej?

– Tak. Ale jest naprawdę nieszczęśliwa. Mówi, że sąsiedzi nawet ze sobą nie rozmawiają. Mamy takie szczęście.

Nie byłem pewien, co na to odpowiedzieć. Po pierwsze, bywało, że nie odzywałem się do sąsiadów całymi dniami, a może i tygodniami. Nie dlatego, że ich nie lubiłem. Ostatnio po prostu potrafiłem nie rozmawiać absolutnie z nikim – to nowa cecha mojej osobowości, która objawiła się, odkąd zrezygnowałem z pracy. Rozmowy w biurze, o robocie albo czymkolwiek innym, wydawały się łatwe. Ale na przedmieściach te same wymiany zdań budziły we mnie poczucie winy lub zagubienia. Rachel twierdziła, że powodem jest nieumiejętność rozmowy o babskich sprawach. Moim zdaniem odpowiedź nie może być tak prosta, ponieważ rozmowy z mężczyznami nie przychodziły mi wcale łatwiej. Mimo wszystko mogła mieć rację. Prawda była taka, że nie ze względu na życie, które prowadziłem, nie mieściłem się w żadnej z tych grup. Z pewnością nie byłem kobietą, ale czasami nie czułem się też specjalnie mężczyzną.

Zgodnie z tym, czego się można spodziewać, inne kobiety zdawały się wolne od tej przypadłości. Gadały o tym i o tym, zupełnie tak jak ja kiedyś w biurze, bez żadnych widocznych zahamowań. Ich rozmowy brzmiały jak zgadywanki, tak oczywiste dla mówiących, a jednocześnie tak zupełnie dla mnie niezrozumiałe.

– Ale założę się, że fajnie jest mieszkać bliżej szkoły – dodałem, mówiąc o przeprowadzce Sue.

Karen podniosła wzrok nad moją głowę, jakby słowa, które wypowiedziałem, zawisły tam w postaci komiksowej chmurki. Wzruszyła ramionami i spojrzała mi znowu w oczy.

– Rozpakowaliście się już?

Jake wziął do ręki patyk. Nie zamachnął się na Bo, ale ten pobiegł z krzykiem do matki. Mój syn musiał to uznać za zabawne, bo znowu zaczął go gonić.

– Jake – przywołałem go do porządku ojcowskim tonem.

Karen drgnęła, a Jake znieruchomiał.

– O rany. – Roześmiała się z zażenowaniem, gdy Bo przyłgnął do jej nogi.

Mózg mi się lasował. Zastanawiałem się, czy to „o rany” odnosiło się do Jake’a, do patyka czy do mojego ojcowskiego tonu.

– Przepraszam – powiedziałem. – Jest dzisiaj trochę czupurny.

– Nie ma sprawy. To jak? Urządziliście się już?

Później, gdy wróciłem do domu, zastanawiałem się, czy chciała, żebym ją zaprosił do środka. Jestem pewien, że tak właśnie postąpiłaby normalna mama. Wtedy poczułem się jednak dziwnie nieswojo i po prostu odpowiedziałem na pytanie.

– Rachel stara się coś poprawić. Wystrój jest dla niej trochę zbyt rustykalny, ale próbuje go unowocześnić.

Karen zachichotała.

– Jeśli nie lubi stylu rustykalnego, czemu kupiliście ten dom?

Dwudziestosiedmioletni dom w stylu kolonialnym miał jasnozielony siding i czarne okiennice. Nadmiar pokoi zamykał przestrzeń i sprawiał, że rozkład pomieszczeń stawał się nieczytelny. Jej pytanie wydało mi się jednak bezsensowne.

– Ze względu na szkołę – wyjaśniłem.

– Ach tak. – Znowu podniosła wzrok na komiksową chmurkę nad moją głowę.

*

Tego wieczoru Rachel dotarła do domu kwadrans po szóstej. Jake i ja staliśmy w pokoju telewizyjnym, ubrani i gotowi do wyjścia na kolację do siostry Rachel.

– Wróciłaś wcześniej, hę?

Nie chciałem być złośliwy, ale jej spóźnienie mnie zdenerwowało. Bardziej jednak to, że nie zostałem uprzedzony, powinna zadzwonić. Skończyły mi się pomysły, jak zabawić Jake’a. Mogłem włączyć mu jakiś film, ale nie chciałem, żeby Rachel zobaczyła go przed telewizorem.

– Przepraszam. Wychodziłam już, kiedy zaczepiła mnie jedna taka. Po prostu gęba jej się nie zamykała.

Milczałam.

– Co? – zapytała.

– Nic.

– Co?

– Mogłaś zadzwonić.

– Powiedziałam, że przepraszam, Simon. Naprawdę jest mi przykro.

Przypomniałem sobie, że u mnie w biurze często tak się zdarzało. Niestety, miałem za sobą długi dzień i byłem zmęczony. Zapakowaliśmy się do samochodu i w milczeniu jechaliśmy do domu jej siostry. Uznałem, że opowiem Rachel, jak tego dnia radził sobie Jake. To poprawiło nam trochę nastrój i kiedy dotarliśmy na miejsce, wszystko było w porządku.

Potem Rachel wymknęła się do kuchni, żeby pogadać z siostrą, a ja usadowiłem się na kanapie obok wujka Marka. Jego najmłodszy dzieciak, ośmioletni Connor, wyglądał jak Guliwer obok mojego Liliputa Jake'a. Przesunąłem się na brzeg siedzenia, przekonany, że Connor może każdym ruchem zmiażdżyć mojemu synkowi czaszkę albo złamać mu ramię. Miałem wrażenie, że Mark wyczuł mój niepokój. Uśmiechnął się.

– Jak leci? – zagadnął.

– W porządku.

– Chodzi mi o siedzenie w domu. Ciężko, nie?

Spojrzałem na niego, bijąc się z myślami. Wyczuwałem, że próbuje nawiązać ze mną nić porozumienia, odnieść się do wspólnych doświadczeń. Z drugiej strony wahałem się. Z jakiegoś powodu wolałem zachować rezerwę. Nie chciałem chyba przyznać, że jest ciężko.

– Nie, jest okay – odparłem. – Uczyłem dzisiaj Jake'a, jak się robi zwód pojedynczy w koszykówce.

– Prawdziwy Allen Iverson.

– Jak najbardziej.

Widziałem, że Markowi zależy na czymś więcej. Przez chwilę naprawdę chciałem się otworzyć. Miałem okazję pogadać z facetem, który przeszedł już przez to, przez co ja przechodzę; mógł być nieocenionym źródłem informacji. Ale w tamtej chwili po prostu nie byłem zainteresowany.

– Kurna, chłopie – powiedział. – Rozumiem ciebie. Kiedy siedziałem z małymi dzieciakami, też nigdy nie miałem ochoty o tym gadać. Ludzie często mi radzili: „Słuchaj, taki to a taki też zajmuje się w domu dziećmi. Powinniście się spotkać”. Nigdy nie skorzystałem.

– Dlaczego? – spytałem trochę mniej nieufnie.

– Nie mam pojęcia.

Te słowa były naprawdę wyzwalające.

– Kiedy czasem o tym mówię, mam wrażenie, że brzmi jak narzekanie na strasznie ciężki obowiązek. Ale nie jest tak źle. To po prostu zupełnie inne doświadczenie.

– Właśnie. – Mark odwrócił lekko głowę i zawołał do Connora: – Nie dotykaj tego.

Roześmiałem się.

– Oczy z tyłu głowy.

Obaj wiedzieliśmy, że koniecznie trzeba je mieć.

Poczułem, że ktoś naprawdę mnie rozumie.

*

Podczas jazdy do domu opowiedziałem Rachel o swojej porannej rozmowie z sąsiadką.

– Może uraziłeś Karen uwagą o szkole.

– Dlaczego?

Roześmiała się, ale bez złośliwości.

– Nie wszyscy myślą tak jak ty. Ona nie zdecydowała się na kupno domu w tej okolicy, z takimi, a nie innymi sąsiadami, na podstawie prostej, logicznej myśli. Zależy jej na czymś innym, ale to coś jest mniej uchwytnie. Chodzi o wspólnotę i bezpieczeństwo, i o poczucie przynależności. Uwielbia mieszkać tam, gdzie postanowiła wychować swoje dziecko. Przez uproszczenie, jakiego użyłeś, może jej się wydawać, że nic z tego, co jest dla niej tak ważne, dla ciebie się nie liczy.

– Co?

Roześmiała się.

– Staram się tylko pomóc.

Kiedy dotarliśmy do domu, zaniósłem śpiącego jak kamień Jake'a do jego pokoju. Gdy kładłem go w poślany przytulnie łóżeczku, wśród pluszowych zabawek, poruszył się niespokojnie, ale się nie obudził. Stałem nad nim i przyglądałem mu się jeszcze chwilę, przejęty cudownym faktem jego istnienia. Przy moim boku zjawiała się Rachel. Wzięła mnie za rękę. Staliśmy tak bardzo długo, jakby ten piękny moment miał nigdy nie przeminąć.

Potem poszliśmy do sypialni. Rachel wsunęła się pod kołdrę, przy zapalanej lampce zaczęła czytać książkę ułożoną na przygiętych kolanach. Przygotowywałem się do snu, myśląc o tym wieczorze, o naszej rozmowie w samochodzie i wreszcie o sprzeczce, w jaką wdałem się z Rachel, kiedy wróciła z pracy. Uznałem, że powinienem ją przeprosić.

– Słuchaj, przepraszam, że tak cię obsztorcowałem po południu.

– Kiedy? – spytała, puszczając do mnie oko.

– Gdy wróciłaś z pracy.

Wgramoliłem się do łóżka, a Rachel zgasila lampkę. Ani ona, ani ja się nie poruszaliśmy. Cisza zdawała się dziwna, nie tyle nieprzyjemna, ile raczej niezwykła, odkąd urodził nam się Jake. Napawałem się nią przez moment, a potem przysunąłem się do żony.

– Jak było dzisiaj w robocie? – spytałem szeptem.

Westchnęła.

– W porządku.

Cichym głosem opowiedziała mi o kłopotach sekretarki, która nie może się dogadać z jednym z nowych prawników w kancelarii. Słuchałem i zadawałem pytania, a gdy odpowiadała, objąłem ją ramieniem. Wtuliła się we mnie, a ja zachwycałem się, ile ma w sobie wdzięku.

– A ty jak sobie radzisz? – spytała, gdy zakończyła swoją opowieść.

– W porządku. Poza tym, że wkurwiam sąsiadki.

Przeczesała mi palcami włosy. Miłe uczucie – przywołujące wspomnienia.

– Jesteś fantastyczną mamą – wyrwało mi się nie wiadomo skąd. Nie zaplanowałem tego. Po prostu nagle przypomniało mi się, jak nosiła Jake’a na rękach przed kolacją. Uśmiechnął się do niej, kiedy pocałowała go w oba policzki. To była taka piękna chwila, pełna ciepła i prawdy.

Znowu się poruszyła – tym razem to ona mnie objęła. Jej ciało emanowało ciepłem, gdy przytuliła mnie z całych sił. Pocałowaliśmy się. Na początku niepewnie, jakbyśmy nie robili tego od miesięcy. Wyszeptała moje imię i przyciągnąłem ją jeszcze bliżej, czując, jak jej ciepło rozlewa się jeszcze bardziej po moim ciele, gdy stresy dnia codziennego znikają.

Zdjąłem jej przez głowę T-shirt, który miała na sobie. Poczułem ten cudowny dotyk nagiej skóry na nagiej skórze, to elektryzujące wrażenie, które mija zbyt szybko, ale pragnie się go ciągle na nowo.

– Mamotato!

Wołanie Jake’a zadziało na Rachel jak zimny prysznic. Odsunęła się, z jednościami staliśmy się znowu dwójką.

– O Boże – powiedziała z poczuciem winy.

– Pójdę do niego – zaproponowałem.

– Nie, ja chcę. Ja pójdę...

Wstała i wzięła swoją koszulkę. Zobaczyłem, jak rumieniec blednie jej na policzkach, gdy ubrała się i wyszła pospiesznie z pokoju. Oparłem się na łokciu, słuchając, jak kojącym głosem uspokaja naszego synka. Szczerze mówiąc, czułem się rozdarty. Z jednej strony świadomość tego, jak wspaniałą matką jest Rachel, napawała mnie krzepiącym ciepłem. Z drugiej strony, z czego nie jestem specjalnie dumny, towarzyszyła mi inna myśl. Żal, że Jake się obudził.

ROZDZIAŁ 4

DZIEŃ PIERWSZY: DWADZIEŚCIA MINUT PO STRZELANINIE

Samochody, wszystkie jadą w tym samym kierunku, korkują dwupasmówkę prowadzącą do wejścia szkoły. Kierowcy wyskakują z wozów, zostawiają otwarte drzwiczki i biegną między dziwnie nieruchomymi autami w stronę skupiska błyskających świateł, które malują wystraszone twarze na jaskrawoczerwono, żółto i pomarańczowo.

Zatrzymuję się gwałtownie za białym fordem explorerem, z tego samego rocznika co mój. Rząd samochodów ciągnie się co najmniej na kilometr. Za moim wozem stają następne, gdy wyskakuję i biegnę w stronę szkoły. Policja odgrodziła kordonem podjazd, który pnie się stromo pod górę do szkolnej bramy. Tłum rodziców, głównie matek, tłoczy się, napierając na żółtą taśmę policyjną. Zadawane wysokim głosem pytania zlewają się, piskliwy, przerażający biały szum wypełnia powietrze na długo przed moim przybyciem.

Bez zastanowienia zbiegam z drogi i pędzę przez pole, które rozciąga się aż do bocznego muru szkoły. Przyspieszam, lekceważąc podniesione głosy, krzyczą, żebym się zatrzymał. Muszę się tam dostać, powstrzymać to szaleństwo. Wzdłuż ulicy biegnie rów odpływowy, prowadzi do zbiornika retencyjnego. Przeskakuję nad nim. Dwa kroki dalej ktoś łapie mnie mocno za ramię. Pęd sprawia, że obracam się gwałtownie i nagle mam przed sobą postawnego mężczyznę w pełnym rynsztunku, z napisem SWAT na piersi. W drugiej ręce trzyma broń, chyba karabin maszynowy. Za przyciemnioną osłoną jego czarnego hełmu nie widzę twarzy.

– Na ziemię – rozkazuje.

Jego głos nie jest ani gniewny, ani uległy. Padam na ziemię. Chwilę później zjawia się następny funkcjonariusz, tym razem w mundurze policji stanowej Delaware. Podnosi mnie i prowadzi z powrotem w stronę ulicy.

– Rozumiem, że martwi się pan o swoje dziecko, ale musi pan się uspokoić. Prosimy wszystkich rodziców, żeby zebrali się w Świętym Michale po drugiej stronie ulicy. Gdy tylko czegoś się dowiemy, powiadomimy państwa.

Z góry rozlega się głośny huk. Funkcjonariusz staje między mną a szkołą, myśląc, że to strzelanina. Drętwieję, patrząc mu przez ramię, gdy serce kołacze mi się w piersi. Chyba uznaje, że to jednak nie odgłos wystrzału, bo przyjmuje mniej czujną pozę. Nad jego barkiem widzę budynek szkoły. Z drzwi sali gimnastycznej wylania się policjant. Nawet z tej odległości dostrzegam, że ma na rękach rękawiczki chirurgiczne. Są czerwone od krwi.

Funkcjonariusz popycha mnie i ruszam dalej. Trawiastym poboczem

podjeżdża wóz strażacki i skręca na podjazd. Kiedy mnie mija, widzę, że strażacy na granatowych mundurach noszą kamizelki kuloodporne.

Hałas staje się przytłaczający. Setki ludzi krzyczą, rozmawiają, płaczą, wrzeszczą. Zatykam ręką ucho i idę niepewnym krokiem obok policjanta. Sceneria sprawia wrażenie chaosu i bałaganu. Radiowozy stoją zaparkowane pod różnymi kątami. Ludzie chwieją się i drgają nerwowo, mam wrażenie, jakby w tłumie rozprzestrzeniała się jakaś okropna choroba. Policjant prowadzi mnie między stłoczonymi matkami, jedna z nich próbuje złapać go za ramię. Funkcjonariusz odpycha jej rękę i eskortuje mnie do drzwi kościoła.

– Proszę wejść do środka. Usiąść. Zrozumiano?

Kiwam głową, ale moją uwagę przykuwa kobieta, która stoi obok. Opiera się o znak wskazujący drogę do kościoła. Jej mowa ciała komunikuje nieodpowiedni spokój. Wręcz fizycznie uwiera mnie, gdy patrzę na przygarbione plecy i skrzyżowane nogi. A potem widzę jej oczy. To oczy upiora, łupiny człowieka. Wilgotne koryta biegają wzdłuż obu jej policzków i zastanawiam się teraz: co ona widzi takiego, czego sam nie dostrzegam?

*

Kościół jest pełny. Minuty dłużą się jak godziny. Nikt nic nie mówi. Siedzimy w ławkach, szok rozprzestrzenia się niczym ziewnięcie. Kobieta obok mnie w pewnym momencie podnosi wzrok i szybko odwraca ode mnie oczy. Nie znam jej. Obserwuję, jak omiata spojrzeniem zebranych. Macha lekko ręką i przemyka głęboko pochylona, jakby biegła do helikoptera. Siada obok innej kobiety. Obejmują się.

Czeka jeszcze jeden mężczyzna oprócz mnie. Stoi w kącie przy drzwiach. Kiwam do niego głową, on odwzajemnia się tym samym. Znowu mijają minuty.

Po chwili zaczyna się plotkowanie. Nie wśród wszystkich, tylko w gronie kilku osób. Docierają do mnie strzępy informacji, chociaż nie pojmuję, jakim cudem komuś z nich udało się cokolwiek dowiedzieć.

– Pracownie naukowe – słyszę.

Myśli pędzą jak szalone. Jake ma chemię dla zaawansowanych. Lektury w pracowni są prawie codziennie. Ścisła mnie w żołądku, gdy uświadamiam sobie, że zgodnie z planem powinien mieć zajęcia właśnie teraz. Upominam się, że te matki nie mogą jeszcze niczego wiedzieć. Odkąd wszedłem, w kościele nie pojawił się nikt z policji.

Dłużej tego nie zniosę. Wstaję pod pretekstem rozprostowania nóg, ale podchodzę do drugiego mężczyzny. Nazywa się Steve Yants. Jego syn grał w Małej Lidze z Jakiem. Opieram się o ścianę obok niego. Żaden z nas się nie odzywa. Co tu mówić?

– Słyszałeś cokolwiek? – pytam.

Kręci głową.

– Mówią coś o pracowniach naukowych – dodają.

Wzrusza ramionami.

– Wiesz, jak to z nimi jest.

Rozumiem, co ma na myśli. Nie mówi o mamach. Mówi o tych rodzicach, którzy uważają, że pozjadali wszystkie rozumy. O tych, którzy zabierają głos pierwsi i najczęściej. Wolę nie wspominać, że właśnie ci rodzice dowiadywali się wszystkiego na długo przede mną.

Ta myśl sprawia, że przypominam sobie Karen. Wyjechała na ulicę, jeszcze zanim otrzymałem esemesa. Przypuszczalnie system musiał rozsyłać wiadomości według jakiejś listy, więc oczywiście, że jedni dowiadywali się wcześniej od innych. Ale kiedy rozglądałem się po kościele, nigdzie jej nie widziałem.

Postanawiam wrócić do ławki. Szukam jakichś słów na odchodne, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Gdybym się teraz odezwał, powiedziałbym coś niestosownego, na przykład: „Powodzenia”. Więc po prostu odchodzę.

Właśnie gdy siadam, za moimi plecami otwierają się drzwi. Odwracam się, Karen i trzy inne kobiety z naszego sąsiedztwa wchodzą do kościoła. Idą z głowami pochylonymi ku sobie. Inne zauważają ich przybycie. Biję się z myślami, czy wstać, podejść do nich i zapytać, co wiedzą. Nie robię tego. Chcę, ale moje ciało zdaje się ociężałe. Przypływ adrenaliny minął. Okazałem się niezdolny do obrony, a teraz czuję się źle przygotowany do tego, co tu robimy.

Trzy kobiety idą w głąb kościoła i dołączają do większej grupy mam. Karen omiata wzrokiem rzędy ławek. Szuka czegoś. Zatrzymuje na mnie spojrzenie. Już mam jej pomachać, ale ma jakiś dziwny wyraz twarzy. Jakby się wzdrygnęła. Albo mi się tylko wydaje? Mija chwila, wzrok Karen przesuwa się dalej, a ja nadal czuję się przybity na zawsze do drewnianej ławki.

– Dobrze się pan czuje? – pyta kobieta po lewej ode mnie. Myślę, że może być mamą dziewczyny, która jest koleżanką mojej córki Laney.

– Tak, jasne – odpowiadam, ale dostrzegam, że wpatruje się w moją rękę. Dłoń spoczywa na lśniącem lakierowanym drewnie ławki, chociaż „spoczywa” nie jest najlepszym słowem. Moja dłoń dygocze. Nagle zdaję sobie sprawę, że to samo dzieje się z moim udem.

Kobieta wyraźnie boi się o moje zdrowie.

– To znaczy – jąkam się. – No wie pani...

– Przy drzwiach jest sanitariusz. Może go do pana wezwę?

– Nie, czemu?

– Nie wygląda pan...

– Naprawdę nic mi nie jest. Dziękuję.

Odwracam się od niej, w głowie mam mętlik.

*

Uświadamiam sobie, że nie skontaktowałem się z Rachel. Z trudem wyciągam telefon z przedniej kieszeni dzinsów. Kiedy wybieram numer, czuję, jakbym miał spuchnięte palce, chociaż wyglądają normalnie. Dzwonię do jej biura. Nikt nie odbiera.

Kiedy się rozłączam, natychmiast odzywa się dzwonek. Na ekranie wyświetla się numer komórki Rachel.

– Gdzie jesteś?! – pyta od razu, gdy odbieram.

– Stało się coś strasznego – mamroczę.

– Wiem. Z radia. Czemu szkoła do mnie nie zadzwoniła? Kiedy się... Gdzie jesteś? Gdzie dzieci?

– Czekam na nie. Próbowałem dostać się do szkoły, ale mnie zatrzymali.

Trzaski na linii.

– Nic im nie jest?

– Pewnie nie.

– Simon, w radiu mówią, że postrzelono co najmniej trzynaścioro dzieci.

Umysł mnie oszukał. Wyparłem z myśli wcześniejszą scenę: funkcjonariusza policji z zakrwawionymi rękami. Przełykam z wysiłkiem ślinę i schylam głowę. Wrażenie się potęguje. Jednocześnie mój pragmatyczny umysł oblicza stopień ryzyka. Trzynaścioro z jakichś dwustu uczniów. Mniej niż jedno na dziesięć.

– Simon? Jesteś tam?

– Tak. Czekam na nich.

– W Świętym Michale?

Kiwam głową, mimo że przecież mnie nie widzi.

– Już jadę – mówi. W słuchawce zalega głucha cisza.

*

Muszę się ruszyć. Liczą, że będę posłusznie siedział w ławce i czekał. Chociaż reszta rodziców, mamy, wydaje się gotowa podporządkować temu nakazowi, ja nie. Wstaję z ławki i się przechadzam. Przy samych ścianach budynku idę z jednego końca kościoła na drugi. Kiedy ponownie staję przy drzwiach, przechadzanie się w tę i z powrotem już nie wystarcza. Otwieram drzwi.

Wszystkich nas atakują dźwięki z zewnątrz. Wyją syreny, a męskie głosy wykrzykują rozkazy. Słyszę pracujący silnik wozu strażackiego, a potem widzę, jak strażacy odjeżdżają spod szkoły. Rozglądam się wśród policjantów, próbując się rozeznąć, ale widzę tylko chaos.

– Proszę pana – mówi ktoś po prawej ode mnie. Odwracam się, podchodzi do mnie funkcjonariusz policji. Ma surowy wyraz twarzy, twarde spojrzenie.

– Co się dzieje? Kiedy...

– Natychmiast do środka – rozkazuje.

Nie ruszam się z miejsca. Chwyta mnie za ramię. Odwracam się twarzą do niego. Kiedy to robię, mój wzrok pada na jedną z mam w tylnym rzędzie kościelnych ławek. Kobieta wpatruje się we mnie blada ze strachu i niedowierzania. Spoglądamy sobie w oczy i nagle siła, która popychała mnie do działania, znika. Daję się zaprowadzić z powrotem do środka. Policjant upomina mnie surowo ściszonego głosem, ale słowa giną w mojej skołowanej świadomości. Zamiast tego do porządku przywołują mnie wyrazy twarzy innych rodziców i zdaję sobie sprawę, że nagły wstrząs wywołany wtargnięciem zewnętrznego świata, tego demona, którego wpuściłem, otwierając drzwi, sprawił im ból. Odchodzę od policjanta i siadam. Tamten kręci głową i wraca na swój posterunek przed kościołem.

*

Niecałe pół godziny później zjawia się pierwsze dziecko i wtedy wszystko się zmienia. Nadzieja i modlitwy wypełniły kościół, ale nastrój prysł, gdy otworzyły się drzwi i do świątyni wszedł Scotty Truphant (teraz pewnie mówią na niego „Scott”, ale uczyłem go koszykówki, kiedy miał siedem lat). Do kościoła wchodzi jeszcze pół tuzina innych dzieciaków w asyście funkcjonariuszy SWAT. Policjanci trzymają karabiny szturmowe lufami do ziemi. Zauważam to, bo już się zorientowałem, że żadne z dzieci nie jest moje, więc muszę na coś patrzeć, bo inaczej znowu zacznę mnie nosić.

Do tego czasu kościół był już przepełniony. Ojcowie, większość w ciemnych garniturach, stoją teraz obok żon. Rodzice dzieciaków, włącznie z mamą i tatą Scotty’ego, podbiegają i bez żadnych zahamowań biorą je w objęcia. Płyną łzy. Łkania wiszą nad resztą z nas niczym paskudna zazdrość. Nikt się do tego nie przyzna. Wszyscy wpatrujemy się w posadzkę i czekamy, aż drzwi znowu się otworzą.

Funkcjonariusze wyprowadzają rodziny, których rozłąka już się zakończyła, przez zakrystię. Wkrótce drzwi znowu się otwierają i wchodzi kolejne dzieci. Udaję, że cieszę się z radości rodziców przede mną, kiedy wchodzi ich córka. Ale mogę myśleć tylko o Laney i Jake’u.

Tłum się przeredza, a ja coraz bardziej się niepokoję. Nie powinienem odczuwać zazdrości ani goryczy. W rzeczywistości te emocje, słowa, nic teraz nie znaczą. Burza obaw, tortury upływającego czasu – wszystko to przenika mnie na wskroś, wywraca komórki mojego ciała na nice. Mogę udawać radość przed innymi, ale to nieprawda.

Na moich oczach coraz więcej rodziców wita się z dziećmi; ławki pustoszeją. Z setek zostają dziesiątki. Nikt z nas, tych pozostałych, nie patrzy nikomu w oczy. Kiedy przyprowadzają następne dziecko, przestaję obserwować drzwi. W tej chwili rodzicielska intuicja rozpała się żywym ogniem. Wiem, że stało

się coś strasznego.

Do kościoła wpada Rachel. Mrugam oczami, bo jest z nią Laney, uczepiona jej boku. Wstaję i biegnę do córki... i żony. Obejmuję je obie, przytulając mocno Laney – wreszcie mogę ją bronić. Przed czym – nie jestem pewien.

Wpatruję się w oczy córki, wdzięczny, że nic jej nie jest, i staram się przekonać samego siebie, że naprawdę przede mną stoi, że to ona, a nie złudzenie. Serce bije mi jak oszalałe i czuję, jak krew szumi mi w żyłach. Połowa moich obaw się rozwiewa. Laney nic się nie stało.

Patrzę na Rachel. W swoim nienagannie wyprasowanym prawniczym garniturze sprawia wrażenie niesłychanie pewnej siebie. Imponuje mi tym, że znalazła Laney. Potem spoglądam jej w oczy i widzę prawdę.

– Gdzie Jake? – pytam.

Laney podnosi na mnie spojrzenie z wyrazem twarzy, który już wcześniej widziałem, ale nigdy go nie rozumiałem. Rachel ciągnie córkę do siebie. Szepcze do niej coś, czego nie słyszę.

– Nie wiem – odpowiada Laney.

Rachel odchyła się do tyłu, spogląda na córkę.

– W porządku, Laney. W porządku.

Wtedy zauważam, że Laney zbladła. Przykładam rękę do jej czoła; skórę ma wilgotną i zimną.

– Jest w szoku – mówię do Rachel, a ona kiwa głową.

Podchodzi do nas sanitariusz. Wyciąga rękę, spokojnie – porusza się tak, jak wyobrażam sobie, poruszałby się anioł. Patrzy mi w oczy. Ma łagodne spojrzenie, pełne zrozumienia. Rachel przesuwa się trochę, robiąc miejsce dla tego mężczyzny, który jest obcy, a teraz rozdziela moją rodzinę, a my jesteśmy za to wdzięczni. Okrywa plecy Laney kocem.

– Zaprowadzę cię tylko na tyły. Posiedzisz chwilę, zanim pojedziecie do domu.

– Ale moja mama – łka Laney.

W gardle mnie ściska. Moja córeczka potrzebuje ochrony. Słyszę to.

– Poczekaj tutaj – zwraca się do mnie Rachel. – Jake...

Wychodzą, a ja znowu zostaję sam. Nie powinienem, ale liczę pozostałe czekające rodziny. Czternaście.

*

Do kościoła wchodzi mężczyzna, zauważam, że ma niemodny krawat i zaprasowane w kant poliestrowe spodnie. Wygląda trochę znajomo w swoich ciemnych okularach i z początkami łysiny. Patrzę, jak podchodzi i siada obok mnie.

– Pan Simon Connolly? – Mężczyzna wyciąga rękę. – Jestem Phil Hartman, pedagog szkolny.

Nigdy nie rozmawiałem z Philem osobiście. Pamiętam, że pierwszy raz jego nazwisko pojawiło się, kiedy Jake został wezwany do gabinetu dyrektora, bo coś nabroił. Zaśmiałem się wtedy i wytłumaczyłem Jake'owi, dlaczego to zabawne. Pokazałem mu starą płytę z najlepszymi skeczami *Saturday Night Live*, tę, gdzie Phil Hartman grał Frankensteina. Dowiedziałem się później, że Jake poszedł nazajutrz do szkoły z tą płytą. Pokazał ją całej klasie. Od tamtej pory nie był już wzywany na rozmowę z Philem w cztery oczy.

– Gdzie jest Jake?

Moje pytanie brzmi jak żądanie. Przysuwam się do Phila i wypinam pierś. Prawie deptę mu stopę.

– Jest w porządku – zapewnia Phil, podnosi na mnie wzrok i robi krok w tył. Ale wiem, że nie jest. – Po prostu muszę chwilę z panem porozmawiać. Chodzi o coś jeszcze ze szkoły podstawowej. Może pan pamięta, że wszystkim dzieciom pobrano wtedy odciski palców na wypadek, gdyby doszło do porwania.

W głowie mam coraz większy mętlik.

– Porwania?

– Tak, wiem. To było dawno temu.

– O czym pan mówi? – warczę.

– To tylko taki wstęp. W każdym razie zastanawiałem się, czy mógłby pan podpisać pozwolenie. Miejscowe organy ścigania nigdy nie otrzymały od szkoły karty Jake'a. Dzięki temu będziemy mogli ją im przekazać. Czy byłby pan skłonny podpisać?

– Jasne – mówię.

Pozwolenie jest przyklejone do podkładki z klipsem. Phil kładzie ją sobie na kolanach, a ja składam podpis. Kiedy podnoszę wzrok, przygląda mi się jakoś dziwnie. Mrużę oczy, a on odwraca spojrzenie. Zauważam, że ręka mu się trzęsie.

– Dzięki – mruczy pod nosem i wstaje.

– Są jakieś wieści o Jake'u? Wie pan coś?

Nie odwraca się do mnie.

– Jeszcze nie.

Phil wychodzi głównymi drzwiami – jest pierwszą osobą, która to robi, odkąd tutaj przybyłem. Wydaje mi się to aż nazbyt znajome i w moje myśli wkrada się pierwsze podejrzenie. Odciski palców wykorzystuje się do identyfikacji zwłok. Albo w śledztwie kryminalnym.

– Nie – szepczę.

Jedno z rodziców na mojej ławce, matka, której nie znam, krzywi się i odsuwa ode mnie. Zdaje się, że jestem chorobą i że się roznoszę.

ROZDZIAŁ 5

JAKE: WIEK TRZY LATA I PIĘĆ MIESIĘCY

Byliśmy czterdzieści pięć minut drogi na północ od plażowego domku moich teściów, kiedy Laney zaczęła krzyżeć. Urodziła się obdarzona rozrywającym bębenki, mocnym jak u Jamesa Browna głosem, więc nikt nie mógł naszej córki zignorować, kiedy się wydarła.

– O co jej może chodzić? – zapytałem.

Rachel sprawiała wrażenie wykończonej.

– Nie wiem. Może mokra pielucha.

Przed podjęciem decyzji o dwugodzinnej podróży na wybrzeże zastanawialiśmy się, czy czteromiesięczne niemowlę i długa jazda samochodem to dobra mieszanka. W tej chwili moje uszy mówiły „nie”.

Zjechałem na parking przed kościołem, przy samej szosie. Rachel wyskoczyła z auta i sprawdziła Laney pieluchę, ale ta okazała się sucha. Córeczka uspokoiła się, gdy tylko została wyjęta z fotelika. Kiedy postanowiliśmy ruszyć znowu w drogę, wszystko wydawało się w porządku. Ale sto metrów dalej na szosie Laney znowu zaczęła się drzeć.

Po dziesięciu minutach Jake, z rękami na uszach, miał już dość.

– Może nienawidzi plaży?

Niewinne pytanie trzylatka wstrząsnęło posadami mojego świata. Nie lubi plaży od urodzenia? Coś w oceanie, w słonawym powietrzu, a może w uspokajającym szumie fal wryło mi się głęboko w duszę pierwszy raz, gdy Rachel zabrała mnie do domku rodziców. Poczułem się tam bardziej sobą niż gdziekolwiek indziej. Myślę, że moja reakcja wpłynęła na to, że ostatecznie się pobraliśmy.

Właściwie poprosiłem Rachel o rękę pewnego wieczoru, gdy spacerowaliśmy po plaży. Chodziliśmy ze sobą dopiero dziesięć miesięcy i oświadczyły były spontaniczne (to znaczy bez pierścionka). Kiedy spoglądała w dal oceanu i pokazywała mi spienione grzbiety fal, ukląknę na jedno kolano.

– Wyjdiesz za mnie?

Spojrzała w dół, w jej oczach zobaczyłem jednocześnie zaskoczenie i oczekiwanie. Zastanawiała się parę sekund.

– Tak.

Myślę, że wtedy poruszyłem głową bardziej do tyłu.

– Jesteś pewna?

Potaknęła.

– To znaczy, nie chcę wywierać na ciebie presji.

Roześmiała się. Zdaje się, że wówczas też czytała mi w myślach. Wiedziała, że dopytuję się nie dlatego, żeby ją odwieść od tej decyzji, ale dlatego, że taki już jestem. Rachel właśnie obchodziła wtedy dwudzieste czwarte urodziny.

Śmialiśmy się i trzymaliśmy za ręce, spacerując po plaży jeszcze przez godzinę. Rozmawialiśmy, ale o czymś bez większego znaczenia. Zamiast tego oswajaliśmy się z nową rzeczywistością: z tym, że jesteśmy zaręczeni.

Po powrocie do domku wkradliśmy się do pokoju, który Rachel dzieliła ze swoją bratową, gdy ta razem z resztą towarzystwa popijała wino na tylnej werandzie. Rachel położyła się do łóżka, a ja się nad nią pochylałem. Miałem motylki w brzuchu.

– Jesteś pewna?

– Tak. – Jej oczy lśniły tak samo, jak księżyc w pełni jaśniał blaskiem za oknem.

– Powiemy wszystkim? – szepnąłem.

– Jutro.

– Jeżeli obudzisz się i uznasz, że to wariactwo, zrozumiem. Okay?

Pocałowała mnie.

– Dobranoc, Simon.

Uśmiechnąłem się.

– Dobranoc, narzeczono.

Następnego dnia rano, gdy się spotkaliśmy, Rachel odezwała się pierwsza:

– To było naprawdę?

Mój wiecznie rozbudzony umysł zafiksował się na dychotomii w moich emocjach. Czuję się za młody na taką dorosłą chwilę, ale też za stary na to, by bardzo kręciło mi się w głowie z nerwów.

– Naprawdę – odpowiedziałem.

I zupełnie ot, tak, Rachel i ja postanowiliśmy się pobrać.

Na szczęście Jake od pierwszego dnia pokochał plażę tak samo jak my. On i ja często jeździliśmy tam w piątek wcześniej, podczas gdy Rachel musiała jeszcze pracować. Docieraliśmy do domku i od razu szliśmy parę przecznic dalej na brzeg oceanu. Bawiliśmy się, śmialiśmy i wałęsaliśmy bez celu po prawie bezludnej plaży, poza sezonem. Czasami nasze spojrzenia się spotykały i nawet zanim nauczył się mówić, obopólna miłość była tak jasna i wyraźna, że żadne zdanie nie potrafiłoby jej wyrazić lepiej.

Kiedy w takie wieczory dzwoniłem do Rachel, zdarzało mi się kłamać na temat pogody.

– Wiał straszny wiatr. Piasek sypał nam się w oczy. Wcale nie było tak fajnie.

Oglądałem się wtedy przez ramię w nadziei, że Jake mnie nie usłyszał.

*

Tak więc sama sugestia, że Laney będzie źle się czuła nad morzem, prawie przyprawiła mnie o zawał. Kiedy spojrzałem na Rachel, zdawało mi się, że odbiera to tak samo. Też nie dopuszczała do siebie takiej myśli.

Niecałe pięć minut później w samochodzie zaległa cisza. Odważyłem się zerknąć do tyłu i okazało się, że Laney śpi jak zabita. Właśnie gdy miałem znowu odwrócić głowę, zauważyłem, że Jake trzyma jej drobną rączkę w dłoni. Ponownie skupiłem uwagę na drodze, uśmiechnąłem się i szturchnąłem Rachel palcem w nogę, dając kciukiem znak, żeby obejrzała się do tyłu. Kiedy to zrobiła, usłyszałem, jak zamruczała ze szczęścia.

– Ale cudnie – wyszeptała.

Pokiwałem głową. Czułem się, jakbym miał najlepszą rodzinę na świecie.

*

Chyba zapomniałem, że Rachel mi o tym wspominała, lecz w każdym razie okazało się, że tego samego dnia w domku przy plaży wypoczywać będzie również jej babcia. Kiedy dotarliśmy, babcia M. szybkim krokiem ruszyła po drewnianym pomoście, jedną dłonią osłaniając oczy przed słońcem, podczas gdy drugą machała bardzo energicznie, jak na dziewięćdziesięcio-trzyletnią staruszkę.

– Hej, cześć – zawołała.

Jake wyskoczył z samochodu i popędził do prababci. Wyhamował ćwierć metra przed nią i rozłożył ramiona. Babcia uściśnęła go ze śmiechem. Rachel poszła w ślady naszego syna, a ja zająłem się wypinaniem fotelika Laney z bazy zamocowanej na tylnym siedzeniu. Starłem się nią nie potrząsać, uznając, że potrzebuje więcej snu. Kiedy wyciągnąłem ją z samochodu, obok znowu pojawiła się Rachel. Wzięła fotelik i pospieszyła z powrotem do babci, aby pokazać jej najmłodszą prawnuczkę.

– Nie budź jej – zawołałem za nią.

Obejrzała się przez ramię i pokręciła głową. Wiem, że potrafiłem być upierdliwy i za często zwracałem Rachel uwagę, jeśli chodzi o dzieci, ale wyczuwałem teraz coś głębszego. Stałem na krawędzi, niebezpiecznie rozchwiany i gotów zakwestionować jej matczyne umiejętności – a to najboleśniejsza szpila, jaką można wbić pracującej matce. Dobrze świadczy o mnie, że miałem tego świadomość, ale traciłem ją za każdym razem, gdy nie byłem w stanie ani trochę popuścić. Czy naprawdę jest takie ważne, żeby Laney się nie obudziła?

Opanowałem się (ledwo, ledwo) i nic nie mówiąc, wypakowywałem bagaże.

W domu natknąłem się na teścia. Wysoki facet o szerokich barach i najserdeczniejszym uśmiechu, jaki zdarzyło mi się spotkać, wziął ode mnie jedną z toreb. Popatrzyliśmy na siebie, prosto w oczy.

- Cześć. – Byłem szczerze uradowany, że go widzę.
- Cześć – powiedział. – Masz tego więcej w bagażniku?
- Nie, już wszystko.

Odwrócił się i podążyłem za nim do pokoju, w którym mieliśmy nocować. Czasami, kiedy patrzyłem, jak chodzi, to jakbym widział Rachel. Oboje mieli krok lekkoatlety, jakby zawsze byli gotowi rzucić się w pościg za jakąś prędko uciekającą zwierzyną.

- Jak ogród? – zapytałem.
- Super, naprawdę super.

Teść był zapalonym botanikiem amatorem. Nigdy nie rozumiałem tego pociągu do flory, więc nie miałem na ten temat nic do dodania. Popatrzył na mnie i pokiwał głową.

- Muszę znaleźć żonę – stwierdził, odchodząc.
- Westchnąłem. Ocean wzywał.

*

Po godzinie byliśmy prawie gotowi na spacer po plaży. Rachel została w pokoju, gdzie przygotowywała Laney na jej pierwszą wyprawę do wielkich piasków. Jake bawił się na ulicy przed domem, odbijając kamyki żółtym zabawkowym kijem bejsbolowym. Robił przy tym tyle hałasu, że nie usłyszałem, kiedy podeszła do mnie babcia M.

- Hej tam – zagadnęła.
- Cześć, babcia.
- Jak ci leci? – zapytała.

Spojrzałem na nią i natychmiast wyczułem, w jakim kierunku zmierza ta rozmowa. Babcia M. stała z wyprostowanymi plecami, gotowa powiedzieć mi coś, czego nie chciałem słyszeć. Jej krzaczaste siwe brwi uniosły się, a mleczone prababcine oczy zdawały się bystrzejsze, niż miały prawo być w tym wieku.

- Świetnie. Naprawdę dobrze.
- Grasz nadal w pokera?

Babcia grała w każdy czwartek wieczorem z innymi paniami z półotwartego domu spokojnej starości. Często wyobrażałem sobie, jak z zielonym daszkiem na głowie rżnie w karty tak ostro, że oskubuje leciwe panie z ich ostatniego grosza.

- Dwa razy w miesiącu – powiedziałem. – Mam teraz dwie grupy.
- Wiesz – zauważyła, oblizując spierzchnięte wargi – poker to nie praca.

Zamknąłem oczy. Miałem ochotę krzyknąć. Na szczęście Rachel przysłała mi na ratunek.

- Gotowi? – zawołała.

Otworzyłem oczy i zobaczyłem, że idzie w moją stronę z opatuloną w kocyk Laney przytuloną do piersi.

– Chodźmy! – krzyknął Jake.

Pobiegł przodem, a ja dołączyłem do Rachel. Ściszym głosem opowiedziałem jej, co powiedziała babcia.

Roześmiała się.

– Nie miała na myśli nic złego.

– Pewnie nie – zgodziłem się, obserwując Jake’a. – Ale przyznaję, że skręca mnie w żołądku, kiedy ludzie mówią mi takie rzeczy.

– Jakie?

– Na temat pracy.

– Dlaczego? Przecież pracujesz.

– Chyba jestem na tym punkcie przewrażliwiony. – Zaśmiałem się. – Myślę, że babcia właśnie nazwała mnie mięczakiem.

Rachel aż zarechotała z rozbawienia.

– To do babci podobne. Zawsze rzuca się ludziom od razu do gardła.

Urwaliśmy rozmowę, bo musiałem dogonić Jake’a, który pobiegł drewnianym pomostem w stronę wydmy. Kiedy dotarłem na szczyt, syn był tuż przede mną. Zatrzymałem się nieruchomo, gdy słona chłodna bryza owiała mi twarz. Przed nami szare wody Oceanu Atlantyckiego rozlewały się falami na piasku, spokojne jak na tę porę roku. Odwróciłem się w samą porę, by zobaczyć Laney, gdy wiatr dmuchnął w jej świeżą twarzyczkę. Zachłysnęła się, tracąc na chwilę dech, a jej oczy otworzyły się szeroko. Jak na zawołanie kąciki idealnych drobnych ust wygięły się ku górze. Pisnęła, ale szybko umilkła, wyciągając rączki w stronę wody, która była wciąż pięćdziesiąt metrów dalej. Roześmiałem się. Rachel się roześmiała. I Jake również. Podbiegliśmy do siebie i objęliśmy się rodzinnie, podczas gdy ocean śpiewał nam swoją pieśń.

*

Kiedy wróciliśmy w kierat normalnego życia, zdałem sobie sprawę, jak ulotna potrafi być nirwana.

– Może mogłabyś pracować we wtorki w domu? – zapytałem, rozmawiając z Rachel przez telefon na początku następnego tygodnia po powrocie.

Wyglądałem przez okno na drugą stronę ulicy, gdzie na podwórzu po prawej od naszego domu odbywało się cotygodniowe spotkanie, żeby dzieci z sąsiedztwa mogły się wspólnie pobawić. Małeńkie istoty ludzkie odbijają się jedna od drugiej i od czterech ozdobnych drzew wiśniowych na podwórku Karen niczym piłeczki. Bo, Inianowłosa jedynak Karen, siedział pod krzakiem. Możliwe, że płakał. Nie byłem pewien. Wielu okolicznych dzieci w ogóle nie rozpoznawałem. Nie czułem się z tym faktem zbyt dobrze.

– Tatusiu – zawołał Jake z piętra. – Laney się obudziła.

Wymówił jej imię tak, że się uśmiechnąłem. Z czymś pomiędzy „l” a „ł” na

początku.

– Dobra – odkrzyknąłem, zasłaniając ręką słuchawkę. – Już idę.

– Muszę kończyć, Simon. Isabella chce, żebym wzięła udział w telekonferencji z klientem.

– Co twoim zdaniem powinienem zrobić?

Myślę, że mogło to zabrzmieć jak jęk rozpacz. Rachel ze swej strony nie zareagowała.

– Czemu po prostu go tam nie zaprowadzisz?

– Karen mnie nie zaprosiła – powiedziałem.

– Ale Lindsey, owszem, zaprosiła cię w zeszłym tygodniu.

Lindsey była jeszcze jedną mamą z naszej ulicy. Organizowała spotkanie dla dzieci tydzień wcześniej i – za pośrednictwem Rachel – zaprosiła mnie i Jake’a. Nie poszedłem, bo miałem coś do zrobienia (zakupy) i obezwładnił mnie trudny do wyjaśnienia lęk. Opiekująca się dziećmi w domu matka pewnie by tego nie zrozumiała. Gdy patrzyłem na nie przez okno, odnosiłem wrażenie, że żyją dla tych wtorkowych spotkań. Wyobrażałem sobie siebie, jak siedzę na miękkiej kanapie i z filiżanką cappuccino w dłoni kiwam z zainteresowaniem głową, podczas gdy któraś z kobiet wyznaje, jak poród wpłynął na jej kobiece narządy albo jak jej mąż śmiesznie stęka po orgazmie.

– Słuchaj, zobaczę, co da się zrobić – obiecała Rachel. – Ale na pewno nie uda mi się tego załatwić w tym miesiącu. Nie zależy mi, czy tam pójdziesz, czy nie. To tylko spotkanie rodziców i dzieci, nic wielkiego.

Kiedy wyglądałem przez okno, dźwięki wydawane przez bawiące się dzieci szarpały mi nerwy niczym Slash z Guns N’ Roses. Wyobrażałem go sobie nawet z szalonym afro pod cylindrem, jak brząka w synapsy w mojej mózgowicy. Reakcja Rachel pozostawiła we mnie niedosyt. Wyobraziłem sobie, nie po raz pierwszy, jak zamieniamy się rolami. Rozparłbym się w swoim fotelu na kółkach, oparłbym nogi o blat biurka i powiedział: „To tylko spotkanie rodziców i dzieci, nic wielkiego”.

– Łatwo ci mówić.

– Weź głęboki oddech. To naprawdę nic wielkiego.

Roześmiałem się, bo nagle zdałem sobie sprawę z absurdalności swojej sytuacji: dorosły mężczyzna, który boi się pójść z dzieckiem na wspólną zabawę.

– Kurde, chyba jestem z pięć kroków do przodu. Brak wspólnych zabaw doprowadzi do tego, że Jake nie zintegruje się z grupą, jako nastolatek będzie samotnie siedział w piątce wieczorem w domu, słuchał muzyki alternatywnej i czytał gównianą literaturę w rodzaju Sylvii Plath.

– Bardzo zabawne – powiedziała.

Nawet ja wiedziałem, że przesadzam. Pomyślałem o swoim dzieciństwie. Przypomniał mi się dobry kolega z czwartej klasy, który zwrócił się przeciwko

mnie i powiedział reszcie klasy, że wciąż oglądam kreskówki. Potem już nigdy właściwie nie rozmawialiśmy. Po zastanowieniu mógłbym wymienić inne podobne przykłady. Życie polegało na przewyciężaniu tego rodzaju trudnych momentów. Moje dzieci też takich potrzebowały. Patrząc na rzecz racjonalnie, nie mogłem się nie zgodzić.

– Masz rację – przyznałem i poczułem się silny, jakbym właśnie wszystko rozgryzł. – Prawdziwi mężczyźni nie chodzą na dziecięce zabawy.

Rachel znowu wybuchnęła śmiechem, naprawdę szczerze. Jego dźwięk przyniósł mi ulgę, ale też wywołał nostalgię. Uśmiechnąłem się.

– Właśnie takiego cię kocham – usłyszałem.

– I lepiej o tym nie zapominaj – odpowiedziałem ze śmiechem.

Laney, która miała wtedy pięć miesięcy, obudziła się jak aniołek. Od pierwszego dnia na tej planecie sprawiała wrażenie szczęśliwej, że ma otwarte oczy, tak jakby nie chciała niczego przegapić. Natomiast foteliki samochodowe i kołyski zdawały się ograniczać jej poczucie swobody. Wziąłem małą na ręce i przytuliłem do piersi, napawając się kojącym ciepłem jej drobnego ciała.

– Mogę ją potrzymać? – zapytał Jake, stojąc u moich stóp.

– Jeszcze nie, synku. Muszę ją przewinąć.

Zmarszczył brwi i wymaszerował z pokoju.

– Będiesz mógł ją potrzymać, kiedy przewinę. A potem pójdziemy do parku. Weźmiemy twój rowerek.

Mimo że pogoda nie mogła być lepsza, ubrałem Laney w ciepły pajacyk, czyli w jedno z tych ubranek, które robią jednocześnie za skarpetki, spodenki i koszulkę z długim rękawem. Oczywiście różowy. Właściwie wszystkie jej rzeczy były różowe albo fioletowe. Nie miała ani jednego ubranka po Jake’u. Nic z jego niemowlęcej garderoby nie przetrwało mojej opieki. Nie dość, że kompletnie ignorowałem istnienie śliniaków, to jeszcze wrzucałem wszystkie ubranka do pralkosuszarki jak leci – nieważne, czy białe, czy ciemne – a na dodatek nie miałem pojęcia, jak działa wybielacz (a może po prostu udawałem głupiego). Tak czy inaczej, przy Laney bardziej się starałem. Zasługiwała na to, by wyglądać tak, jakby ubierała ją matka.

Z córeczką na rękach ostrożnie zszedłem po schodach. Prawie zapomniałem o lęku przed umówioną grupową zabawą. Ale wtedy zobaczyłem Jake’a. Stał przy oknie i wyglądał na dwór. Bez kontekstu byłby to materiał na jedno z tych wspaniałych zdjęć, które rodzice publikują na Facebooku. Promienie słońca wpadały przez szybę, zalewając Jake’a światłem, i kładły się jaśniejszymi plamkami na zieleniach i brązach roślinności na zewnątrz.

W tym kontekście jednak obrazek opowiadał zupełnie inną historię. Jake patrzył na grupę bawiących się dzieci. Zrobiło mi się niedobrze.

– Wszystko gra, synku? – szepnąłem.

Nie odpowiedział. Nie byłem z tego dumny, ale te myśli do mnie wracały. Widziałem przyszłość w ponurych barwach, z odrzuceniem, samotnością, ostracyzmem. Fakt, że Jake nie odpowiedział, nadał tej wizji jeszcze bardziej realne kształty – tak, że zdawała się żyć i oddychać, sunąc przez pokój niczym widmo. Laney poruszyła się w moich ramionach. Też to poczuła. I wtedy podjąłem decyzję.

Postanowiłem pójść na spotkanie w następny wtorek. Nie zamierzałem pozwolić, by moje obawy kładły się cieniem na emocjonalnym życiu syna. Będę go chronić – jego i Laney, chociaż właściwie już wiedziałem, że w tego rodzaju sprawach Laney radzi sobie znacznie lepiej niż ja.

*

Nadszedł następny wtorek. Tym razem spotkanie dla dzieci organizowała inna mama, Regina Wold, urodzona i wychowana w New Jersey, która wyszła za księgowego, entuzjastę sportu. Same słowa „umówiona zabawa grupowa” budziły we mnie zabobny lęk. Zacząłem wymawiać je szeptem, tak jak starsi ludzie mówią o raku.

Tamtego ranka wypiliśmy dodatkowy kubek kawy w płonnej próbie odsunięcia w czasie tego, co jak się spodziewałem, będzie torturą. Jake snuł się po domu, chyba też przeczuwał, że zbliża się koniec naszego świata. Laney z kolei zupełnie się nie przejmowała. Gaworzyła sobie radośnie, już zapięta w swoim foteliku samochodowym.

Wziąłem Jake’a za rękę, podniosłem Laney i poszliśmy do garażu. Już pora. No, może niezupełnie. Sprawnie rozłożyłem drogi wózek, prezent od moich rodziców podszyty wyrzutami sumienia, że zabrakło ich przy narodzinach małej. Byli za granicą w odwiedzinach u dalszej rodziny i wrócili dopiero dzień po.

Umieściłem fotelik z Laney na stelażu i odsunąłem się na bok. Jake wskoczył na belkę między tylnymi kołami. Uwielbiał jeździć w taki sposób, kiedy wybieraliśmy się na rodzinne spacerki. Nie miał jednak pojęcia, że spacer będzie inny niż zwykle. Zastanawiałem się, czy nie zastawiam na syna pułapki, ale naprawdę nie wiedziałem, czy mu się to spodoba, czy nie. Może niepokój odczuwałem tylko ja.

Woldowie mieszkali na samym końcu ślepej uliczki. Mimo że uważałem Karen za burmistrznię sąsiedztwa, Regina dzierżyła u nas berło królowej. Rządziła nami łaskawie, pewna siebie i wywyższona. Jej mąż jeździł istnym cackiem – mercedesem cabrio, a ona co miesiąc urządzała imprezy, na których sprzedawała sąsiadkom biżuterię czy coś podobnego. Szanowałem Reginę. Chociaż nieśmiało unikałem z nią konfrontacji, była rozsądna i prostolinijna.

Chyba nie byłbym w stanie iść jeszcze wolniej niż wtedy, gdy szliśmy w stronę jej domu. Żołądek zwijał mi się i skręcał. Za dużo kawy, pomyślałem.

– Tatusiu?

Odwróciłem się do Jake’a.

– Tak?

– Dokąd idziemy?

Uśmiechnąłem się.

– Do domu Corey i Catherine. Idziemy na zabawę.

– Kim są Corey i Catherine? – zapytał.

– Przecież wiesz! Nasze sąsiadki.

Popatrzył na mnie tak, jakbym zmienił się w dziwną futrzaną postać z wesołego miasteczka, która budzi niejasne poczucie grozy.

W odpowiedzi zadzwoniłem do drzwi. Otworzyła nam Regina.

– Och, następnym razem po prostu wejdźcie. Nie ma potrzeby dzwonić – powiedziała.

Zatkało mnie. Niby jak miałbym to zrobić? Nie było absolutnie mowy o tym, żebym wszedł niezaproszony do obcego domu.

– Wejdźcie, zapraszam – dodała, potrząsając głową. Pochyliła się. – Cześć, Jakey. Jak się masz?

Mały schował się za moją nogą. Niezdarnie starałem się przekonać go, żeby stamtąd wyszedł, a jednocześnie zabrałem się do wyjmowania Laney z wózka. Regina roześmiała się wyrozumiale, a potem wzięła Jake’a za rękę. Ten, zdumiony, poszedł za nią, oglądając się na mnie niepewnie.

– Reszta dzieciaków jest na dole – powiedziała mu.

Oboje zniknęli w drzwiach, które – jak się zdawało – prowadziły do piwnicy. Laney objęła mnie za szyję, ale gdy spojrzałem na jej buzię, sprawiała wrażenie radosnej i podekscytowanej. Idąc za głosami innych gości, skierowałem się do kuchni.

Kiedy wszedłem, powitał mnie chór:

– Cześć, Simon.

Ktoś wyciągnął ręce po Laney, a ja bez namysłu ją oddałem. Ktoś wskazał mi krzesło. Ktoś podał mi filiżankę kawy (moją piątą dziś rano). Wszystko wydarzyło się tak szybko, jakbym znalazł się w jakichś ogromnych objęciach. Przyznaję, że ciepłe przyjęcie w połączeniu z moim niepokojem sprawiło, że zrobiłem się jeszcze bardziej nerwowy.

– Pani Simons... – powiedział ktoś po prawej ode mnie. Odwróciłem się, bo się przesłyszałem i myślałem, że mowa o mnie. Okazało się, że chodzi o nauczycielkę ze szkoły. Zerknąłem na Reginę, kiedy ta znowu się pojawiła. Zacząłem się zastanawiać, w jakim przedziale wiekowym są dzieci bawiące się w piwnicy. Córnka Lindsey była w wieku przedprzedszkolnym, więc od niecałych dwóch do jakichś pięciu lat. Mamy wydawały się jak najbardziej zadowolone i spokojne, a ja co rusz gapiłem się na drzwi do piwnicy. Niektórzy uważają, że

mężczyznom brakuje cierpliwości do odpowiedniego wychowywania dzieci. Golf wymaga cierpliwości, a faceci go uwielbiają. Sam widzę to inaczej. Mężczyźni są tylko przywódcami stada dumnymi ze swych bujnych złotych grzyw. Leżymy sobie i odpoczywamy aż do czasu, gdy trzeba czegoś bronić. Wtedy najlepiej zejść nam po prostu z drogi.

Uznałem, że powinienem zajrzeć do Jake'a. Jako domator (chyba) nie przyzwyczailem synka do funkcjonowania w dużych grupach. Wyobrażałem sobie, że w piwnicy dochodzi do dantejskich scen. Jake przywiązany do stołu z modelem kolejki, piłowany plastikowymi narzędziami stolarskimi. Zerknąłem na Laney – nie byłem pewien, czy mogę zostawić ją tutaj, przy kuchennym stole, i samemu pójść do Jake'a.

Laney śledziła oczami mówiące osoby. Zdumiewało mnie, że cały czas wygląda na zafascynowaną rozmową. Uśmiechała się w odpowiednich momentach, pomrukiwała potakująco, a nawet chrząkała z dezaprobatą, kiedy trzeba. Starąłem się robić to samo, ale myślami wracałem obsesyjnie do tego, co się działo w piwnicy. Wydaje mi się, że niektóre z mam rozmawiały o diecie oczyszczającej.

– Rano piję szejka, a potem przekazam coś nieprzetworzonego.

Regina popatrzyła na mnie, więc pokiwałem głową, chociaż nie wiedziałem właściwie, o co chodzi z tym nieprzetworzonym jedzeniem. Domyślałem się, że nie wcinała na śniadanie ochłapów krwistego surowego mięcha.

– Masz ochotę na kromkę chleba-jeżyka? Karen go upiekła. Palce lizać.

– Nie, dzięki. – Pokręciłem głową. – Zjadłem już śniadanie.

Podnosząc filiżankę, zdałem sobie sprawę, że ręka mi się trzęsie. Na pewno przez kofeinę. Laney zrobiła taką minę, jakby chciała odpowiedzieć na coś, co powiedziała Karen. A tak w ogóle, co to jest ten chleb-jeżyk?

– Pójdę zajrzeć do Jake'a – oznajmiłem znienacka. – Mogę?

Rozmowa ucichła. Wszystkie kobiety, włącznie z moją własną córką, gapiły się na mnie.

Regina się roześmiała.

– Na pewno nic mu nie jest.

– Jasne – zapewniły inne.

– Ale tylko sprawdzę. Mogę zostawić tutaj Laney? Doskonale się bawi.

Regina pokiwała głową, bardziej do reszty towarzystwa niż do mnie. Tairyn, która trzymała Laney, pocałowała puszystą czuprynkę mojej córeczki i wszystkie mamy skupiły uwagę właśnie na niej. Zaczęły rozmawiać o jej ubrankach. Laney się uśmiechnęła – to był jeden z jej pierwszych uśmiechów.

Kompletnie olany, wstałem od stołu. Otworzyłem drzwi do piwnicy i obejrzałem się za siebie. Nikt nie zwracał na mnie uwagi, więc ruszyłem na dół.

*

Piwnica – często zastanawiam się, czy nie odczytałem źle tej sceny. Samo miejsce sprawiało na mnie wrażenie jakichś koszmarnych kazamatów. Dzieci łażące po podłodze wśród fur zabawek, tańczący derwisze wśród wybuchów śmiechu i płaczu. Zrobiłem chwiejny krok w tył i rozglądałem się w poszukiwaniu Jake’a. Znalazłem go: siedział w kącie z lalką Buzza Astrala w ręce, wpatrzony w inne dzieci. Dla nich z kolei Jake mógłby być kupką kurzu.

Zszedłem na sam dół. Mała dziewczynka o lnianych włoskach, może czteroletnia, przydreptała do mnie i podniosła rączki, jakby prosiła, żebym ją wziął na ręce. Stałem przed nią oniemiały.

– Chcę tam – powiedziała.

Wskazała krąg odgradzony plastikowym kojcem dla raczkujących dzieci. Nie widziałem w środku żadnych zabawek, ale dziewczynka nie dawała za wygraną.

– Chcę tam.

Niezdarnie podniosłem ją i umieściłem w kojcu. Rozejrzałem się po pomieszczeniu, szukając Bo. Grał w memo z trójką innych dzieci. Z jakiegoś powodu nosił na głowie tiarę. Jake zauważył mnie i podbiegł.

– Możemy już iść? – zapytał.

Serce mi się krajało.

– Jeszcze nie. Nie chcesz się bawić z innymi?

Pokręcił głową. Znowu rozejrzałem się po piwnicy. Chociaż wiedziałem, że na interpretację tego, co widzę, wpływają moje własne emocje, zobaczyłem, że wszystkie inne dzieci bawią się w jednej wielkiej grupie. Na zdrowy rozum było to zupełnie niemożliwe. Przecież chwilę wcześniej włożyłem jasnowłosą dziewczynkę do kojca, ale widziałem to inaczej.

Czemu Jake nie chciał się bawić z dziećmi?

W tamtej chwili pytanie utkwilo mi głęboko w podświadomości, by pozostać tam już na zawsze. Możliwe, że sama wątpliwość zrodziła się wcześniej, nieśmiało próbując zapuścić korzenie w żyznej glebie mojego introwertycznego umysłu, ale zyskała realne oparcie właśnie w tym momencie. Jake nigdy nie prosił, żebyśmy zaprosili do domu jego kolegów. W wieku przedszkolnym na placach zabaw trzymał się trochę z boku. Co ja narobiłem? Czekały mnie całe lata zwątpienia we własne umiejętności wychowawcze, wyrzutów sumienia i niepewności.

Po pewnym czasie, nie dość szybko, wracałem z dziećmi do domu. Kiedy tylko weszliśmy do garażu, Jake rzucił się biegiem przed siebie i zniknął na dole w swoim pokoju zabaw. Laney odwróciła głowę, jakby pragnęła wrócić do domu Reginy. Przytuliłem ją czule, a potem zacząłem przetrząsać szafki z zabawkami w poszukiwaniu gry memo. Chciałem nauczyć Jake’a, jak się w to gra.

Laney poprosiła o posadzenie na huśtawce dziecięcej – a w każdym razie zamachała w jej stronę – więc umieściłem ją tam i wziąłem do ręki telefon.

Zadzwoiłem do Rachel.

– Jak było? – spytała.

– Okay.

Milczała chwilę.

– Nie, pytam serio.

Tama puściła.

– Jake z nikim się nie bawił. Te dzieciaki bawią się razem od dziesięcioleci.

– Na pewno nie od dziesięcioleci – sprostowała Rachel.

– Co?

– Te dzieciaki na pewno nie bawią się razem od dziesięcioleci.

– Jezu, Rachel. – Potarłem oczy. – Wiem.

– Czy inne dzieci były dla niego niemiłe?

– Nie wydaje mi się. Znasz Jake’a. Duża grupa po prostu go przytłacza.

– A jak tam wszystkie mamy? – Zadała to pytanie z wahaniem, jakby bała się odpowiedzi.

– W ogóle nie mają ochoty mnie tam widzieć. Prawdopodobnie chcą sobie pogadać o biustonoszach i takich tam bzdurach. Zresztą nie wiem... Jestem facetem!

Resztę wolałem przemilczeć. Ale nie można było tego nie zauważyć, jak hipopotama w kuchni. Ona powinna była zostać w domu i opiekować się dziećmi. Na szczęście nie wydaje mi się, żeby Rachel się tego domyśliła, bo w przeciwnym razie rozmowa potoczyłaby się zupełnie inaczej.

– Gdzie Jake?

– W piwnicy. Gdzież by indziej? Pewnie bawi się tym obwodem drukowanym, który dostał od twojego taty.

– A jak tam Laney?

Roześmiałem się.

– Była świetna.

– Zero zaskoczenia.

– To prawda.

– Muszę ci coś powiedzieć, Simon, więc postaraj się nie denerwować. Wiem, że ciężko ci się w tym wszystkim odnaleźć, i jak najbardziej ciebie rozumiem. Wytyczasz nowe szlaki wbrew kulturowej normalności.

– Ładnie – przerwałem jej zupełnie bez sarkazmu. Ujęła to tak zręcznie, że poczułem się jak wielki pionier i odkrywca. Jak Neil Armstrong albo Kapitan Kirk.

– Ale posłuchaj, to nie ich wina. One chcą, żebyś poczuł się mile widziany. Inne mamy chcą, żebyś bez oporów mógł chodzić na tego rodzaju spotkania.

– Więc to wszystko moja wina – stwierdziłem chyba nie bez urazy.

– Wcale nie. One prawdopodobnie też czują się niezręcznie. Pamiętaj, że nie robią tego złośliwie. Nie próbują cię oceniać. Po prostu sytuacja jest inna.

Roześmiałem się.

– Dlatego że mam fiuta?

– Simon! – Udała urażoną, ale jestem przekonany, że się uśmiechnęła.

– Przepraszam. Może pójdę do garażu i pomajsterkuję: zrobię stół albo krzesło. A może wymienię olej w samochodzie.

– Nawet nie wiesz, jak się do tego zabrać.

– Myślisz, że powinienem raczej włożyć sznur pereł i poszaleć po domu z odkurzaczem?

Żartowaliśmy, ale zbliżyliśmy się do rzeczywistości na tyle niebezpiecznie, że sam wolałem nie brnąć w to dalej.

– Dzięki za zrozumienie – powiedziałem.

– Zawsze się staram – zapewniła. – Myślę, że w przyszłym tygodniu uda mi się zostać w domu. Tym razem ja zabiorę dzieci na zabawę.

Miałem ochotę wiwatować.

– Dobra.

– Kocham cię, Simon. Świetnie sobie radzisz.

– Ja też cię kocham.

Odłożyła słuchawkę, a ja się uśmiechnąłem – reakcja człowieka, któremu odroczone egzekucję.

ROZDZIAŁ 6

DZIEŃ PIERWSZY: TRZY GODZINY PO STRZELANINIE

Jestem teraz sam. Niezupełnie sam w tym sensie, że nikt inny nie pozostał w kościele, ale wszyscy rodzice już wyszli. Obserwowałem, jak funkcjonariusz policji wyprowadzał ostatnich z tej trzynastki rodzin jednych po drugich. Pierwszy wezwany rodzic, mama, której nie znam, choć widywałem ją w okolicach szkoły, sprawiał wrażenie zupełnie zagubionego. Kilka sekund po tym, gdy zniknęła za zamkniętymi drzwiami, usłyszałem jej krzyk. Zszokowany, odwróciłem głowę. Zobaczyłem wszystkich pozostałych, jakby ich twarze nagle stały się wyraźne.

W ławce za mną, trochę po prawej, siedziała Evelyn Marks. Jej córka, Leigh, chodziła z Jakiem do pierwszej, drugiej i trzeciej klasy. Na myśl cisnęło mi się wspomnienie: Evelyn i ja siedzimy obok siebie na ławce i patrzymy, jak nasze dzieci bawią się w nadmuchiwanym zamku na ósmych urodzinach Joeya Franklina. Matka Amandy Brown, jednej z koleżanek Laney, z trupio bladą twarzą wpatrywała się w pustkę. Julia George obejrzała się przez ramię, oczy miała wielkie i okrągłe ze strachu. Przez trzy lata trenowałem jej syna Jamesa w piłce nożnej.

Teraz już ich nie ma. Jestem ostatni. Gdzieś na obrzeżach mojej świadomości tli się jeszcze nadzieja, powstrzymuje ponurą i przytłaczającą wizję, którą staram się od siebie odpychać. Jestem pewien, że dzieci innych rodziców są w najlepszym przypadku ranne, a w najgorszym martwe. To straszna myśl, ale prawdziwa.

Nie mogę nic zrobić, więc myślę. W głowie rodzą się pytania: Czy Jake mógł dzisiaj wagarować? Czy robił to wcześniej? Czy naprawdę wiem, co robił wtedy, gdy powinien był być w szkole?

Może Jake gdzieś się ukrywa...

Czy Jake...?

Nagle łuski strachu opadają mi z oczu. Mam jedną jasną myśl. Ze wzrastającym zdenerwowaniem wyciągam z kieszeni iPhone'a. Przechodzę od razu do ostatnich połączeń i wybieram numer Jake'a. Jego zdjęcie wyświetla się na ekranie: uśmiecha się, ma założoną tył na przód czapkę bejsbolową Notre Dame Fighting Irish.

Każdy dzwonek jest niczym rozgrzane żelazo wsuwane pod paznokcie moich emocji. Umysł krzyczy „NIE” raz za razem, gdy ściskam telefon w garści tak mocno, jakby był krawędzią bezdennego wąwozu.

Po piątym sygnale ktoś odbiera.

– Jake... synu – mówię łamiącym się głosem. Nic mu nie jest!

Słyszę dziwne szeleszczenie, jakby pocierał telefonem o jakąś tkaninę. Stłumione głosy są ledwo słyszalne – jak głosy duchów w szumach elektrostatycznych.

– Jake!

Głośniejszy szelest, a potem połączenie zostaje zerwane. Siedzę nieruchomo, z chłodną szybką ekranu przyciśniętą do ucha, i próbuję złapać oddech. Wybieram numer jeszcze raz, a potem znowu i znowu. Nikt nie odbiera. Ręka z telefonem opada, spuszczam głowę, pulsują mi skronie.

Zamroczyło mnie. Rzeczywistość odsuwa się – jest jej mniej i więcej zarazem. Staje się paraliżującą nieobecnością, której towarzyszy bolesna, kłująca świadomość. Podnoszę wzrok na drzwi, ale wciąż nie potrafię ogarnąć możliwości, że Jake’a już nie ma. Właśnie odebrał telefon. Ten jeden raz odebrał. To musiał być on.

Dzwoni moja komórka. Sięgam po nią niezdarnie, moje palce zdają się należeć do kogoś innego. Odbieram i słyszę głos żony, a nie Jake’a. Jest przerażona.

– Policja tu jest!

– Powiedz im, że właśnie do niego zadzwoniłem.

Mówi stłumionym głosem: bomba przed wybuchem.

– Są w naszym domu.

– Jak to?

– Policjanci ze SWAT są wszędzie.

– Gdzie jesteś? W samochodzie?

– Chce, żebym zaparkowała – mówi.

Słucham oderwanych dźwięków dochodzących do słuchawki. Moja żona z kimś rozmawia, przypuszczalnie z policjantem. Odgłos telefonu pocierającego o materiał, mikrofon trzeszczy tak, że ledwo słyszę stłumione głosy. Rachel musi podnieść telefon znowu do ucha, powiedziec mi wyraźnie, co jest grane.

– Rachel! – krzyczę.

Wciąż słyszę, jak rozmawia. Chodzi o jakieś „wejście”. Kiedy znowu odzywa się do telefonu, jest wściekła.

– Nie chcą mnie wpuścić, Simon. – Jej złość zmienia się w strach.
– Przeszukują dom.

– Jak to przeszukują dom? Powiedziałaś im o telefonie?

– Jakim telefonie?

– Zadzwoniłem na telefon Jake’a. Odebrał.

– Rozmawiałaś z nim?!

– Nie, nie odezwał się. Słyszałem tylko...

Nie wiem, co powiedziec. Nie jestem nawet w stanie zadać sobie pytania,

dlaczego policja może przeszukiwać nasz dom.

Wreszcie Rachel znowu się odzywa.

– Jedź do nas.

– Nie mogę. Czekam na Jake’a. Dzwoniłem na jego komórkę. Odebrał...

Ktoś odebrał...

Odwracam się. W drzwiach do kościoła stoi policjant. Patrzy prosto na mnie. Odwracam się. Odejdzie, jeżeli nie będę zwracał na niego uwagi. Zamykam oczy. Wszystko zniknie, jeśli nie będę na to patrzył. Zniknie – nie tak jak sen, ale tak, jakby to nie była rzeczywistość. Nic tutaj nie dzieje się naprawdę. Sam też nie jestem prawdziwy.

– Panie Connolly?

– Co się dzieje? – pyta mnie Rachel.

– Panie Connolly.

– Nic – odpowiadam.

– Kto to? Co się dzieje? Simon?

– Nic – powtarzam.

Policjant stoi teraz nade mną.

– Musi pan ze mną pójść.

– Simon.

Co to wszystko znaczy?

*

Policjant prowadzi mnie do pomieszczenia przy zakrystii. Białe lniane obrusy zakrywają drewniany stół o grubych nogach. Foliowa torebka pełna białych opłatków, białych i idealnie okrągłych, leży na blacie w głębi. Na kołkach przy drzwiach wiszą komże i ornaty. Wiem, że zapamiętam ten pokój z najmniejszymi szczegółami. Na zawsze.

Policjant odsuwa dla mnie krzesło. Siadam, a on siada naprzeciwko i kładzie na stole oprawny w skórę notatnik. Jego długopis idealnie mieści się w środku spiralnego drutu trzymającego kartki. Policjant wyciąga go i otwiera zeszyt. Po raz pierwszy spogląda mi w oczy. Przypuszczam, iż dlatego, że do tej pory nie patrzyłem mu w twarz.

– Muszę zadać panu kilka pytań – mówi.

Jakiś pierwotny, atawistyczny instynkt domaga się, bym go uderzył. Mój mózg nie jest w stanie podać żadnego powodu, żeby to zrobić, ale i tak muszę się powstrzymać. Kiwam głową.

– Jest pan ojcem Jake’a Connolly’ego?

Kiwam głową, ale on zdaje się czekać na coś więcej.

– Tak.

– Czy Jake pojechał dzisiaj do szkoły?

– Tak. Ale czy może mi pan wyjaśnić, co się dzieje? Nic mu nie jest?

Policjant milczy chwilę, jakby zastanawiał się nad doborem swoich słów. Z jakiegoś powodu wywołuje to we mnie większy strach niż wszystko, co się dotąd wydarzyło. Wreszcie odpowiada.

– Na razie miejsce pobytu Jake’a pozostaje nieznane. Wiemy tylko tyle, że jego samochód znaleziono na parkingu dla uczniów.

– Co to znaczy? Właśnie przed chwilą odebrał telefon.

Policjant zagląda do notatnika, stukając w niego, jakby nagle coś zrozumiał.

– Czy pański syn zna Douga Martina-Kleina?

Zalewa mnie fala – całego mojego życia, całego życia Jake’a, tego, co się stało. Wszystko to spada na mnie jak wielka fala przyływu. Tonę.

– Panie Connolly?

– Mogę poprosić o szklankę wody? – pytam zachrypniętym głosem.

Policjant przygląda mi się uważnie. Moje pierwotne instynkty zniknęły. Patrzy, jakby robił na mnie wiwisekcję. Oстрым niczym skalpel wzrokiem odsłania moje wyrzuty sumienia, lęk i poczucie klęski. Rozumie to wszystko tak, jak ja nagle zdałem sobie z tego sprawę, gdy wymienił znane mi imię i nazwisko.

Policjant wychodzi z zakrystii. Przez jakiś czas jestem sam, nie wiem, jak długo. Wybuch emocji niknie. Jestem odrętwiała, ale znowu myślę. Kiedy policjant wraca z kobietą w garniturze z pomiętymi spodniami, noszącą czarne proste włosy spięte w długi kucyk, aż nazbyt dobrze zdaję sobie sprawę, co się dzieje.

– Myślicie...

Powstrzymuję się. Mimo że słowa brzmią strasznie, muszę być ostrożny. Miałem zamiar powiedzieć: „Myślicie, że Jake jest w to jakoś zamieszany”. Powód, dla którego tak myślę, jest prosty – Doug Martin-Klein.

– Dzień dobry, panie Connolly. Jestem detektyw Anderson. Zastanawiałam się, czy mogłabym zadać panu parę pytań.

– Proszę posłuchać, idę znaleźć Jake’a.

Wstaję. Pierwszy policjant zagraża mi drogę do wyjścia.

– Proszę, niech pan siada – mówi detektyw Anderson. – My też chcemy go znaleźć.

Jestem wściekły. Jej ton każe się domyślać, że naszą chęcią znalezienia mojego syna powodują zupełnie odmienne motywy.

– Co to ma znaczyć?

Detektyw Anderson mruga oczami. Mój telefon znowu dzwoni. Rachel.

Odbieram, nie pytając, czy mogę. Pani detektyw macha zezwalająco ręką i spogląda na policjanta.

– Rachel?

– Myślą, że Jake jest w to zamieszany – mówi głosem bliskim hysterii.

Patrzę na detektyw Anderson, ale rozmawiam z Rachel.

– Nic wam nie jest?
– Cholera jasna! Słyszałeś, co powiedziałam? Myślą, że Jake zastrzelił te dzieciaki!

– Wracam do domu, uspokój się. – Mój głos brzmi, jakbym był pozbawiony duszy.

Rachel łka, z trudem łapie oddech.

– Muszę się dostać do domu – mówię.

Detektyw Anderson kiwa głową do faceta w mundurze.

– Funkcjonariusz Gunn pana zawiezie.

– Mam samochód – odpowiadam.

– Dostarczymy go panu. Wcześniej musimy do niego zajrzeć. W porządku?

– Do mojego samochodu?

Kiwa głową.

– Zależy nam tylko na tym, żeby znaleźć Jake'a.

Nie wierzę w to, co mówi. A w każdym razie nie dowierzam jej zamiarom. Słowa Rachel brzęczą mi w uszach, myśli zdają się pulsować i rozbłyskiwać niczym błyskawice. Myślą, że Jake strzelał do dzieci. To nie ma sensu. Oprócz jednego... Oprócz Douga Martina-Kleina.

ROZDZIAŁ 7

JAKE: WIEK SIEDEM LAT

Dziesięciu siedmiolatków krzyczało, wdrapując się po siatce ogrodzenia niczym małpki. Pozwoliłem im. Niektórzy rodzice i wszyscy inni trenerzy uważali, że nie umiem nad nimi zapanować – albo jeszcze gorzej. Ale mnie podobało się ich nastawienie. Przynajmniej nikt nie mógł mi zarzucić, że moje chłopaki nie mają frajdy.

– No, dalej, Jakey – zawołałem.

Stał tuż za polem miotacza, korki jego butów mocno wbijały się w rdzawoczerwoną maczkę. Buty wydawały się tak małe, że się uśmiechnąłem. Gdyby wiedział, że moim zdaniem wygląda „uroczo”, pewnie by mnie zabił. Pokręciłem głową i zwróciłem się do reszty chłopaków, członków naszej drużyny Hydraulików Johnsona, czy – jak lubiliśmy się sami nazywać – Mocarnej Zielonej Machiny.

– Kto następny? – Spojrzeli na mnie tak, jakbym zapytał o skład chemiczny paliwa raketowego. – Sprawdźcie na liście. Pamiętacie?

Podbiegli do mnie Ritchie i drugi Jake, Jake T. Odwróciłem się znowu w stronę boiska. Mój Jake poprawił jedną z rękawiczek pałkarskich i przyjął odpowiednią postawę, przygotowując się do odbicia. Bawiło mnie, że wszystkie dzieciaki miały po dwie rękawiczki pałkarskie, co najmniej jeden kij, własny kask i co najmniej jedną rękawicę łapacza. Prawie wszyscy, włącznie z moim synem, przechowywali ten ekwipunek w nylonowych torbach bejsbolowych.

Kiedy my byliśmy dziećmi, sprawy przedstawiały się trochę inaczej. Pamiętam, jak na treningi Małej Ligi stawiałem się w dżinsach, koszulce w paski i tenisówkach, donoszanych po siostrze. Trener miał w kąciku ust wymiędlone cygaro, a sprzęt, który przynosił, to zwykle cztery kaski (w większości brakowało piankowej wyściółki), dwa aluminiowe kije i – jak dobrze poszło – ekwipunek dla łapacza. Jeden chłopak przyszedł na pierwszy mecz z jedną rękawiczką pałkarza. Wszyscy patrzyliśmy na niego z zachwytem i nie przeszkadzało nam, że dwa razy skiksował. Stał się naszym idolem, a w każdym razie modliliśmy się do jego rękawiczki.

Jake zamachnął się na pierwszą piłkę tak mocno, że gdy chybił, o mało się nie przewrócił. Zauważyłem, że zrobił się czerwony na policzkach.

– Nie przejmuj się tak bardzo – powiedziałem cicho.

– Co, trenerze? – zawołał Ritchie za moimi plecami.

Odwróciłem się i uśmiechnąłem do niego, jednocześnie zwracając uwagę na

jednego z innych chłopaków.

– Carter, przestań to żreć. – Podeszedłem do niego.

Carter, dzieciak o sterczących włosach i tęnym wejrzeniu, siedział po turecku na ziemi. Jego pulchna dłoń, o parę centymetrów od otwartych ust, była pełna mączki ceglanej z boiska. Spojrzał mi w oczy i załadował całą garść piachu do buzi. Większość rozwiał wiatr, tworząc wokół krągłej głowy Cartera rdzawy obłok, ale widziałem, że zęby i język ma już brudne.

– Ja pierdzielę – mruknąłem.

– Carter mnie uderzył – poskarżył się Ben.

– Co?

Ben był naszym potężnie uderzającym, najlepiej łapiącym zawodnikiem, który wkrótce miał zostać miotaczem. Nie wyobrażałem sobie, żeby Carter mógł go uderzyć.

PRASK!

Odwróciłem się w samą porę, by ujrzeć, jak piłka przelatuje nad głową łącznika.

– Biegnij, biegnij, biegnij! – zawołałem, ale Jake był już przy pierwszej bazie. Śmigał między bazami, podczas gdy zapolowi, lewy i środkowy, po prostu gapili się na piłkę, która toczyła się między nimi w wysokiej trawie.

– Bierzcie piłkę! – darł się ich trener.

Jake biegł dalej. Mocarna Zielona Machina, oprócz Cartera, poderwała się i przyłgnęła do ogrodzenia. Druciana siatka dzwoniła, gdy wiwatowali.

– Jake! Jake! Jake! Jake!

Wreszcie lewy zapolowy podniósł piłkę. Do tego czasu Jake biegł już do trzeciej bazy.

– O rany! – Odruchowo wyrzuciłem ręce przed siebie, pragnąc, żeby się zatrzymał. Przykro by mi było, gdyby wyrzucili go po takim świetnym uderzeniu. Zapomniałem, że chodziło o siedmiolatków. Piłka poleciała z powrotem, nad trzecim bazowym, i trafiła w płot przed naszymi ławkami.

Korki Jake'a (małe i urocze) dotknęły torby na trzeciej bazie i mój syn pobiegł do czwartej bazy. Łapacz, który prezentował się bardzo profesjonalnie, rzucił swój kask na ziemię i stanął przed czwartą bazą. Jake ruszył prosto na niego, właśnie gdy trzeci bazowy popędził po piłkę. Podniósł ją w ostatniej chwili, by wykonać rzut. Piłka poleciała jak po sznurku do łapacza, ale tym razem wielka skórzana rękawica zawiodła. Piłka uderzyła o nią i się odbiła. Jake bezpiecznie dotarł do czwartej bazy.

Drużyna (oprócz Cartera) wbiegła na boisko, podczas gdy Jake spokojnym krokiem ruszył w stronę naszych ławek. Chłopaki skakały wokół niego, klepały go po plecach i pukały w jego kask. Uśmiechnął się i roześmiał, ale nic nie powiedział.

W tamtej chwili byłem z niego niesamowicie dumny. Z perspektywy czasu myślę, że miałem mnóstwo lepszych powodów do dumy z syna. Prawie codziennie patrzyłem na niego z uznaniem, szczęśliwy, że wyrósł na takiego świetnego chłopaka. Prawda była jednak taka, że jest coś wyjątkowego w chwilach, kiedy widzi się, jak własne dziecko dokonuje czegoś wspaniałego, czy to podczas konkursu ortograficznego, podczas występu tanecznego, czy w meczu bejsbolu. Oparłem się o ogrodzenie i przyglądałem się, jak przyjmuje gratulacje z umiarkowaniem, ale i z dobroduszną serdecznością. Słuchałem, co mówią do niego koledzy na ławkach.

– Niezłe odbicie – ocenił Ritchie.

– Noo – dodał Ben.

– Widziałeś to? – odezwał się znowu Ritchie. – Klasa zagranie.

Jake pokiwał głową i się uśmiechnął. Odpowiedział na parę pytań. Starłem się skupić znowu na rozgrywce i nie okazywać nadmiernych emocji. Wiedziałem, że gdybym zrobił z tego wielkie halo, Jake tylko by się zawstydził. Czekałem więc i dalej podслуchiwałem.

– Ten chłopak na trzeciej bazie myślał, że spękasz – stwierdził któryś z naszej drużyny.

– Niece – odparł Jake. – Chyba nie.

Wydawało mi się, że Carter powiedział coś za moimi plecami, ale gdy się odwróciłem, wepchnął sobie do buzi jeszcze więcej piachu. Chwilę zastanawiałem się, czy nie wziąć tej piłki i nie zachować jej dla potomności, ale uznałem, że zrobiłbym z siebie straszego zgreda. Popatrzyłem na swoją drużynę. Spodziewałem się, że Jake nadal będzie w centrum uwagi, ale siedział sam na ławce i pakował swój sprzęt.

*

Po meczu wrzuciliśmy z Jakiem nasze rzeczy do bagażnika i ruszyliśmy do domu. Zapiął sobie pasy, a ja spoglądałem na niego w lusterku wstecznym.

– Niezłe uderzenie – powiedziałem.

– Dzięki.

– Zmasarkowałeś tę piłkę. Pierwszy raz zaliczyliśmy czwartą bazę. Jestem z ciebie naprawdę dumny, chłopie.

– Ben w zeszłym tygodniu też tak uderzył.

– Nie, dotarł tylko do trzeciej bazy, pamiętasz?

Jake wyjrzał przez okno, ale zauważyłem, że się uśmiecha.

– Chłopaki z drużyny bardzo się cieszyły.

Pokiwał głową.

– Dlaczego siedziałeś później sam?

Natychmiast pożałowałem tego pytania. Jake nawet nie mrugnął.

– Nie lubię tłumów.

Roześmiałem się, zdumiony tak rozwiniętą samoświadomością u siedmiolatka.

– Carter to świrus – zauważył po chwili.

– Dlaczego?

– No bo je ziemię. I jeszcze uderzył Bena.

Wciąż nie mieściło mi się to w głowie. Ben był w drużynie samcem alfa. W moich czasach, gdyby dzieciak taki jak Carter choćby spojrział krzywo na chłopaka takiego jak Ben, Carter gryzłby ziemię z zupełnie innego powodu (choć dla jemu akurat może by to nie przeszkadzało).

Wyczułem, że to dobry moment na udzielenie lekcji wychowawczej. Wziętem głęboki wdech, zastanowiłem się i powiedziałem:

– Rozumiem, co masz na myśli, Jake, ale ważne jest, żebyś był miły dla każdego. Nie zmuszam cię do tego, żebyś się przyjaźnił z Carterem. Nigdy nie mówiłem ci, z kim masz się kolegować. Ale powinieneś być miły. Pewnie trudno mu się odnaleźć w drużynie. Nie uderzał jeszcze piłki, no i nie umie łapać...

Natychmiast uświadomiłem sobie, że nie powinienem być tego mówić. Czasami rozmawiałem z Jakiem tak, jakby był starszy niż w rzeczywistości. Ale kiedy zerknąłem do tyłu, sprawiał wrażenie, że zrozumiał.

– Chcę tylko powiedzieć, żebyś starał się być dla niego miły.

– Ale nie powinien bić Bena – zauważył Jake.

– To prawda. – W zamyśleniu pokiwałem głową. – Ale mimo wszystko. Postaraj się być miły.

Miałem ochotę dodać, iż biorąc pod uwagę fakt, że Carter jest kompletnym świrem, lepiej nie znaleźć się na liście jego wrogów, kiedy całkiem mu odbije. Wiedziałem jednak, że powinienem to przemilczeć.

*

Mniej więcej tydzień po tamtym meczu czekałem na przystanku, otoczony kilkunastoma dorosłymi, którzy rozmawiali podzieleni na trzy wyraźne grupy. Ja trzymałem się z boku i obserwowałem Laney, która pobiegła na podwórko po drugiej stronie ulicy (u Tairyn) i ganiała się z Beccą (córką Tairyn) i jej młodszą siostrzyczką Jewel. Dziewczynki, wszystkie za małe do szkoły, piszczały i chichotały.

– Hej, Simon.

Oderwałem uwagę od dzieci, gdy podeszła do mnie Tairyn.

– Cześć – przywitałem się.

– Jak Rachel? Widziałam na Facebooku, że jest w Londynie.

Od niedawna moja żona poszerzyła swoją specjalizację o międzynarodowe prawo gospodarcze. Z tego powodu często latała za Wielką Wodę.

– Zdaje się, że tak – powiedziałem.

– „Zdaje” ci się, że jest w Londynie? – Tairyn się roześmiała.

Z zupełnie bezstronnego punktu widzenia, Tairyn była piękna. Miała długie naturalne blond włosy, które mogłyby należeć do modelki. Właściwie cała wyglądała jak modelka, od dużych niebieskich oczu i wydatnych ust po (jak mawiał mój kumpel z college’u) wystrzałowe ciało. Ubrała się, jakby szła na spacer po ulicach SoHo, miała na sobie włoskie kozaki i warstwy ubrań, niby w nieładzie, ale układające się ciekawie, które jakimś sposobem podkreślały jej figurę. Zastanawiałem się, skąd wzięła się w tym samym banalnym świecie co ja.

– No, jest. Wraca w... – Nie miałem czasu się nad tym zastanowić. Wiedziałem dokładnie, kiedy wraca, bo w tej samej chwili zamierzałem wybiec z krzykiem z domu, rozpaczliwie potrzebując spędzić trochę czasu z dala od dzieci, żeby po prostu nie zwariować. Tyle że obecność Tairyn wymazała mi pamięć.

– W piątek – dokończyła za mnie. – Jest pan w rozsypce, panie Connolly.

Pokręciłem ze skruchą głową.

– Rzeczywiście.

– Tak czy siak, Becca zapytała, czy Laney mogłaby wpaść do nas jutro. Dzięki temu miałbyś trochę czasu dla siebie.

Choć brzmi to idiotycznie, normalnie zdrętwiałem. Rachel przygotowywała mnie na taką okazję. Spotkania, żeby dzieci mogły się wspólnie pobawić, zmieniały się, w miarę jak Laney rosła. Była towarzyska i zawsze chętna do zabawy, te cechy niewątpliwie odziedziczyła po matce. Zaprzyjaźniła się ze wszystkimi dziećmiakami w sąsiedztwie, włącznie z tymi, które Jake olał, uważając, że są nefajne.

Nie najlepiej się do tej sytuacji przystosowywałem. Wciąż wolałem siedzieć z dziećmi w domu. Laney chodziła do przedszkola, które kończyło się o wpół do pierwszej, więc zwykle po południu załatwialiśmy we dwoje sprawunki albo zaglądaliśmy do księgarni. Laney witała wracającego ze szkoły Jake’a niczym szczenię, które zostało na cały dzień samo w domu. Po wyjściu z autobusu Jake najczęściej podnosił ją i przytulał. Świetnie się dogadywali i większość popołudni spędzali na zabawie w średniowiecznych wojów, toczyli bitwy z wyimaginowanymi armiami, Jake jako silny rycerz o kamiennej twarzy, a Laney (ku mojej uciechu) jako pomysłowy, z niezwykłą energią, walczący toporem skrzat.

W przeszłości Tairyn, razem z innymi, zapraszała ją już na popołudnie po szkole. Prawie zawsze odmawiałem. Jeżeli Rachel była akurat w podróży, to odmawiałem zawsze. W prostych, przystępnych słowach Rachel wyjaśniła mi jednak, że muszę się zmienić. Powiedziała, że następnym razem, kiedy ktoś zaprosi naszą córkę, mam wziąć głęboki oddech, odczekać chwilę, a potem się zgodzić.

Wziąłem głęboki oddech i odczekałem chwilę, zerkając na Laney. Tańczyła i bawiła się dalej z koleżankami w najlepsze, w pełni zintegrowana i szczęśliwa.

– Jest taka inna – mruknąłem do siebie.

– Słucham? – spytała Tairyn.

– Och, nic.

Popatrzyła na mnie, zupełnie zbita z tropu. A mnie zdumiewało po prostu, jak bardzo Laney różni się od Jake'a, jak jin i jang. Wolałem jednak nie rozmawiać o tym z Tairyn.

– Tak – powiedziałem.

– Tak co? – spytała ze śmiechem, zaskoczona.

– Jutro może pójść się pobawić.

Tairyn wyglądała na wstrząśniętą, tak jakby spodziewała się odmowy.

– No to fajnie. Podrzucisz ją do mnie po przedszkolu?

Przekrzywiłem głowę. Skąd wiedziała, kiedy odbieram córkę z przedszkola i że w ogóle ją tam posyłam? Rachel mawiała, że nasze sąsiedztwo jest jak wieś. Czasami bałem się, żeby sąsiedzi nie pogonili mnie stąd widłami.

– Doskonale.

Nadjeżdżał szkolny autobus. Uśmiechnąłem się i przestąpiłem niecierpliwie z nogi na nogę, a Tairyn podeszła do Karen i skomplementowała jej uggi. Stałem teraz znowu sam, wpatrzony w zbliżającego się żółtego behemota. Laney uczepliła się mojej nogi i zatańczyła radośnie. Potem przepchnęła się między dorosłymi do przodu, nie mogąc się doczekać, aż autobus się zatrzyma. Otworzyły się drzwi, a ona zaczęła tańczyć jeszcze radośniej.

Inne dzieci mijały ją, wysiadając, i prawie wcale nie zwracały na nią uwagi. Jedna dziewczynka, córka Reginy, poklepała małą po głowie. A potem pojawił się jej brat. Podbiegła do niego, a Jake podniósł ją w powietrze i przytulił. Westchnąłem. Wszystko w świecie znajdowało się na swoim miejscu, nawet jeśli Laney miała pójść w odwiedziny do koleżanki.

*

Jake przy blacie odrabiał lekcje. Laney usadowiwszy się obok, rysowała świecówkami i miękkim ołówkiem. Przyglądałem się im, jednocześnie wyjmując naczynia ze zmywarki. Laney ze zmarszczonymi lekko brwiami zerkała od czasu do czasu na brata, starała się naśladować go w tym, jak trzyma ołówek.

Nagle Jake podniósł wzrok.

– Ej, tato – powiedział.

– Tak, synu? – odrzekłem z kpiarską powagą.

– Zrobiłem tak, jak mi mówiłeś.

– Mianowicie?

– Byłem miły dla jednego chłopaka, bo mówiłeś, że tak należy.

Nie od razu zrozumiałem, o co mu chodzi. Patrzył na mnie wyczekująco, a ja się zastanawiałem i nagle zdałem sobie sprawę, że jeśli nie rozegram tego

właściwie, podważę sens jakiejś ważnej lekcji, której mu udzieliłem. I wtedy mnie olśniło: mecz bejsbolu.

Uniosłem brew.

– Jak dla Cartera.

Uśmiechnął się promiennie.

– Tak.

– No, opowiedz!

Laney przerwała rysowanie, uważnie słuchając, co mówi Jake.

– No bo w szkole jest taki jeden chłopak, Doug, który zawsze ma kłopoty.

– Jakie kłopoty? – wtrąciłem.

Rachel powtarzała, że muszę nauczyć się słuchać i nie przerywać, ale uważałem, że zadawanie pytań zgodnych z tematem jest wyrazem zainteresowania. Zresztą Jake’owi nigdy to nie przeszkadzało.

– No, zachowuje się niemiło w stosunku do innych dzieci. Na przykład kiedyś wepchnął Katie do fontanny.

– To niedobrze.

Pokręcił głową.

– Nic się jej nie stało. I sama czasem jest złośliwa. Ale Doug nie powinien tego robić.

– Ale dalsiście nauczycielce zająć się tą sprawą?

– Chyba tak. Ale nie o to mi chodzi. Bo, widzisz, inne dzieci nie lubią Douga. Mówią, że jest... walnięty. No a dzisiaj musieliśmy zostać na przerwie w szkole.

– Czemu?

– Bo na dworze było błoto po deszczu.

– Okay.

– No więc pomyślałem, że zagram z Dougiem w warcaby.

– To miło z twojej strony. Co na to Max?

Max był najlepszym kumplem Jake’a w drugiej klasie. Chwilę zastanawiałem się, czy powinienem o to pytać, ale zależało mi, żeby Jake i Max nadal się kolegowali. Lubiłem tego chłopaka.

– Chyba w porządku. Bawił się z Kevinem i Kentem.

– No to fajnie. Ale jak wiesz, nie mówię ci, z kim się masz kolegować. Chodzi mi tylko, żebyś był miły nawet dla tych, na których wszyscy pozostali się uwzięli.

– Tak się właśnie zachowałem – powiedział z nacis-kiem.

– Wiem. I jestem z ciebie naprawdę dumny, chłopie.

Laney wtuliła głowę w jego ramię.

– Ja też – dodała swoim słodkim głosikiem.

Jake się rozpromienił, podobnie jak ja. Była to jedna z tych rzadkich chwil,

które – tak przypuszczam – zdarzają się wszystkim ojcom pozostającym w domu, żeby opiekować się dziećmi. Pławiłem się w tej ulotnej chwale; może jestem jednak dobry w te klocki.

ROZDZIAŁ 8

DZIEŃ PIERWSZY

Radiowóz policyjny powoli skręca w naszą ulicę. Wiem dlaczego. Oaza spokoju, jaką zwykle jest nasza dzielnica, zmieniła się nie do poznania. Strefy niepokojącej aktywności układają się koncentrycznie, a promieniują z naszego domu. W centrum znajdują się ludzie w ciemnych mundurach, którzy uwijają się niczym mrówki, to wchodzą do naszego domu, to z niego wychodzą. Żółta taśma policyjna odgradza obszar w kształcie trapezu. Trudno mi powiedzieć, czy rozpięto ją ze względów bezpieczeństwa, czy może po to, by oznaczyć miejsce zbrodni.

Za taśmą parkują dziesiątki samochodów, głównie czarno-białych wozów policyjnych, które tworzą następną, poszarpaną barierę. Dalej czatuje sześć białych wozów telewizyjnych – część z nich stoi, a część przejeżdża powoli obok, szukając w tej formacji obronnej jakiejś wyrwy lub szczeliny. Jaskrawe kolory ubrań dziennikarek gryzą się z zielenią trawy i brązami drzew, które otaczają domy sąsiadów. Kobiety stoją przed filmującymi je wielkimi, świecącymi na zielono kamerami, przemawiają do śmiesznie dużych mikrofonów. Jakiś mężczyzna w czerwonym golfie spostrzega samochód, w którym siedzę. Odwraca głowę i patrzy na nas z twarzą dziwnie pozbawioną wyrazu. Obserwuję to z odległej otchłani. Wszystko okrywa surrealistyczny spokój, tłumiąca emocje przezroczyta powłoka odgradza mnie od scenerii zbyt bolesnej, by moja psychika była w stanie przyjąć ją w pełni do wiadomości.

Mężczyzna w golfie zjawia się ćwierć metra od jadącego radiowozu. Jaskrawość jego ubrania niczym pazury potwora szarpie mi zmysły. Nie pojmuję tego, ale czuję, jak rani mnie gdzieś w środku. Patrzę mężczyźnie w twarz i rozpoznaję w nim rodzica, którego widywałem w pobliżu szkoły. Wtedy on też mnie spostrzega. Jego twarz przeistacza się w karykaturalną maskę groteskowej nienawiści.

– Zabiłeś mojego syna! – Uderza ręką o bok samochodu. – Ja cię...

Reszty słów już nie słyszę, gdy znika nam z oczu. Wyciągam szyję i widzę, jak inny policjant próbuje go uspokoić. Uświadamiam sobie, że mam w szafie identyczny sweter. Ciemnieje mi w oczach i kulę się na tylnej kanapie, chowam głowę między kolana.

– Dobrze się pan czuje? – pyta funkcjonariusz z przedniego fotela.

– Tak – mamroczę, nie podnosząc głowy.

Radiowóz przystaje. Znowu widzę normalnie, ale nadal się kulę. Po drodze do domu co najmniej dziesięć razy dzwoniłem na komórkę Jake'a. Za każdym

razem już po pierwszym sygnale włączała się poczta głosowa. Rozum podpowiada mi, że gdyby Jake miał telefon przy sobie (Bóg jeden wie, jak często go zapominał), zadzwoniłby już do Rachel albo do mnie. Z drugiej strony wiem, że wcześniej odebrał – jeśli nie on, to ktoś inny. W gruncie rzeczy mam jednak świadomość, że sytuacja wymyka się zupełnie racjonalnej ocenie.

Drzwiczki radiowozu się otwierają. Czyjaś dłoń spoczywa na moim barku.

– Panie Connolly – odzywa się męski głos. – Jestem detektyw Rose. Żona na pana czeka.

*

Nie przypominam sobie chwili, gdy wysiadłem z radiowozu, ani tego, jak podszedłem do Rachel; siedziała na żeliwnym krześle ogrodowym na patio za naszym garażem. Dopiero gdy siedzę obok niej, z łokciami na mozaikowej powierzchni okrągłego stolika między dwoma krzesłami, rozprasza się mgła spowijająca mój umysł. Przez pewien czas żadne z nas się nie odzywa. Stolik na patio staje się okiem cyklonu.

– On nie żyje – szepcze Rachel.

Złoszczę się. Skóra mnie piecze, na czoło występują krople potu.

– Nie wiemy tego – odburkuję. – Odebrał telefon. Myślę, że on.

– Rozmawiałeś z nim? Słyszałeś go?

Rachel kręci głową. W przeszłości taki jej gest działał mi na nerwy. Wydaje się nieodpowiedni do powagi sytuacji, sprawia wrażenie nadmiernie oskarżycielskiego. Tego rodzaju pretensje są możliwe tylko w małżeństwie, które przetrwało wspólne wychowanie dzieci. Dręczą mnie wyrzuty sumienia.

– Zadzwonię do niego.

Wybiera numer, a ja obserwuję. Każdą cząstką duszy modlę się, żeby odebrał, żeby Rachel porozmawiała z naszym synem. Wypatruję choćby najdrobniejszych zmian w wyrazie jej twarzy, które świadczyłyby o tym, że odebrał. Kiedy widzę łzy, nie muszę o nic pytać.

– Ja wiem – mówi i upuszcza telefon. Nie patrzy na mnie.

Nie jestem pewien, co ma na myśli, lecz po chwili zdaję sobie sprawę, że odpowiedziała na moją poprzednią uwagę. Mówi, iż wie, że nasz syn nie żyje. Zagryzam zęby. Mam ochotę wymierzyć jej policzek. To pierwszy i jedyny raz, gdy tak się czuję. Skoro już o tym mowa, nigdy nie ukrywałem, co sądzę o damskich bokserach (skończone chuje). Więc przez tę reakcję moje wyrzuty sumienia jeszcze się potęgują, a gniew znika tak szybko, jak się pojawił. Schylam się i podnoszę komórkę Rachel z asfaltu.

– Czemu oni tu są? – pytam.

Czysto rozumowo wiem, czemu tu są. Pytanie bierze się jednak z innych pokładów psychiki. Po raz pierwszy w głowie pojawia się dręcząca myśl: Co ja

takiego zrobiłem?

Rachel nie rozumie. Pytanie wyraźnie ją irytuje.

– Mówiłam ci przez telefon. Myślą, że to on strzelał do dzieciaków.

– Nie zrobił tego.

Orientuję się, że zachowałem się dokładnie tak jak Rachel na początku rozmowy. Stwierdzam jako fakt coś, co nie jest niczym więcej niż intuicyjnym przekonaniem. Wątpliwości już zaczynają się sączyć do mojej głowy, ale kiedy to mówię, jestem pewien na sto procent, że Jake nikogo nie zastrzelił, ale czy nie tak właśnie myślą wszyscy rodzice?

– Mordercą jest ten chłopak.

Wiem, że ma na myśli Douga.

– Myślę...

Nie daje mi dokończyć.

– Nie, wiem to na pewno. Słyszałam, jak policjanci rozmawiali. Ktoś im, kurwa, powiedział, że Jake przyjaźni się z tym...

– Oni się nie przyjaźnią – warczę.

Rachel spogląda na mnie. Tylko ona wie, co chce przez to spojrzenie powiedzieć, ale czuję, że mnie oskarża. Musi mnie winić za to, że Jake w ogóle poznał się Dougiem. Według niej pewnie wszystko wzięło się od pamiętnego meczu bejsbolu i paru błędnych jej zdaniem decyzji wychowawczych. A przynajmniej tak się teraz czuję. W rzeczywistości jednak wątpię, czy kiedykolwiek opowiedziałem jej tę historię z meczu.

– Słuchaj, ja tylko powiedziałem mu, żeby był dla każdego miły.

Rachel mruga powoli oczami.

– Co? O czym mówisz? – Kręci głową. I wtedy zauważam łzy. Rachel nie jest beksą. Zwykle płacze tylko z frustracji. Ich widok wyrywa mnie z zakłętego kręgu własnych myśli.

To, czy żona i ja mamy kłopoty z dogadaniem się, czy nawet jakieś poważniejsze problemy, jest bez znaczenia. Myśli znikają i górę bierze instykt. Przytulam żonę i płaczymy długo razem.

*

– Proszę państwa.

Podchodzi do nas policjant. Rozkłada ręce, wygląda na zawstydzonego. Oboje wpatrujemy się w niego bez słowa. Mam ściśnięte gardło, a emocje znowu sprawiają, że nie dociera do mnie, co mówi.

– Mogę zaprowadzić państwa teraz z powrotem do środka. Żeby mogli państwo spakować trochę rzeczy.

– Spakować trochę rzeczy? – odzywa się Rachel. – Czyli co?

Chociaż teraz nie płacze, słyszę w jej głosie, że znów jest tego bliska.

Policjant też słyszy.

– Wiadomo już coś więcej o Jake’u? Czy ktoś go widział? – pytam stanowczo.

Policjant przetyka ślinę i odwraca wzrok.

– Detektyw Rose odwiedzi państwa, gdy tylko będzie miał czas. Wtedy z państwem o tym wszystkim porozmawia. Ja mam tylko zaprowadzić państwa do domu, żeby mogli państwo spakować trochę rzeczy.

Dociera do mnie, o co mu chodzi.

– Nie zamierzacie się stąd szybko wynieść, co?

Kręci głową.

– Nie jestem upoważniony do udzielania takich informacji. Ale mogą zechcieć państwo zadzwonić do kogoś z rodziny albo zarezerwować gdzieś pokój.

Rachel zrywa się na równe nogi. Wygląda, jakby była gotowa zadusić chłopaka gołymi rękami (bo policjant ma nie więcej niż dwadzieścia parę lat). Chwytam ją za nadgarstek i przytrzymuję, chwije się na nogach. W innych okolicznościach nie pozwoliłaby sobie na okazanie słabości. Lata pracy w zdominowanym przez mężczyzn zawodzie prawniczym bardzo ją zahartowały. Kiedy patrzę na nią teraz, widzę tę Rachel, którą poznałem prawie dwadzieścia lat temu, tę młodą kobietę tak skorą do uśmiechu, o szeroko otwartych oczach, ciekawą ludzi. Przytrzymuję ją, ale samemu mi słabo. Jednocześnie widzę, że policjant ani drgnął. Widywał już takie sceny.

– Wejźmy do domu, zanim nam znowu zabronią – szepczę jej do ucha.

Policjant prowadzi nas do naszego własnego domu. Gdzieś w tyle głowy spodziewam się, że zrobili bałagan, ale wszystko wygląda na niepokojąco nietknięte, tak samo jak wyglądało dziś rano – z wyjątkiem mężczyzn i kobiet kręcących się po pokojach; robią zdjęcia i rozmawiają ścisłym głosem. Wrażliwy na dźwięk, lokalizuję ośrodek największej aktywności: to pokój Jake’a na górze. Natychmiast coś mi się przypomina.

– Gdzie Laney? – pytam.

– Jest u Bennettów.

Przyjmowałem chyba jako oczywiste, że Rachel się nią zajęła. Laney nie może na to wszystko patrzeć. Ale nie zapytałem nawet, żeby się upewnić, czy moja córka jest cała i zdrowa. Rachel jednak zdaje się tego nie zauważać.

– Możecie państwo pójść do swojej sypialni, ale muszę państwu towarzyszyć – mówi policjant.

Kiwam głową, a Rachel wbiega na schody, jakby próbowała mu uciec. Przepuszczam go, żeby mógł ją dogonić, a sam zamykam pochód. Pokój jest pusty i wygląda na nietknięty. Spoglądam na nasze łóżko, na książkę, którą teraz czytam, wciąż leżącą na szafeczce, gdy nagle moja komórka zaczyna wibrować, oznajmiając nadejście esemesa. Z nadzieją wyciągam telefon.

Co może nam Pan powiedzieć o udziale swojego syna w strzelaninie?

Wstrząśnięty, spoglądam na dane nadawcy, ale nie rozpoznaję numeru. Staję w kącie i oddzwaniam, oglądając się przez ramię, czy ktoś z policjantów to zauważył (choć nie jestem pewien, czemu to robię). Odbiera mężczyzna, jego głos brzmi, jakby dobiegał z piwnicy.

– Panie Connolly. Mogę nagrywać tę rozmowę?
– Co? Absolutnie wykluczone! Kim pan jest?
– Jestem Michael, autor *Czasu na blog*. Może mi pan powiedzieć cokolwiek o udziale syna...

Rozłączam się. Nie mija nawet sekunda, gdy na mój telefon dociera następny eśemes. Tym razem nadawca przedstawia się jako reporter lokalnej stacji telewizyjnej i prosi o wywiad. Wpycham komórkę z powrotem do kieszeni. Wibruje po raz kolejny, gdy znowu spoglądam na nasze łóżko. Coś w tym dźwięku przywołuje niedawne wspomnienie. Krew uderza mi do głowy, gdy rzucam się do przodu, przypominając sobie notatki, które znalazłem dziś rano.

Kartka leży na dywanie, pod łóżkiem. Dziwię się, że nikt z policji jej nie zauważył. Zerkam na policjanta i widzę, że cały czas skupia uwagę na mojej żonie. Klękam i biorę kartkę do ręki. Wstając, rozkładam ją i widzę charakterystyczny styl pisma Jake'a. Pierwsza linijka tekstu: „TO POJEBANE”.

Nie mam czasu, by przeczytać więcej. Szybko mnę kartkę w garści i wtykam ją do kieszeni spodni. Cały w nerwach, jestem przekonany, że gdyby policjanci zobaczyli tę kartkę, przejęliby ją jako materiał dowodowy. Biorę torbę, którą żona trzyma pod łóżkiem, i wrzucam do niej bieliznę i skarpety, starając się nie patrzeć na nic ani na nikogo.

– Co?! – słyszę, jak pyta moja żona z oburzeniem. – Chce pan wejść ze mną do łazienki?

Trzaskają drzwi. Myśli płaczą mi się i rozsypują. Pakuję rzeczy, żeby opuścić własny dom – dom, w którym trwa właśnie policyjne przeszukanie, ponieważ organy ścigania podejrzewają, że mój syn zastrzelił dzisiaj trzynaścioro dzieci.

*

Na dworze podchodzi do nas detektyw Rose, jeszcze gdy stoimy za drzwiami. Po raz pierwszy przyglądam mu się uważniej. Facet ma pod pięćdziesiątkę, włosy ostrzyżone jak u wojskowego, albo bardzo krótkie po bokach, albo siwe na skroniach. Nosi pognieciony beżowy garnitur i brązowe

clarksy. Jego palce są grube, a skóra na nich szorstka. Nie umiem odwrócić od nich wzroku, gdy bawi się długopisem.

Na jego widok znowu budzi się we mnie potrzeba natychmiastowego działania. Daję się nieść z prądem okoliczności. Powinienem przejąć inicjatywę i zacząć szukać Jake'a.

– Jadę poszukać naszego syna.

Próbuję obejść detektywa, ale ten unosi rękę, żeby mnie powstrzymać. Przystaję.

– Moglibyśmy na chwilę usiąść? Chciałbym omówić z państwem kilka kwestii.

Ignoruję jego prośbę.

– Dowiedzieliście się już czegokolwiek? – Ostatnie słowo wymawiam z naciskiem.

Rachel nie reaguje. Sprawia wrażenie, jakby energia życiowa, czy przynajmniej ochota do walki, opuściła ją, gdy zatrzasnęła za sobą drzwi łazienki. Idzie niczym zombi, gdy podąża za Rose'em w stronę tych samych żeliwnych krzeseł, na których siedzieliśmy wcześniej. Detektyw sugeruje, żebyśmy usiedli, a sam na stojąco wertuje swój notatnik. Ja też nadal stoję.

– Na tę chwilę nie jesteśmy pewni obecnego miejsca pobytu państwa syna.

– Starannie dobiera słowa. – Czy był sam, kiedy jechał dzisiaj do szkoły?

Rachel nie reaguje. Jestem zaskoczony.

– Nie. Dziś rano podwoził do szkoły naszą córkę.

Detektyw coś sobie zapisuje.

– Co? Coś pan wie? – pytam z irytacją.

– Na pierwszej lekcji wpisano mu nieobecność – odpowiada. – Państwa córka rzeczywiście powiedziała naszej śledczej, że podwiózł ją do szkoły.

Mój gniew dałby się teraz zmierzyć w skali Richtera.

– Kiedy rozmawialiście z Laney?

Rose mruży oczy. Teraz jestem przekonany, że podejrzewa nie tylko Jake'a, ale także mnie. Wreszcie rozumiem, dlaczego Rachel milczy. Wszyscy jesteśmy podejrzani.

– Pouczył ją pan o jej prawach? – chlapię bez namysłu. – Czy rozmawiał pan z nią w obecności adwokata?

Muszę się opanować.

Detektyw unosi dłoń. Szukając pomocy, patrzy na Rachel. Ale to na nic. Ona wpatruje się teraz w dom Karen, a przynajmniej sprawia takie wrażenie. Czuję, że nie mam nad tą sytuacją prawie żadnej kontroli.

– Więc postanowiliście przesłuchać moją piętnastoletnią córkę i nic mi o tym nie mówić?

– Rozumiem, że to dla pana bardzo stresująca sytuacja, panie Connolly.

Czynimy wszystko, co w naszej mocy, by ustalić miejsce pobytu pańskiego syna.

Wyrażenie „miejsce pobytu”, użyte po raz drugi, rani mnie niczym nóż i mam ochotę zaatakować. Właśnie w tym momencie Rachel lekko dotyka wierzchu mojej dłoni. Patrzę na nią, ale wciąż wpatruje się w przestrzeń. Jej dotyk łagodzi jednak moją reakcję, w każdym razie wobec detektywa Rose’a.

– Jeżeli zajdzie potrzeba, żebyście znowu porozmawiali z Laney, proszę dać mi o tym wcześniej znać – mówię spokojnie.

– Rozumiem – zapewnia Rose.

– Niech pan posłucha, jadę poszukać syna. Ktoś musi.

– Najlepiej będzie, jeśli zabierze pan rodzinę w jakieś bezpieczne miejsce.

Robimy wszystko, co w naszej mocy, i zadzwonimy do państwa, gdy tylko czegoś się dowiemy. Obiecuję.

Kręcę głową.

– Muszę go szukać.

– Nie może pan, panie Connolly. Teren szkoły jest zamknięty. Nikt nie może wchodzić ani wychodzić. Przykro mi.

– Ale Jake może być gdzie indziej.

– Sprawdzamy wszystkie tropy. Musi nam pan zaufać. Wszelka ingerencja osób niepowołanych może utrudnić nam znalezienie Jake’a.

Po raz pierwszy użył imienia mojego syna. Dziwne, ale mnie to uspokaja. Zgadzam się zawieźć rodzinę do hotelu. Co zrobię potem, nie jestem pewien.

– Jeszcze jedno – dodaje Rose. – Czy państwa syn przyjaźnił się z Dougiem Martinem-Kleinem?

*

Zaparkowałem przed domem Bennettów i wyciągam rękę, żeby otworzyć drzwiczki.

– Nie – mówi Rachel.

Patrzę na nią zdziwiony. Mój umysł nadal spowija ciemna mgła.

– Co?

– Ja tam pójdę.

Wysiada, zanim zdążę zaprotestować. Patrzę, jak powoli idzie ścieżką w stronę drzwi wejściowych domu. W każdym jej kroku widzę wewnętrzną siłę. Często mam wrażenie, że to ona jest w naszym związku silniejsza. Ja groźnie ryczę i prężę mięśnie, ale właśnie ona zajmuje się wszystkim od strony przedsiębiorczej. To znaczy do czasu, gdy kogoś trzeba ochronić.

Notatka! Myśl wpada mi do głowy ni stąd, ni zowąd. Wydobywam kartkę z kieszeni, ale gdy tylko podnoszę wzrok, widzę Laney wybiegającą z domu. Wpada matce w ramiona, a Rachel tuli ją z całych sił. Wygląda to tak, jakby Rachel próbowała zabrać Laney do samochodu, kiedy ukazuje się Tairyn. Z ręką

w kieszeni patrzę i wyteżam słuch. Słyszę stłumione, niezrozumiałe słowa, ale obserwuję mowę ciała żony. Zachowuje się jak żywa tarcza, osłaniająca córkę przed jakimś niewidzialnym zagrożeniem. Spoglądam na Tairyn i widzę zmarszczone czoło i maskę obojętności – zero empatii.

Rozmowa trwa nie dłużej niż parę minut, lecz czas ciąży na moich zszarganych nerwach. Postanawiam opuścić szybę, żeby słyszeć, o czym jest mowa, ale wtedy właśnie Rachel odwraca się i eskortuje córkę do samochodu. Poruszają się niczym zjawy, cienie mojej rodziny. Rachel pomaga Laney wsiąść na tylną kanapę, a potem siada obok mnie. Czekam chwilę, ale żona nie patrzy mi w oczy.

– Jedź – szepcze.

– Ale...

Kiedy się wreszcie odwraca, widzę, że jest blada jak ściana.

– Co się stało? – pytam ściszym głosem, lecz zdejmuję nogę z hamulca i odjeżdżam spod domu Bennettów. – Co takiego powiedziała?

– Nic, do czego byłaby rzeczywiście przekonana.

W milczeniu jedziemy do Marriotta w centrum miasta. Wilmington jest sypialnią Nowego Jorku. Po drodze mijamy wyłącznie ludzi, po których widać, że wybierają się do pracy. Gdy docieramy do hotelu, nic się pod tym względem nie zmienia.

Kiedy wchodzimy do recepcji, trzymam Laney za rękę. Już od progu razi nas ogromny ekran telewizora na przeciwległej ścianie. A tam, w nienaturalnym powiększeniu, bardziej złowroga od diabła, pojawia się szkolna fotografia Douga Martina-Kleina.

Rachel reaguje pierwsza. Skręca gwałtownie i ciągnie Laney do damskiej toalety, tuż przy mieszczącej się w holu kawiarni Starbucksa. Stoję jak zamurowany, wszystkie organy wewnętrzne ciążą mi niczym stos kamieni.

Telewizor ma wyłączony dźwięk, więc zdjęciu Douga towarzyszy słodki śpiew Alanis Morissette. Zestawienie jest nawet bardziej ironiczne niż słowa piosenki. Mam ochotę podkręcić dźwięk telewizora. Muszę usłyszeć, co mówią. Jednocześnie muszę zabrać Laney i Rachel w bezpieczne miejsce, więc odrywam się od telewizora i podchodzę do stanowiska recepcji. Jakby znikąd, pojawia się Rachel.

– Powinniśmy wynająć dwa sąsiednie pokoje.

Mam ochotę przedyskutować jej decyzję, ale uznaję, że lepiej tego nie robić.

– Gdzie Laney?

– Jestem tutaj, tato – słyszę. Stoi tuż przy matce.

Mrugam. Czy to przez ką, czy przez coś innego, zupełnie jej nie zauważyłem. Ale przecież tu jest. Ma ściągniętą twarz i bladą skórę. Pod oczami sinoczerwone kręgi.

– Poproszę dwa pokoje, jeden obok drugiego – mówię.
Otrzymujemy klucze i idziemy do windy. Rachel pochyla się w moją stronę.
– Zaprowadzę Laney do jednego pokoju. Ty idź do drugiego i włącz telewizor. Musimy wiedzieć, co się dzieje.
– Chcę znaleźć Jake’a – protestuję.
Bez względu na to, co powiedział detektyw Rose, nie mogę po prostu siedzieć z założonymi rękami. Rachel patrzy mi w oczy.
– Wiem. Ale najpierw zrób to, o co cię proszę, muszę mieć pewność, że Laney nic nie grozi. A potem idź.
Kiwam głową zdumiony, jak dobrze mnie rozumie.
*

– *Martin-Klein został zidentyfikowany jako jeden ze sprawców tragicznej szkolnej strzelaniny.*

Słyszę to w wiadomościach krajowych. Wszystko utrzymane w bardzo surowym tonie. Przełączam na wiadomości lokalne. Rozpoznaję reporterkę. Rozmawialiśmy raz na politycznym fund-raiserze trzy lata temu. Teraz stoi na tle znajomego domu, pod który odwoziłem Jake’a więcej razy, niżbym chciał.

– *Jakim Doug był dzieckiem?*

Moja rodzina potrzebuje ochrony, a ja mam ochotę po prostu pojechać do tego domu, rozwalić drzwi i zmusić ich, żeby powiedzieli mi wszystko, co wiedzą. Ale słucham dalej. Reporterka rozmawia z kobietą w średnim wieku ubraną w czarną polarową kamizelkę i beżowe uggi. Nie poznaję jej, mimo że wygląda na moją równolatkę. Słucham jednym uchem, co ona mówi, ponieważ użycie przez dziennikarkę czasu przeszłego działa na mnie jak wstrząs.

– *Był bardzo małomówny.*

W obu tych kobietach jest coś drapieżnego. Może jestem jedyną osobą, która to dostrzega. Dziennikarka pochyla się do przodu, rozwierając lekko wargi. Wyobrażam sobie, że słyszę jej oddech. Kiwa głową, potakuje każdemu zdaniu, jak gdyby sama już wszystko wiedziała.

Kobieta, prawdopodobnie matka jakiegoś znajomego dzieciaka, patrzy w kamerę wielkimi, szeroko otwartymi oczami – zwraca się do nas wszystkich. Wie lepiej. Spodziewała się, że tak będzie, ale nikt jej nie słuchał. Teraz ma swoje pięć minut.

– *Rodzice też byli burkliwi. Właściwie nie przychodzili na sąsiedzkie imprezy, nie pojawiali się na wyprzedajach garażowych. Nigdy z nimi nie rozmawiałam.*

Używa czasu przeszłego także w odniesieniu do rodziców Douga. Krew ścina mi się w kamień, żyłami płyną ostre odłamki krzemienia. Jego rodzice nie zmarli, czasu przeszłego użyto w sposób bardziej podstępny; to, czego dopuścił się

ich syn, w gruncie rzeczy jest dla rodziców wyrokiem śmierci.

– *Choć wiele nazwisk ofiar do tej pory nie ujawniono, ponieważ najbliższych jeszcze nie zdążono powiadomić, trzy nazwiska podano do publicznej wiadomości. Są to Amanda George, lat piętnaście; Kandice Moore, lat siedemnaście...*

Trzeciego nazwiska już nie słyszę. Moje myśli, przerażenie i żal skupiają się na Kandice Moore. Zamykam oczy i widzę jej ciemnoblonde włosy upięte z tyłu w kok i niesforny kosmyk tańczący nad prawą brwią. Duże zielone oczy i krągłą twarz. Drobną figurę i zaraźliwy uśmiech. Jake wybrał się z nią na szkolny bal. A teraz ona nie żyje.

To niemożliwe. Po prostu niemożliwe. Kandice Moore nie mogła zginąć. Niewinna dziewczyna stojąca na palcach u progu swojego życia. Nie. Przerażająca rzeczywistość zatrząskuje się wokół mnie niczym kraty więzienia, napiera na mnie i miażdży duszę.

Wyciągam telefon i znowu dzwonię do Jake'a. Od razu włącza się poczta głosowa.

– Jake. – Staram się mówić silnym głosem. – Proszę, wróć do domu. Będzie w porządku. Obiecuję. Tylko wróć do domu. Poradzimy sobie ze wszystkim. Proszę, chłopie. Wróć.

Kiedy kończę połączenie, drżę na całym ciele. Matka Rachel powiedziałaaby, że ktoś przeszedł po moim grobie. Ta myśl przyprawia mnie o mdłości. Wpadam w rozważanie możliwości, w rozpamiętywanie wszystkich marzeń, które w sobie skrywałem, dziesięciolecia przyglądania się temu, jak rozkwita życie mojego syna. Przebiegają w odwrotnym kierunku, widmowe wnuki, miraż ślubu, zakończenie studiów na uczelni jeszcze niewybranej. Zastanawiam się, czy mój syn ma jeszcze przed sobą przeżycie pierwszego pocałunku. Wszystkie marzenia zanikają teraz, skrywając się powoli w mroku.

ROZDZIAŁ 9

JAKE: WIEK OSIEM LAT

Jake siedział na tylnej kanapie, twarz zasłaniała mu okładka książki, *Zestawienie dziesięciu najlepszych w futbolu*. Zatrzymałem wóz przy krawężniku i przyglądałem mu się w lusterku wstecznym, zachwycony tym, jak bardzo wyrósł. Przyszło mi na myśl, że patrzę na prawdziwą osobę, nie na „dzieciaka”.

– Wszystko w porządku? – spytałem.

– Hm?

Odłożył książkę, spoglądając na mnie spomiędzy ciemnych, splątanych kosmyków grzywki. Włosy sterczały mu bezładnie na czubku głowy. Uczesał je, sam widziałem, ale teraz wcale na takie nie wyglądały. Twarz też mu się zmieniła. Rysy zaostrzyły się i stały bardziej kanciaste – słodka zaokrąglona buzia dziecka zniknęła. Nawet ubrania, które nosił, były poważniejsze, z logo Seattle Seahawks zamiast haseł w rodzaju „Celuję w wygraną” czy „Reprezentacja Narodowa Dzieciaków”.

– Wszystko w porządku? – powtórzyłem.

– Tak, a co?

– No bo jeśli nie chcesz iść...

– Na imprezę?

Staliśmy przed domem chłopaka z jego klasy, Douga Martina-Kleina. Oprócz tego dnia, gdy Jake wrócił ze szkoły i powiedział, że był dla niego miły, nie słyszałem, by kiedykolwiek o nim wspominał. Właściwie całkiem o nim zapomniałem, skupiając się raczej na garstce dzieciaków, z którymi Jake bawił się w szkole, to znaczy grał z nimi w futbol podczas długiej przerwy.

– No – powiedziałem.

Szczerze mówiąc, czułem się trochę nieswojo. Zupełnie nie znałem rodziców Douga. Ani matka, ani ojciec nie pojawili się nigdy na żadnym z kinderbalów, na które przez ostatnich kilka lat zabierałem Jake’a prawie co tydzień.

– A dlaczego?

Jake zrobił zdziwioną minę. Uśmiechnąłem się.

– Racja.

Wspólnie podeszliśmy do frontowych drzwi. Jake niósł przed sobą niczym mirę idealnie zapakowaną (przez Rachel) zabawkową futbolówkę Nerf. Nacisnąłem dzwonek. Na progu pojawił się bardzo wysoki mężczyzna w okularach z grubą oprawą i koszuli z krótkim rękawem. Jego krzaczaste brwi nie drgnęły ani o milimetr, kiedy się odezwał.

– Proszę, proszę.

Otworzył drzwi na oścież i przytrzymał. Jake wszedł do środka. Kiedy ruszyłem za nim, drzwi lekko drgnęły, jakby gospodarz chciał je zamknąć.

– Hej, jestem Simon Connolly, tata Jake’a.

– Miło mi pana poznać. Jestem ojcem Douga, doktor Francis Martin-Klein.

Zza rogu wychylił głowę chłopak w wieku Jake’a. Jego szare oczy, trochę zbyt szeroko rozstawione jak na pociąg-łą twarz, pozostały puste i obojętne, kiedy uśmiechnął się do mojego syna. Drobnny i szczuplutki, prawie tonął w kasztanowo-pomarańczowej koszuli, której rękawy sięgały mu aż do knykci. Miał na sobie ciemne, pozbawione logo adidasów i ścisnął pod pachą katalog mebli Ripley.

– Cześć, Jake.

– Cześć, Doug.

Jake ruszył za Dougiem po schodach na górę, pewnie do jego pokoju. Trochę mnie to zdziwiło, bo myślałem, że przyszedliśmy na kinderbal. Spojrzałem na doktora Francis Martina-Kleina, który przyglądał mi się tak, jakby patrzył na kanapę albo komodę.

– Ehm, przyszedliśmy za wcześnie? Myślałem, że dobrze zapamiętałem godzinę, ale zdarza mi się pomylić.

Doktor pokiwał głową.

– Jesteście punktualnie.

Nie wykonał żadnego powitalnego gestu, nie skinął głową w stronę kuchni, nie wskazał żadnego miejsca ręką. Odchrząknąłem. Sam byłem introwertykiem, więc często dręczyła mnie niepewność, czy niezręczność sytuacji jest wynikiem zachowania mojego, czy kogoś innego.

Przestępując z nogi na nogę, spostrzegłem matkę Douga. Wychyła z za framugi kuchennych drzwi. Kiedy doktor odwrócił się do niej, zniknęła.

Odchrząknąłem raz jeszcze.

– Rodzice innych dzieci zostają czy też mam później przyjechać po syna?

Miałem szczerą nadzieję, że poprosi, bym został. Nie przyzwyczailem się jeszcze do zostawiania Jake’a u kogoś, jeżeli nie znałem rodziców. Najczęściej bawił się w domach dwóch najbliższych kolegów.

– Okay – powiedział doktor, tym razem z uśmiechem.

Wciąż się nie ruszyłem. On zresztą też nie. Usłyszałem, jak Jake śmieje się na górze.

– W takim razie do zobaczenia za dwie godziny – odezwał się doktor.

Zrobiłem krok do tyłu. Coś w tonie głosu czy w doborze słów sugerowało, iż to był mój pomysł, żeby nie zostawać. Kiedy otworzyłem drzwi i wyszedłem, miałem w głowie kompletny mętlik. Odwróciłem się, żeby się pożegnać, ale doktora Martina-Kleina już nie było.

*

Kiedy podjechałem odebrać syna, Jake i Doug siedzieli w kucki na podwórku przed domem. Jake wpatrywał się jak zaczarowany w coś znajdującego się w trawie, podczas gdy Doug wyraźnie skupiał uwagę na czymś, czego nie widziałem. Zwolniłem, a Jake podniósł wzrok i mnie zobaczył. Pomachał mi, odwrócił się i powiedział coś do Douga. Ten spojrzał na mnie z obojętną miną, a potem patrzył, jak Jake biegnie do samochodu. Syn wskoczył na tylne siedzenie i zapiął pasy. Po chwili znowu trzymał przed sobą książkę – zupełnie jakbym przeżywał *déjà vu*.

Czekałem, ale Jake nic nie powiedział. Samochód ruszył, a ja zerknąłem jeszcze raz w lusterko. Nie mogłem dłużej wytrzymać.

– Jak tam kinderbal? – spytałem.

– Super. – Czytał dalej (a przynajmniej oglądał obrazki).

Umilkłem. Wiedziałem, że nie powinienem być wścibski. Jeśli będę wścibski, na pewno potem zrobię z igły widły. Mimo to rozmowa z doktorem Martinem-Kleinem przebiegła tak dziwnie, że nie mogłem się powstrzymać.

– Kto jeszcze był?

Jake odpowiedział rzeczowym tonem.

– Jego rodzice, kuzyn i babcia.

Skóra na czaszce zaczęła mi mrowieć.

– Jakies inne dzieci?

– Nie.

– Myślałem, że to przyjęcie urodzinowe? – zauważyłem.

– Chyba tak. Miał być jeszcze jeden chłopak, Jeremia, ale jego rodzice zadzwonili, że nie przyjdzie.

– Co robiliście?

– Bawiliśmy się w jego pokoju.

– W co?

– Bo ja wiem. Bawiliśmy się takimi starymi żołnierzykami. Chyba należały do jego taty. I zaczęliśmy budować fort w lasku za domem. Fajne miejsce do zabawy w wojnę.

Nic mi się nie składało. Zacisnąłem ręce mocniej na kierownicy i wziąłem głęboki wdech.

– A co robiliście teraz, na trawniku?

Jake odłożył książkę i spojrzał mi przez lusterko w oczy. Wyglądał, jakby gryzło go sumienie.

– Nic.

– Powiedz mi, proszę.

– Nic, tato.

- No powiedz.
- Będziesz się złościł.

Westchnąłem.

- Nie będę. Po prostu mi powiedz.
- Mogę dostać chwilę amnestii?

Wprowadziłem „chwilę amnestii”, kiedy Jake był bardzo mały. Zależało mi na tym, by czuł, że zawsze może swobodnie coś mi powiedzieć: wystarczy, żeby powołał się na „chwilę amnestii”, a ja obiecuję, że przyjmę ze spokojem wszystko, co mi powie: nie zezłoszczę się ani nie będę zadawać pytań. W tamtym okresie chciałem, żeby dzieci nie bały się mówić mi o sprawach, które ich zdaniem mogą wyprowadzić rodziców z równowagi.

- Jasne. Proszę.
- Doug nadepnął ropuchę. Przez przypadek.

Poczułem, jak grunt usuwa mi się spod nóg. W takich chwilach starałem się myśleć o tym, co zrobiłaby albo powiedziała Rachel.

- Faj! – zawołała Laney ze swojego fotelika.
- Mam jej bebechy na palcu. – Jake pomachał siostrze palcem przed nosem, a ta pisnęła. Od pisku rozboleła mnie głowa. Potarłem powiekę.

- Przez przypadek? – zapytałem, mimo że nie powinienem był.
- Przestań – krzyknęła Laney.

Jake roześmiał się i udał, że zaraz jej dotknie.

- Przestań – huknąłem głośniejszym głosem niż zamierzałem. Jake i Laney znieruchomieli; w aucie zaległa głucha cisza.

- Przez przypadek? – powtórzyłem.

Jake wziął do rąk swoją książkę.

- Tak powiedział.
- Taa?

- Co, nie wierzysz mi? – zapytał Jake. – Poprosiłem o chwilę amnestii!

Wziąłem głęboki wdech.

- Wierzę ci na sto procent, chłopie. Nigdy nie kłamiesz.
- Skłamał o mojej Barbie – powiedziała Laney.
- Okay, kochana.

W drodze do domu starałem się nie zadawać już żadnych pytań. Gdy tylko wjechaliśmy w naszą ulicę, mimo zamkniętych okien w samochodzie natychmiast usłyszałem hałas bawiących się dzieci. Na podwórku przed domem Karen było sześcioro dzieciaków. Grali w futbol amerykański z bez troską tych, którzy nie boją się naderwania więzadła krzyżowego lub nadwężenia starych pleców.

Obserwowałem, jak grają, kiedy przejeżdżałem obok. I znów te nieprzyjemne znajome uczucia – przepełniły mnie lęk i niepokój.

- Bo i inni chłopcy grają w futbol. Może do nich dołączysz? Do kolacji masz

wolne.

- E tam – powiedział Jake.
- Obiecał, że pobawi się ze mną w rycerzy, tatusiu – zaprotestowała Laney.
- Czemu nie? – zapytałem. – Uwielbiasz futbol. W szkole grasz codziennie.
- Z kumplami.
- A co jest nie tak z Bo, Chase'em i resztą?
- Nic. Po prostu nie chce mi się grać. Chyba że tobie na tym zależy.
- Twój wybór, chłopie. – Nie miałem zamiaru go zmuszać. Chciałem, żeby sam chciał. Na tym polegała różnica.

*

We wtorek tego samego tygodnia zabrałem Jake'a i Laney do parku w mieście. Poprzedniej nocy padało. Pagórkowaty krajobraz w naszej okolicy bił po oczach nienaturalnie nasyconą zielenią liści i trawy. Powietrze po burzy nie było tak wilgotne jak przedtem, ale czyste i rześkie. Idealna pogoda, by spędzić dzień na dworze.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, mieliśmy cały park tylko dla siebie. Jake i Laney pobiegli na wysypany kawałkami kory plac zabaw i okupowali jeden przyrząd za drugim. Gdy wdrapywali się na ogromnego żółwia, plamki przedpołudniowego słońca oświetlały ich roześmiane buzie i nasza mnie rzadka chęć, by zrobić zdjęcie. Zdawałem sobie sprawę, że nasz album rodzinny cierpi na tym, że właśnie ja opiekuję się dziećmi, ale chciałem mieć trwałą pamiątkę przynajmniej z tego dnia.

– Hej, popatrzcie w moją stronę – powiedziałem.

Odwrócili się i spostrzegli komórkę z aparatem. Oboje zrobili śmieszne miny, a ja śmiejąc się, cyknąłem im zdjęcie. Wyszło całkiem niezłe, więc postanowiłem wysłać je na nowy telefon Rachel. Kiedy patrzyłem na fotkę, coś sobie uzmysłowiłem. Widząc tę chwilę uwiecznioną jak w kapsule, uświadomiłem sobie, że życie moich dzieci zbudowane będzie na fundamentach chwil takich jak ta. Mimo że czasem trudno było z nimi w domu wytrzymać, może nawet trudniej ze względu na moją płęć, dotarła do mnie jedna prosta prawda. Dzięki temu nie umknie mi prawie żadna chwila ich dzieciństwa.

Kiedy znowu podniosłem na nich wzrok, na plac dotarły jeszcze trzy grupki dzieciaków, które rozbiegły się po placu, aby bawić się na zjeżdżalniach i w małych gajach. Laney od razu zakolegowała się z dwiema dziewczynkami mniej więcej w jej wieku. Śmiejąc się, bawiły się w dom pod jedną z drewnianych budowli i sprzedawały kawałki kory innym dzieciom.

Przez chwilę nie mogłem znaleźć Jake'a. Wreszcie zobaczyłem go na huśtawce. Bujał się powoli w przód i w tył i z uśmiechem na buzi patrzył, jak wszyscy inni się bawią. Widziałem wyraźnie, że zupełnie się nie przejmuje.

Z jakiegoś powodu odbierałem to inaczej. Podeszedłem do niego i usiadłem na huśtawce obok.

– Co tam, chłopie?

– Nic.

– Dobrze się bawisz? – zagadnąłem.

Pokiwał głową.

– Lepiej niż na prozanej zabawie w sąsiedztwie, co?

Wyrwało mi się to zupełnie bezmyślnie i zabrzmiało zbyt znajomo, zbyt dorośle. Jake tylko się jednak roześmiał.

Siedzieliśmy jeden obok drugiego jeszcze chwilę. W pewnym momencie podbiegła Laney.

– Dzisiaj jest wtorek? – wydyszała.

– Tak.

– Chcę iść na sąsiedzką zabawę.

– Może za tydzień.

Popatrzyła mi milcząco w oczy. Widziałem, że rozważa, czy się nie spierać. Ale zawołała ją jedna z nowych koleżanek, więc pobiegła z powrotem do sklepu z korą, zadowolona jak zawsze.

Moment później zabręczała moja komórka. Rachel odpisała na mojego esemesa:

Wyglada na swietna zabawe. Szkoda, ze mnie z Wami nie ma.

– Możemy niedługo wracać? – odezwał się Jake.

– Jasne, chłopie – odparłem, wciąż ze wzrokiem wlepionym w ekran telefonu.

Tamtego wieczoru, kiedy dzieci położyły się spać, wciąż o tym esemesie myślałem. Wreszcie zagadnąłem Rachel na ten temat, kiedy myła zęby.

– Niedobrze, że wysłałem ci dzisiaj to zdjęcie?

– Co? – spytała, plując do umywalki.

– Zdjęcie. Może nie powinienem był ci go wysłać do pracy.

Odwróciła się w moją stronę.

– Czemu nie?

– Wiem, że jest ci czasem ciężko. No... dlatego, że jesteś w pracy.

Pokręciła głową.

– Większość ludzi nie zauważa takich rzeczy. Chyba... chyba trochę wam pozazdrościłam. Żałowałam, że nie mogę być razem z wami w parku.

Moje myśli wpadły w znajome koleiny, uznałem mianowicie, że Rachel

żałuje decyzji, żeby nie rezygnować z pracy w pełnym wymiarze, podczas gdy ja nie byłem w stanie zapewnić rodzinie utrzymania, ale odepchnąłem je od siebie. Wiedziałem, że podobne rozumowanie doprowadziłoby tylko do potężnej awantury.

- W takim razie nie wysyłać ci więcej zdjęć?
- Simon! Oczywiście, że chcę zdjęcia. Jak każda matka.
- Okay.

Umyłem zęby. Chciałem jeszcze porozmawiać, zapytać Rachel, jak jej minął dzień, ale mój umysł skupił się na planie zajęć na jutro. Odhaczałem w myślach kolejne drobne sprawy do załatwienia: jak ubrać dzieci, co zjemy na lunch. W pewnym momencie, którego nie zauważyłem, Rachel położyła się do łóżka. Kiedy sam się kładłem, spała już jak kamień.

ROZDZIAŁ 10

DZIEŃ PIERWSZY

Rachel wymyka się z sąsiedniego pokoju, podczas gdy ja wciąż gapię się w telefon. W ciągu trzech ostatnich godzin otrzymałem pięćdziesiąt esemesów. Wszystkie są albo od członków rodziny, albo od ludzi mediów. Każdy jest niczym odłamek szkła przeszywający mi serce, bo żaden nie jest od Jake'a. Kiedy wsuwam telefon do kieszeni, nadchodzi kolejny esemes. Wpycham komórkę, gdy nagle słyszę szelest papieru i przypomina mi się notatka.

– O kurde – mamroczę pod nosem.

– Co? – pyta Rachel.

Wyciągam kartkę z zeszytu i pokazuję żonie.

– Znalazłem to dziś rano i wziąłem, kiedy byliśmy w domu. Jest z zeszytu Jake'a.

Rachel się nie rusza. Wygląda blado. Rozkładam kartkę i czytam. U góry, nad zwykłymi notatkami, widać kilka linijek zapisanych literami dostatecznie dużymi, by mógł je przeczytać ktoś, kto siedział obok Jake'a na lekcji:

TO POJEBANE! MUSISZ PRZESTAĆ. MUSIMY DAĆ SOBIE SPOKÓJ Z CAŁYM TYM SZAJSEM. I POZBĄDŹ SIĘ TEGO CHOLERSTWA. BO JAK JE SOBIE ZOSTAWISZ, TO KONIEC. JUŻ NIGDY SIĘ DO CIEBIE NIE ODEZWE.

Rachel czyta to samo co ja. Kiedy podnoszę wzrok, sprawia wrażenie spiętej.

– O czym on mówi? – zastanawiam się na głos.

Wydaje się, jakby Rachel bała się odezwać – jakby strzęp nadziei, który pojawił się wraz z tą wiadomością, mógł poderwać się i odlecieć.

– To może znaczyć cokolwiek – mówię pod nosem.

Rachel wyciąga rękę. W dłoni ma kluczyki od swojego samochodu.

– Jedź go poszukać.

Kiwam głową. No, wreszcie.

*

Po wyjściu z hotelu idę przez parking do audi Rachel. Kluczyk dziwnie leży w dłoni, kształtem różni się od kluczyka od mojego forda. Wsuwam go w stacyjkę i dodaję gazu. Wóz aż rwie się do szybkiej jazdy. Silnik żyje, dysząc ogniem,

gotowy przyspieszyć od zera do setki w jakimś absurdalnie krótkim czasie. Pozwalam mu i odjeżdżam sprzed hotelu jak wyścigowiec. Wir myśli w głowie milknie. Jestem w ruchu, w swoim żywiole.

Wiem, gdzie szukać najpierw. Choćby to było mało prawdopodobne, istnieje możliwość, że Jake nie tylko nie miał żadnego udziału w strzelaninie, ale i nic mu się nie stało. Może wagarował. Nie byłby to pierwszy raz. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu on i jego kumpel Max musieli zostać po lekcjach, bo pojechali sobie na obiad do McDonalda.

Chwytam się tej myśli jak krokodyl. Chociaż to właściwie zła analogia. Krokodyl, który chwyci ofiarę, ciągnie ją pod wodę, szarpie, łamie kości i topi. W tym przypadku może być odwrotnie. Trzymam się tej myśli i daję się jej unieść, z głębi rozpaczy w stronę światła. Tylko ona mi pozostała.

Nadzieja przygasa jednak, gdy spoglądam na zegarek. To dziwne, jest już za piętnaście czwarta. Gdzie on może być?

Najpierw dzwonię do domu Maksa. Nikt nie odbiera, więc zostawiam wiadomość z prośbą o oddzwonienie. Potem w czasie jazdy przesiewam niezliczone wspomnienia, akta, które zebrałem przez lata bycia z Jakiem i Laney prawie dwadzieścia cztery godziny na dobę. Dochodzę do wniosku, że jeśli Jake wagaruje sam (nikt inny nie jest zaginiony), to coś musiało go zdenerwować. Może jakieś kłopoty z dziewczynami, chociaż nigdy mi o dziewczynach nie wspominał. Obiecałem sobie, że po powrocie zapytam Laney, mimo że teraz wydaje mi się to absurdałne.

Jeśli Jake borykał się z jakimiś kłopotami, dokąd mógł się udać? Miałem pewien pomysł. Całą trójką chodziliśmy kiedyś na spacer do lasu niedaleko domu. Pewnego razu głęboko w listowiu natknęliśmy się tam na stary kościół. Czuliśmy się tak, jakbyśmy odkryli zabytek, o którym wszyscy zapomnieli. Gdy natrafiliśmy na stare nagrobki, w większości z okresu między wojną o niepodległość a wojną secesyjną, Jake bardzo to przeżył. Widziałem, jak narodził się w nim mały odkrywca. Laney się wystraszyła, więc za pierwszym razem nie zabawiliśmy tam długo. Później jednak we dwóch wielokrotnie tam wracaliśmy. Właściwie to właśnie tam, oparty o ruiny kamiennego komina, zapytałem go, czy nie czuje się dziwnie, że ma tatę, który nie pracuje, tylko opiekuje się domem.

Jake się roześmiał.

- Nie, po prostu dziwnie się czuję, że mam takiego tatę jak ty.
- Żartowniś. – Objąłem go ramieniem za kark. Puściłem. – Ale poważnie, czy ktoś kiedyś zwracał ci na to uwagę?
- Czasami. Paru nauczycieli zareagowało trochę zabawnie.
- Serio? Jak?
- Nic takiego. Po prostu się zdziwili. Ale dzieciaki zawsze mówiły, że jesteś całkiem spoko. Max mówił, że mam farta. Uważał, że jesteś nieźle wyluzowany.

No bo czasami pozwalałeś nam jeść na śniadanie ciastka.

Roześmiałem się.

– Wyluzowany? A to dobre.

– Czemu?

Nie odpowiedziałem. Później jeszcze przez wiele dni rozpierała mnie radość. Teraz wydaje się, jakby od tamtej chwili minęły wieki.

Parkuję na poboczu i wysiadam. Ścieżka biegnie między miejscowym sklepem z narzędziami a dużym domem kolonialnym z wiecznie zasuniętymi żaluzjami w oknach. Czuję się tak, jakby moim ciałem sterował ktoś inny. Poruszam się, celowo i stanowczo, ale na rzeczywistość opada mgła, ja się w niej snuję. Gdybym zastanowił się teraz nad faktem, że idę na stary opuszczony cmentarz schowany głęboko w lesie, pewnie musiałbym zmierzyć się z tym, co pomyśleliby inni o upodobaniu mojego syna do tak osobliwego miejsca.

Idę wśród wysokich, rosnących prosto pni dębów, coś gna mnie do przodu: krok mam szybki i sprężysty. Mój ruch sprawia, że zarośla wyglądają jak w kalejdoskopie, gdy wpatruję się w nie i marzę, by Jake nagle z nich wyszedł, beztrudnie nieświadomy tragedii ogarniającej nasze życie.

Im bardziej zbliżam się do celu, tym wolniej idę. Strach i ja stajemy się magnesami, przeciwnymi biegunami magnetycznymi. Muszę tam dotrzeć i znaleźć Jake'a, ale jednocześnie mam świadomość, że kiedy tam dotrę, mogę stracić kolejny okruszek nadziei i stoczyć się w czarną otchłań, o której w ogóle nie chcę myśleć.

Ścieżka robi się węższa. Kolce krzaków jeżyn i gałęzie drzew czepiają się mojego ubrania. Pół metra przede mną otwiera się polana. Stawiam stopę na miejscu, gdzie kiedyś był Dom Boży. Widma przeszłości unoszą się nad tym miejscem, okrywają porośnięte mchem ruiny i zapadające się coraz bardziej pod ziemię kamienie nagrobne porozrzucane na szczycie pagórka niczym stare kości.

– Jake! – wołam.

Gdzieś z oddali odpowiada mi skrzekliwy głos myszołowa rdzawosternego. Patrzę w niebo, próbując go dostrzec. Nie wiem, czemu to robię.

– Jake – szepczę.

Przeszukuję ruiny. Biegam między mogiłami, jakbym się spodziewał, że przycupnął za którymś z krzaków i czeka uśmiechnięty na moment, by wyskoczyć zza niego w odpowiedniej chwili i przestraszyć swojego starego. Wiem, że Jake'a tu nie ma, ale i tak gorączkowo go szukam.

Jeden narożnik świątyni wciąż stoi. Wznosi się, cegła na cegle, aż do miejsca, gdzie jak podejrzewam, znajdował się kiedyś dach. Zwalniam, kładę dłoń na zimnym kamieniu i zaprawie i pochylam się, zaglądając do dawnego wnętrza kościoła. Serce mi zamiera.

W powietrzu wisi lalka – dynda na postrzępionym zielonym kawałku kordonka. Na szyi ma idealnie zawiązany stryczek. Wpatruję się w zniszczoną twarz lalki, jedno oko wydłubane, drugie zamknięte, czerwone usta rozmyte przez deszcz, złociste niegdyś włosy rozczochrane i sklezione w brudne strąki. Osuwam się na kolana i wybucham gwałtownym płaczem. Nie mogę oddychać. Nie mogę myśleć. Łkam, krztuszę się i pluję, i nie wiem, czy kiedykolwiek przestanę. Po raz pierwszy naprawdę wątpię w swojego syna.

*

Z ciemności wyrywa mnie ciemność. Słońce zachodzi za szkieletowymi pniami drzew. Lodowaty ból promieniuje z kolan. Nie wiem, czy dlatego, że jestem już za stary, czy może po prostu zimna wilgoć ziemi przeniknęła do kości. Wiem tylko, że klęczę w ruinach kościoła za długo. Mogłem wykorzystać ten czas na poszukiwania Jake'a, a teraz bezpowrotnie go strwoiłem. Muszę wziąć się w garść. Co ze mnie za ojciec? Nie jestem w stanie dotknąć lalki. To, co jej obecność sugeruje, działa na mnie paraliżująco. Sam fakt, że cokolwiek mi sugeruje, sprawia, że czuję się jak zdrajca. Gorzej, jak ktoś obcy.

Kiedy wstaję, muszę się podeprzeć. Nogi mam jak z waty, krążenie wraca bardzo powoli. Widok tej lalki, jej upiorna twarz i utyłane, stęchłe ubranie, niczym roztapiająca się skóra, mnie przytłacza. Nie widzę nic innego, lecz nie mogę pozwolić, by ktokolwiek inny zobaczył to ohydztwo. Chwieję się na nogach, ale podskakuję, próbując zerwać ją z zardzewiałego słupa podporowego, do którego została przywiązana. Stary kordonek napina się i spostrzegam misterny węzeł na słupie. Szarpnię jeszcze raz, ale nie chce puścić.

Przy breloku z kluczami noszę mały szwajcarski scyzoryk. Rachel, która prawie bez przerwy podróżuje, mówi, że to wariactwo, że nie przepuszczą mnie przez kontrolę na lotnisku. Ale sam nigdy nie podróżuję, więc od lat wisi przy breloku. Teraz wyciągam klucze z kieszeni i rozkładam cienki, krótki nożyk. Sięgam ręką wysoko, aż pod sam słupek, przecinam nić. Lalka spada w gnijące liście na ziemi. Podnoszę ją i wsuwam pod pachę, a potem ruszam z powrotem do samochodu.

– To Douga. – Śmieję się do siebie. – Jake nie tknąłby żadnej lalki.

Gdy wypowiadam ostatnie słowo, sam jestem o tym przekonany. Rozglądam się dookoła w obawie, że ktoś mógł mnie usłyszeć. Wpycham lalkę głębiej pod pachę, tak by nie było jej widać. Mam świadomość tego, iż łamię prawo, bardzo ważne prawo. Rachel powiedziałaaby, że dopuszczam się matactwa. Może już po raz drugi tego dnia.

Kiedy docieram do samochodu, w głowie zapala mi się lampka ostrzegawcza. Upomina, że powinienem przemyśleć jeszcze raz, czy zabrać lalkę z miejsca zdarzenia. Myślę o drugim dowodzie rzeczowym, który zabrałem,

o kartce z notatkami. Wyciągam ją i jeszcze raz czytam. Jake miał na myśli właśnie tę lalkę? Jeśli tak...

– Miejsce zbrodni – mówię, kręcąc głową.

Wiem, że to, co robię, jest złe, ale co pomyśleliby policjanci, gdyby znaleźli to coś na stryczku? Źle byłoby, gdyby w ogóle dowiedzieli się, że Jake lubi przesiadywać na starym cmentarzu. Wytworzyliby sobie fałszywy obraz jego osoby, obraz, który posłużyłby im do oskarżenia go o udział w strzelaninie. Nie pozwolę. To by mu zniszczyło życie.

Oddycham głęboko, otwieram drzwiczki i rzucam lalkę na tylne siedzenie. Mało brakowało, a wrzuciłbym tam także kartkę z notatkami, szczęście, że wsadziłem ją z powrotem do kieszeni. Siadam za kierownicą i próbuję zebrać myśli: gdzie jeszcze Jake może być? Poszedł poćwiczyć odbijanie piłki bejsbolowej do klubu? Czasem tak robił. Postanawiam pojechać na polanę, gdzie on i jego kumple grają co niedziela w futbol amerykański. Może jest właśnie tam. A może znajdę tam Maksa. Mógł-bym go zapytać. On by wiedział, gdzie znaleźć Jake'a.

W moje myśli wkradają się wątpliwości. Gdyby Jake'owi nic się nie stało, dlaczego jeszcze się nie zjawił? Musiałby usłyszeć o całym zamieszaniu. Chyba że uciekł. Tłumię tę myśl, zakopuję ją tak głęboko, żeby nie mogła oddziaływać na inne i tworzyć bardziej niepokojących ciągów rozumowania.

Bezrefleksyjnie wsuwam kluczyk do stacyjki. Silnik odzywa się niskim pomrukiem. Znajomy dźwięk. Gdy dzieci były młodsze, nie mogłem się doczekać, kiedy go usłyszę. Zwiastował powrót Rachel, chwilę, gdy nie byłem już odpowiedzialny (w każdym razie nie wyłącznie odpowiedzialny) za nasze pociechy.

– *Jake Connolly.*

Imię i nazwisko mojego syna zawisa w powietrzu, a ja jestem zdezorientowany i wystraszony. Po chwili zauważam, że włączyło się radio. Serce zamiera mi, gdy zaczynam słuchać: spodziewam się, że Jake'a wreszcie znaleziono.

– *Policja uważa teraz, że Douglas Martin-Klein nie działał w pojedynkę. Według naszego źródła z departamentu policji drugi uczeń ostatniej klasy, Jake Connolly, był widziany z Martinem-Kleinem na godzinę przed strzelaniną. Funkcjonariusze są właśnie w trakcie przeszukiwania domu nastolatka. Jak informowaliśmy wcześniej, według niepotwierdzonych doniesień zwłoki co najmniej jednego ze sprawców, Douglasa Martina-Kleina, znaleziono na miejscu dzisiejszej masakry.*

Ręka mi się trzęsie, gdy sięgam do gałki. Udaje mi się wyłączyć radio, krople zimnego potu rosą mi twarz. Nie próbuję niczego wypierać, nie wpadam we wściekłość, nie cierpię z bólu, jestem wstrząśnięty i odrętwiały. Nie potrafię

wyjaśnić, jakie to uczucie usłyszeć coś takiego o własnym synu, bo nie mam pojęcia, co teraz odczuwam. Jest tylko brak – brak emocji, brak zrozumienia, brak woli działania. Nie ma niczego. Absolutny brak. Absolutny, ale nie ostateczny.

ROZDZIAŁ 11

JAKE: WIEK DZIEWIĘĆ LAT

Moja mama przyjechała w południe popilnować Laney. Ja miałem już na sobie zapinaną na guziki koszulę i czarne płócienne spodnie. Rachel lubiła powtarzać, że jestem jedyną znaną jej osobą, która kupuje takie spodnie w czarnym kolorze. Staralem się przypomnieć sobie kogoś innego, kto takie nosi, lecz mi się nie udało. Ale w spodniach koloru khaki czułbym się, jakbym szedł na egzamin na uczelni.

– Simon?

– Jestem na górze.

Usłyszałem kroki, gdy weszła do kuchni.

– Mała Laney!

Widziałem takie powitanie setki razy wcześniej, więc wyobraziłem sobie, jak córka wyskakuje w powietrze i niezdarnie obejmuje moją matkę w pół. Obie mają podobny szeroki, obnażający zęby uśmiech – odziedziczony po poprzednich pokoleniach kobiet z rodziny Connollych.

Stałem w garderobie i się zastanawiałem. Odkąd zrezygnowałem z pracy, nosiłem krawat cztery razy. Trzy razy na spotkania z klientami, którzy zlecali mi pisanie tekstów medycznych, i raz, kiedy brat Rachel żenił się po raz drugi, tym razem z kobietą z Pasadeny, zajmującą się wyrobem druczianych ozdób. Jak można się było spodziewać, ona i Rachel nie miały ze sobą prawie nic wspólnego. Mark opiekował się teraz pół na pół dziećmi, które tak doskonale wychował. Tęskniłem za nim, chociaż po tamtym wieczorze życie zbyt wiele razy uniemożliwiło nam wspólne spotkania.

Uznałem, że nie włożę krawata. Z jakiegoś powodu starałem się nie chodzić do szkoły w džinsach, mimo że nosiłem je prawie zawsze. Uważałem, że źle by to rzutowało na dzieci. Koszula na guziki i płócienne spodnie w zupełności wystarczały, więc zszedłem na dół.

Matka siedziała na stołku przy blacie. Pochylona chwaliła rysunek Laney.

– To najlepsze drzewo, jakie w życiu widziałam.

– Jest niebieskie, babciu – powiedziała Laney, przekrzywiając głowę.

Uśmiechnąłem się.

– Gdzie Jake?

Moja mama przewróciła oczami. Skóra mnie zapiekła, gdy ciśnienie podskoczyło mi bardziej, niż powinno.

– Co?

– Co co? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– Co się stało?

Matka westchnęła i wyrzała przez okno.

– Co ja takiego zrobiłam, że stałam się znieawidzoną babcią?

Spojrzałem na Laney, która zrobiła wielkie oczy.

– Pozwól na chwilę – powiedziałem, starając się mówić spokojnie.

Matka wyszła ze mną do pokoju telewizyjnego. Zamknąłem za nami drzwi, żeby Laney mnie nie słyszała. Potem rozejrzałem się po pokoju. Jake z latarką w ręku czytał czasami książkę pod stołem obok kanapy. Nie chciałem, żeby usłyszał tę rozmowę. Stwierdziwszy, że go nie ma, zwróciłem się do matki.

– Nie możesz mówić takich rzeczy w jej obecności. Kurwa, w ogóle nie powinnaś takich rzeczy mówić.

– Nie przeklinaj.

Wzięłem głęboki wdech.

– Jezu, zawsze to robisz. Próbujesz zmienić temat.

– O czym ty mówisz?

– O Jake’u!

– Chciałam się tylko dowiedzieć, co takiego zrobiłam, że jest na mnie zły.

Kiedy weszłam, nawet na mnie nie spojrzał, tylko czytał dalej książkę.

– Mówiłem ci setki razy, że po prostu taki już jest. Zachowuje się tak wobec wszystkich. Czasem trochę niezręcznie.

– Wcale nie setki – powiedziała.

– Przestań.

Zamrugnęła.

– Co?

– Po prostu daj mu spokój, okay? Ma dopiero dziewięć lat. Ty jesteś dorosła. Przestań traktować to tak osobiście.

– Ale myślałam, że między nami jest lepiej. Bardzo starałam się być dla niego miła, a teraz znów wracamy do samego początku.

Zakryłem rękami twarz, przyciskając palcami skronie, gdy zsuwałem je niżej.

– Proszę, mamó. To mój syn. Myślisz, że nie rozmawiam z nim na ten temat?

– Po prostu nie rozumiem. – Westchnęła.

Parsknąłem śmiechem.

– Poważnie? A skąd, myślisz, to ma? Pamiętasz, kiedy twoja znajoma, pani Masterson z domu obok, poczęstowała mnie cukierkiem, a ja odmówiłem, ponieważ była obca?

– To się nigdy nie zdarzyło.

Odwrociłem się od niej, usiłując ukryć frustrację.

– Muszę iść. Nie chcę się spóźnić na wywiadówkę.

Otworzyłem drzwi, wszedłem do kuchni i zawołałem:

– Jake!

– Tak, tato – odpowiedział z piwnicy.

Wolnym krokiem zszedłem, zamyślony, na dół. Zastałem Jake’a w jednym z foteli z granulatem. Trzymał w garściach dwie figurki futbolistów i wydawał takie odgłosy, jakby któremuś z zawodników trzaskały kości. Kiedy wszedłem, nawet na mnie nie spojrział.

– W porządku?

– Jasne. – Kiwnął głową.

– Przywitałeś się z babcią, kiedy przyszła?

Zerknął na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Zapomniałem.

– Chłopie.

– Przepraszam, tato.

Duża łza zakręciła mu się w oku, a potem spłynęła po policzku. Za nią następna.

– Daj spokój, nie ma co płakać – powiedziałem.

– Przepraszam.

Często zastanawiałem się, czy serce Jake’a nie jest odrobinę za duże. Wiedziałem, że płacze, bo czuje, iż zrobił coś niewłaściwego i że może uraził swoją babcię. Tym trudniej mi było o tym z nim rozmawiać, ale przecież musiałem.

– W porządku. Tylko postaraj się być dla niej miłszy, okay? Ona myśli...

– Co? – zapytał.

– Nic. Po prostu się postaraj, okay?

Wyprężył grzbiet.

– Co miałeś zamiar powiedzieć?

– Nic. Muszę jechać na wywiadówkę.

– Mam nadzieję, że nie powiedzą nic złego – mruknął, odwracając wzrok.

Roześmiałem się.

– Nigdy nic takiego nie mówią.

Z parkingu przed szkołą puściłem do Rachel esemesa. Poczekalem chwilę na odpowiedź, ale potem uznałem, że wejdę sam. Przynajmniej jedno z nas musiało się stawić punktualnie. Chociaż jestem pewien, że nauczycielka by na nas nie nakrzyczała, nie zamierzałem ryzykować. Na wywiadówkę Laney spóźniliśmy się o parę minut i czułem się okropnie.

Pomachałem do dwóch kobiet w sekretariacie i ruszyłem w głąb korytarza do sali Jake’a. Rodzice chłopaka, którego trenowałem w piłce nożnej, stali przed klasą obok i czekali na swoją wywiadówkę. Zamachałem do nich.

- Hej, trenerze – powiedział tata. Jego żona się uśmiechnęła.
- Jak tam Marcus? Gotowy do następnego sezonu?
- Jasna sprawa.

Minąłem ich i zajrzałem przez okienko w drzwiach. Poprzednia wywiadówka jeszcze się nie skończyła, więc zawróciłem, żeby pogadać z parą, którą spotkałem na korytarzu.

- Trudno się było pogodzić z tą porażką w play-offach — powiedział tata.
- W tamtej drużynie grały najlepsze dzieciaki z kilku szkół.
- Będzie pan dalej trenował chłopaków na wiosnę? – spytała mama Marcusa.
- Oczywiście. Póki Jake chce grać.

Jake i Marcus nie byli kumplami. Na treningach dogadywali się bez problemów, ale myślę, że nie rozmawiali ze sobą poza boiskiem. Lubiłem jednak rodziców Marcusa, więc gawędziliśmy sobie aż do momentu, gdy nauczycielka Jake'a zaprosiła mnie do sali. Zerknąłem jeszcze w głąb korytarza z nadzieją, że zobaczę Rachel, ale wciąż jej nie było.

Panna Jenkins uśmiechnęła się, wpuszczając mnie do klasy. Ściany pokrywały kolorowe rysunki, śmiałe, pełne radości kształty i kreski poszczególnych obrazków zlewały się, tworząc mozaikowy autoportret dziewięcioletniego życia. Na ławce w głębi stał oddział ludzików zrobionych z butelek: małe pomniki najwybitniejszych jednostek w historii – Amelii Earhart, Alberta Einsteina, Thomasa Edisona – wykonane z pustych butelek po wodzie. Kiedy na nie patrzyłem, pomyślałem sobie, że fajnie by było, gdyby nasze nazwisko zaczynało się na „E” zamiast na „C”. Bo kogo mielibyśmy w swojej drużynie? Billa Clintona i Casanovę?

- Proszę siadać, panie Connolly. – Panna Jenkins obejrzała się przez ramię, robiąc komicznie zafrasowaną minę. – Czy pani Connolly do nas dołączy?
- Trochę się spóźni – powiedziałem.

Panna Jenkins skinęła w kierunku niskiego okrągłego stołu. Po stronie nauczycielki stało jedno pełnowymiarowe krzesło, po drugiej zaś ustawiono trzy małe krzesła dla dzieci. Zrobiłem krok w stronę prawdziwego krzesła, ale panna Jenkins mnie ubiegła. Spojrzała na jedno z miniaturowych krzeselek.

- Czy powinniśmy poczekać? – spytała.

Usiłowałem zmieścić tyłek na małym siedzisku, wierząc się w tę i we w tę, aż znalazłem pozycję dającą jaką taką namiastkę wygody. Kiedy popatrzyłem na pannę Jenkins, zorientowałem się, że muszę zadzierać głowę. Natychmiast poczułem się jak dziecko, które z rękami na kolanach czeka na nadciągającą burę.

- Chyba nie – powiedziałem.
- Na peeeeewno?

Spojrzała na mnie tak, jakby nie wolno mi było podejmować ważnych

decyzji, i zacząłem się zastanawiać, czy jeszcze się nie domyśliła. Wiedziała, że zrezygnowałem z pracy, żeby wychowywać dzieci?

– No, dobrze. – Odsunęła na bok tekturową teczkę. – Pozwoli pan, że zacznę od tego, że Jake jest wspaniałym dzieckiem. Naprawdę lubię jego punkt widzenia.

A co to ma niby znaczyć? – pomyślałem.

Panna Jenkins ciągnęła dalej.

– To są jego wyniki. Są takie, jakich należałoby oczekiwać.

Przebiegłem wzrokiem tekst na kartce. W jednej kolumnie podano listę przedmiotów i umiejętności: matematyka, rozumienie tekstu pisanego, socjologia (u dziewięciolatków? no, nieźle) i tak dalej. W drugiej kolumnie znajdowały się liczby – zakładałem, że odnoszą się do skali od jednego do stu. Jake ze wszystkich przedmiotów zdobył co najmniej po pięćdziesiąt punktów – ze wszystkich oprócz jednego. W prawym rogu kartki zauważyłem kolumnę zatytułowaną „średnia klasowa”. Ze zdumieniem stwierdziłem, że tutaj również wyniki wahają się od dobrych osiemdziesięciu kilku do powyżej pięćdziesięciu. Jak to możliwe, żeby średnia klasowa była tak wysoka? – zastanawiałem się. Wtedy po raz pierwszy naprawdę zdałem sobie sprawę, że przeprowadziliśmy się do dzielnicy ambitnych i pracowitych prymusów. Nagle poczułem się strasznym leniem.

Nieswój, z podkopanym poczuciem własnej wartości, wróciłem spojrzeniem do najniższego wyniku Jake’a, plasującego się znacznie poniżej średniej. Popatrzyłem na nazwę przedmiotu.

– Co to jest „obywatelskość”? – zapytałem.

Pamiętałem jak przez mgłę coś ze swojej podstawówki, chyba nagrodę za „postawę obywatelską” dla dziewczynki, która sprzedała wypchane zwierzęta, a uzyskane pieniądze przekazała na cel charytatywny. Matka ją do tego zmusiła, ale o tym nikt nie wspominał. Zdawało się, że Jake ma z tym kłopoty. Uzyskał pięćdziesiąt cztery punkty.

– „Obywatelskość” to odpowiedzialność spoczywająca na wszystkich uczniach, powinni rozumieć, co leży w najlepszym interesie wszystkich w klasie, i zgodnie z tym interesem postępować. Staramy się wpoić naszym dzieciom kluczowe wartości, dzięki którym staną się świadomymi, wykazującymi troskę o dobro ogółu członkami społeczeństwa.

Zabrzmiało to jak wyuczona przemowa. Odczekałem parę chwil, upewniając się, że skończyła.

– Jakim sposobem Jake uzyskał w tej dziedzinie akurat pięćdziesiąt cztery punkty?

Moje pytanie w pierwszym rzędzie dotyczyło tego, skąd wzięła się tak precyzyjna ocena, skoro pojęcie „obywatelskości” jest tak mgliste. Odpowiedź panny Jenkins dotyczyła jednak czegoś innego.

– Chciałam właśnie z państwem o tym porozmawiać. Jake czasami nie angażuje się w pełni w zajęcia klasy.

Poczułem ucisk w piersi. Do tej pory żaden z nauczycieli nie wypowiadał się o Jake’u negatywnie. W poprzednich latach mówiono nam, że zawsze pomaga innym uczniom, że nigdy nie mówi innym niczego przykrego i że ogólnie rzecz biorąc, uczenie go to czysta przyjemność. Parę razy któryś z nauczycieli napomknął, że Jake stroni od dużych grup, ale nie było w tym żadnego negatywnego wydźwięku. Raczej z uśmiechem, który mówił: „Taki już jest ten nasz Jake”. Panna Jenkins kompletnie mnie zaskoczyła.

– O rany – powiedziałem. – Co ma pani na myśli?

– Weźmy na przykład ostatni czwartek. – Odchrząknęła. – Odgrywaliśmy na lekcji sztukę o Rosie Parks. Przydzieliłam każdemu z uczniów rolę, w drodze losowania. Jake miał być kierowcą autobusu. Ale kiedy nadeszła pora na przeczytanie jego kwestii, nie chciał tego zrobić.

– Jak to „nie chciał”?

– Tak to. Po prostu swoich kwestii nie przeczytał. Nawet po stosownej zachęcie.

Zgubiłem się na chwilę, próbując się domyślić, co rozumie przez „stosowną zachętę”.

– Panie Connolly?

– Tak, tak. Cóż, wiem, że nie lubi ściągać na siebie uwagi grupy.

– Rozumiem. – Pokiwała z powagą głową. – Jake jest nieśmiałym dzieckiem. Zauważyłam.

Włos zjeżył mi się na karku.

– Nie jest nieśmiały. Ma mnóstwo kolegów.

Panna Jenkins odchyliła się do tyłu, jakby chciała mi się lepiej przyjrzeć. Zacząłem się wiercić, lecz w tym momencie otworzyły się drzwi. Do klasy wpadła Rachel, odziana w swój elegancki garnitur. Napięcie minęło – ustępując miejsca napięciom innego rzędu.

– Dzień dobry, pani Connolly, miło mi, że zdołała pani do nas dołączyć. Musi być pani bardzo zajęta – obrzuciła wzrokiem strój mojej żony – pracą i w ogóle. Nie wiem, jak daje pani sobie radę z tym wszystkim.

*

Rachel i ja staliśmy razem na parkingu. Zmarszczka nad jej lewą brwią nieomylnie świadczyła o tym, że jest wkurzona. Nie wiedziałem jeszcze jednak na co.

– Coś nie gra? – zapytałem.

– Słyszałeś ją? Co to, do cholery, miało być?!

– Nie wiem. – Odetchnąłem głęboko, pozbywając się bolesnego napięcia

barków. – Uwierzysz, że nazwała Jake’a nieśmiałym?

Rachel przekrzywiła głowę.

– Jest nieśmiały, Simon.

Zmrużyłem oczy.

– Co?

– Jake jest nieśmiały. Przynajmniej w większej grupie. Ale świetnie sobie radzi. Ma swoich kolegów i wspólnie dobrze się bawią. Niczego więcej mu nie potrzeba.

Zakręciło mi się w głowie. Nigdy przedtem nic takiego nie mówiła. Zresztą się z nią nie zgadzałem. Właściwie jej słowa podziały na mnie jak płachta na byka. Jake nie był nieśmiały. Może czasem zamyślony, ale nie nieśmiały. Robił się cichy, kiedy czuł się niepewnie. Tylko tyle, nic więcej.

– Wcale nie to miałam na myśli. Wiesz, że ona jest mężatką, prawda?
– powiedziała Rachel.

– Co?

– Całe to zawracanie dupy „panną” Jenkins. To bzdura. Ona jest mężatką, na litość boską. A zwraca się do mnie *per* „pani” i jeszcze pozwala sobie na komentarze, że jestem zbyt zajęta.

– Tak powiedziała?

Rachel zrobiła gniewną minę.

– Czasami mało do ciebie dociera. Wiesz, to nie jest łatwe dla żadnego z nas. Myślisz, że nie wiem, dlaczego niepewnie czujesz się w towarzystwie facetów z sąsiedztwa albo dlaczego zgłaszasz się do trenowania dzieciaków w tylu dyscyplinach sportu? Mnie też jest ciężko. Codziennie dręczą mnie wyrzuty sumienia. Za każdym razem, kiedy słyszę o tym, jak dzieci świetnie się bawiły, gdzieś w środku odzywa się ból. Ale zdecydowaliśmy się na taki model, a nie inny, prawda?

Pokiwałem głową.

– No, chyba.

*

Następnego dnia dzieci miały wolne. W szkole odbywały się kolejne wywiadówki, a ja wciąż nie doszedłem do siebie po naszej. Jake i Laney obudzili się, dopiero kiedy Rachel wyszła już do pracy. Przydreptali do naszego pokoju, rozmawiając ze sobą szeptem. Nie spałem już, ale wylegiwałem się cicho w łóżku, czując, jak po całym moim ciele rozlewa się ciepło, a usta szczerzą się w głupkowanym uśmiechu. Uwielbiałem słuchać, jak ze sobą rozmawiają, kiedy myślą, że ich nie słyszę.

– Alex powiedział, że mam tłustą buzię – powiedziała Laney.

– A to głupol – skwitował szybko Jake.

– No.

– Mam z nim o tym pogadać?

– Nie. – Sprawiała wrażenie bardzo rozgniewanej. – Powiedziałam mu, że jest niski jak hydrant strażacki.

– Dobrze. A co jest z tym dzieciakiem z przedszkola, który ciągle liże szybę w oknie?

– Ma nie po kolei.

Jake się roześmiał. Musiałem się bardzo wysilić, żeby też nie parsknąć śmiechem. Czułem na sobie spojrzenie ich oczek.

– Może włączymy po prostu telewizor? – wyszeptała Laney.

Jake odnosił się do siostrzyczki bardzo grzecznie.

– Nie, jestem głodny. Zresztą mamy wolne. Chcesz się pobawić mieczami, kiedy tata będzie robił śniadanie?

– Tak, super.

Wciąż uśmiechnięty, odwróciłem głowę.

– Cześć, dzieciaki.

– Cześć, tato! – wrzasnęli jednocześnie i wskoczyli na łóżko. Jake przytulił się do mnie z jednej strony, a Laney z drugiej. Nie chciałem się ruszyć. Wiedziałem, że któregoś dnia się to skończy i tulenie się do taty przestanie być fajne. Chłonałem więc każdy moment i cieszyłem się nim, jakby miał być ostatni.

Kiedy zaczęli się wiercić, wstaliśmy. Zabrałem się do robienia śniadania, podczas gdy oboje siedzieli na swoich miejscach przy kuchennym blacie. Nagle zaskoczył mnie dzwonek telefonu, aż wylałem odrobinę jajka na jajecznicę. Spojrzałem na zegar. Było dopiero wpół do dziewiątej.

– Halo? – odebrałem, spoglądając na ekranik, żeby zobaczyć, kto dzwoni.

– Mogę prosić Jake’a do telefonu? – odezwał się dziecięcy głos.

– Jasne, już podaję.

Myślałem, że to Max, kolega, z którym Jake często grał w futbol, ale na ekranie wyświetlił się „numer zastrzeżony”. Przekazałem Jake’owi aparat i przysłuchiwałem się rozmowie, a jednocześnie zabrałem się znowu do robienia śniadania.

– Hej. Tak. Zapytam tatę.

Nie zasłonił słuchawki, tylko odwrócił się do mnie i powiedział:

– Mogę iść do Douga?

Skinąłem ręką, żeby zakrył słuchawkę, ale tylko wzruszył ramionami. Wziąłem od niego aparat i sam to zrobiłem.

– Do Douga?

– Tak, byłem u niego na urodzinach. Pamiętasz?

Jake lubił mnie traktować, jakbym był niedołączony (choć nie znał jeszcze odpowiedniego słowa).

– No nie wiem – odparłem.

– Czemu nie, tato?

Nie jęczał. Nigdy nie jęczał, ale obojętny ton jego głosu sprawiał, że miałem jeszcze więcej wątpliwości.

– Powiedz mu, że oddzwonisz.

Oddałem Jake'owi telefon, a on odpowiedział koledze tak, jak go poprosiłem. A potem znowu zapytał mnie o to samo.

– Myślę, że wybierzemy się dzisiaj do parku. Laney na pewno chciałaby, żebyś z nami poszedł.

– Nie chcę do parku – wtrąciła się Laney. – Chcę iść do Becki.

– Po prostu uważam, że powinniśmy spędzić ten dzień razem. To wszystko.

– Ale powiedziałem Dougowi, że będziemy mogli dokończyć fort.

Znowu ton głosu Jake'a sugerował brak emocjonalnego zaangażowania. Stwierdził po prostu fakt, podobnie jak jego matka robiła to na sali sądowej. Znałem go, więc rozumiałem, o co chodzi. Widziałem, że jest zawiedziony.

– Zobaczmy. Zadzwońię do mamy i potem zdecyduję.

Wydawało się, że nie ma nic przeciwko temu. Kiwnął tylko głową i zasłonił twarz książką o futbolu, którą czytał już kilkanaście razy. Zastanawiałem się nad swoimi motywami, jednocześnie mieszając jajecznicę dla Laney. Lubiła ją ledwo ściętą, z odrobiną startego sera.

Musiałem wziąć pod uwagę jeszcze inne czynniki. Na przykład, że Tairyn zadzwoniła wcześniej i zaprosiła Laney do siebie do domu. Nie miałem tak naprawdę żadnej wymówki, ale coś nie dawało mi spokoju. Nie mogłem tego przed sobą przyznać, zwłaszcza po lekcji, która doprowadziła, że Doug i Jake się zakolegowali, ale po prostu ten dzieciak mi się nie podobał – zresztą tak samo jak jego ojciec. Od tamtych pamiętnych urodzin wpadłem na niego parokrotnie i zamieniliśmy ze sobą w sumie ze trzy słowa.

Postawiłem przed Laney talerz z jajecznicą i sięgnąłem po telefon. Wszedłem do pokoju telewizyjnego i zadzwoniłem do Rachel do biura.

– Hej – usłyszałem jej głos w słuchawce.

– Mam pytanie. Pozwolić Jake'owi pójść do Martinów-Kleinów?

Nie odpowiedziała od razu.

– Zaprosili go?

– Tak.

– A może ty zaprosisz Douga do nas? Wtedy mógł-byś lepiej go poznać.

– Dobry pomysł – przyznałem, chociaż uważałem, że znam go już dostatecznie dobrze.

– Czemu uważasz, że Jake nie powinien do niego iść?

– Ten dzieciak ma świra.

– Skąd wiesz?

– Karen mówiła, że chodzi do szkolnego pedagoga praktycznie codziennie. Roześmiała się.

– Od kiedy przejmujesz się tym, co mówi Karen? Wydaje mi się, że w zeszłym miesiącu powiedziałaś, że jest wilkołakiem uwięzionym w ciele mima.

– Tak?

– Owszem.

Uśmiechnąłem się.

– To całkiem niezłe.

– Zupełnie nie skapowałam, o co ci chodzi – stwierdziła drwiąco.

– Jest drapieżnym zwierzęciem, które może wyładowywać swoje lęki i kompleksy tylko pasywnie i pośrednio.

– Tak czy siak – powiedziała Rachel. – Znasz tego dzieciaka?

– Znam jego rodziców. Tata to niezły dziwak.

– Sam mówiłeś, że zamieniłeś z nim w sumie nie więcej niż siedem słów.

Może jest po prostu nieśmiały.

Zauważyłem zmianę tonu przy ostatnim słowie. Ubodło mnie to. Wiedziałem, że pije do tego, jak zareagowałem w rozmowie po wywiadówce. Brak odpowiedzi z mojej strony podrażnił Rachel na tyle, że się nie odzywała. Od wczoraj zanosilo się między nami na kłótnię. Nie chciałem jej jednak wszczynać.

– No to zawiozę go tam. Nie ma sprawy.

– Nie musisz. – Jej głos brzmiał cieplej. Tego tonu nie słyszałem od poprzedniego dnia rano. – Mógłbyś przyjechać z dziećmi na lunch.

– Nie, zawiozę Jake’a do Kleinów.

Prawie natychmiast pożałowałem tego, co powiedziałem. Powinienem był zgodzić się na jej propozycję. Wiedziałem, że cieszy się każdą chwilą, którą może spędzić z dziećmi. Na dodatek wcale nie chciałem, żeby Jake szedł do Douga. Naprawdę nie wiem, dlaczego nie podchwyciłem jej pomysłu. Może to przez tę uwagę o nieśmiałości.

*

Wczesnym popołudniem pojechałem odebrać Jake’a. Znowu czekał na podwórzu przed domem razem z Dougiem. Tym razem dobrze się dzieciakowi przyjrzałem. Sprawiał wrażenie niepozornego. Schludny, dobrze ubrany, ale bez żadnych dziwactw. Wciąż nie byłem w stanie jasno określić, skąd biorą się moje złe przeczucia. Kiedy zatrzymałem się przed domem, podniósł wzrok i przyglądał mi się badawczo. W jego wyrazie twarzy – w wąskich wargach, w ostrym spojrzeniu tępych oczu – było coś wyrachowanego. Potrząsałem głową i pomyślałem o tym, co Rachel często mi mówi: że przypisuję dzieciom intencje osób dorosłych.

Jake rozpromienił się, gdy tylko mnie zobaczył. Z szerokim uśmiechem na buzi serdecznie podziękował Dougowi i się z nim pożegnał, a potem pobiegł do samochodu. Kiedy wskoczył do środka, był wyraźnie podekscytowany.

– Powinieneś zobaczyć nasz fort. Jest super.

– Wasz fort?

– No. Cały dzień go budowaliśmy.

– Gdzie jest? – spytałem.

– Na tylnym podwórzu, tak jakby. Za domem jest lasek i sadzawka, więc to trochę daleko.

– Widać stamtąd dom?

– Nie wiem.

Potem z entuzjazmem zaczął opisywać szczegóły budowli, nad którą pracował z Dougiem. Rzeczywiście, brzmiało to wszystko bardzo fajnie, ale przez cały czas dręczył mnie niepokój. Kiedy wieczorem Rachel wróciła do domu, a dzieci poszły spać, podjąłem temat w rozmowie.

– Nie widzieli nawet stamtąd jego domu – powiedziałem.

Uśmiechnęła się.

– Simon, Jake jest chłopakiem. Chłopaki tak właśnie się zachowują. Wychowałeś go, jak należy. Ufam mu. Musisz pozwolić mu trochę podrosnąć. Co się niby może stać?

Nie potrafiłem odpowiedzieć na to pytanie. Ale mój mózg potrafił. Wyświetlał mi w głowie szkaradne obrazki poćwiartowanych zwłok, zbezczeszczonych świętości, rui i porubstwa. Wtedy uświadomiłem sobie, że Rachel ma rację. Musiałem odpuścić. Nie tylko ze względu na dzieci, ale i na siebie.

ROZDZIAŁ 12

DZIEŃ PIERWSZY

Kiedy opuszczam ruiny starego kościoła, jadę prosto do Martinów-Kleinów. Gdy tylko skręcam na nasze osiedle, już wiem, że nie uda mi się zbliżyć do ich domu, w każdym razie nie samochodem. Wozy policyjne blokują ulicę co najmniej pięć posesji wcześniej. Tuż za nimi rozpoczyna się strefa zamknięta. Trzy rzędy ludzi stoją w poprzek całej ulicy, a nawet na podwórkach sąsiednich domów. W powietrzu czuje się dziwną nerwową energię.

Parkuję samochód i wysiadam. Nagle spostrzegam lalkę leżącą na widoku na tylnym siedzeniu. Ludzie odwracają głowy i się na mnie patrzą. Większość mnie rozpoznaje. Wyglądają na zdenerwowanych i rozeźlonych, przez tłum przebiega pomruk. Kiedy robię krok w stronę żółtej taśmy policyjnej, śledzi mnie coraz więcej par oczu.

Reporterzy z kamerami ruszają w moją stronę. Wyobrażam sobie to ujęcie: stoję przy samochodzie Rachel, a na tylnym siedzeniu koszmarna laleczka z jednym okiem. Mam w głowie dość oleju, by wiedzieć, że lepiej się wycofać. Kamery napierają na mnie, a ja odwracam się i szybko wsiadam do auta. Filmują, kiedy odjeżdżam.

Thukę pięściami w kierownicę, wkurzony, że pokrzyżowano mi plany. Przejeżdżam obok jeszcze trzy razy, ale sytuacja się nie zmienia. Skupiam więc uwagę na innych miejscach, gdzie mógłbym Jake'a znaleźć. Przejeżdżam obok boiska do futbolu, w pobliżu domów jego kumpli, obok domu Maksa (wygląda na pusty), a nawet – z jakiegoś powodu – obok spożywczaka. Wszędzie nic. Kluczę właśnie po osiedlach otaczających szkołę, kiedy dzwoni komórka. To Rachel.

– Znaleźli hotel.

– Kto?

– Media.

– Do przewidzenia...

– Nie, Laney jest w recepcji na dole. Sama.

Serce mi się ściska.

– Dlaczego? Jak?

– Winda nie chce przyjechać. Zbiegnę po schodach. Nie wiedziałyśmy.

Chciała butelkę wody.

– Jadę.

Wyjeżdżam z osiedla na szosę. Jestem w mieście po niecałych pięciu minutach. Trzy przecznice przed hotelem już widzę wozy ekip telewizyjnych.

Niczym zwieńczone blankami przedpiersia białej baszty stoją wzdłuż wszystkich ulic otaczających Marriotta.

Zjeżdżając z lewego pasa, skręcam ostro w prawo i z piskiem opon parkuję wóz Rachel w pierwszym wolnym miejscu, które wpada mi w oko. Wyszarpuję kluczyk ze stacyjki i odpychając barkiem drzwiczki, wyskakuję z auta. Sprintem pędzę przez boczną uliczkę, aż docieram przed hotel. Spodziewam się tłumu reporterów. Zamiast tego wita mnie niesamowita cisza, od której strach chwyta za gardło.

Mocnym pchnięciem otwieram drzwi do recepcji, byle tylko dostać się do środka jak najszybciej. Widzę masę ściśniętych ciał, są jak podskakujące sępy, które próbują dobrać się do padliny. Choć nie dostrzegam córki, jakimś sposobem wiem, że jest gdzieś pośrodku, a tuż obok niej Rachel usiłująca osłonić ją od rozgorączkowanych dziennikarzy.

– Ej! – wołam.

Ładuję się barkiem w plecy jednego z kamerzystów. Ktoś przeklina, a ja odpycham go (myślę, że to mężczyzna) z drogi. Widzę teraz Laney, jej okrągłe oczy lśnią od łez. Jest z nią Rachel, tuli ją mocno do siebie.

– Tato – woła.

Odpycham kogoś łokciem, a potem biorę córkę i żonę w objęcia, jakbym ukrywał je pod skrzydłem.

– Panie Connolly! Panie Connolly!

Niczym diabelskie ślepie, groźne i surrealistyczne, zapalają się zielone lampki. Tulę mocniej Laney, która do mnie lgnie. Czuję, że drży.

– Chciałam tylko wodę.

– Zostawcie nas.

– *Jest pan zaskoczony tym, co zrobił pana syn?*

– *Czy były jakieś sygnały ostrzegawcze?*

– *Wie pan, co syn umieścił w Internecie?*

– *Czy ktoś z rodziców ofiar skontaktował się z państwem?*

Pytania zlewają się w szarpiący nerwy jazgot. Głowa tętni mi bólem i wpycham się w tłum reporterów, ciągnąc Laney za sobą.

– Z drogi, do cholery! – krzyczę.

Kiedy przedzieram się do windy, niczym kamienie sypią się kolejne pytania.

– *Jakiś komentarz w sprawie znalezionych w państwa domu rysunków?*

– *Od jak dawna państwa syn i Doug Martin-Klein się przyjaźnili?*

Wciskam guzik ze strzałką w górę, właśnie gdy na miejsce przybywają policjanci. Rozpoczyna się długi, jak przypuszczam, proces wyprowadzania reporterów z recepcji. Laney łka, słyszę ją mimo chaosu wokół. Jakiś dziennikarz łapie mnie za bark.

Wszystko rozgrywa się tak, jakby kierował mną ktoś inny; władzę nad moim

układem nerwowym uzurpuje sobie złośliwy chochlik. Wyprowadzam cios pięścią. Na szczęście facet robi unik. Nawet go nie drasnąłem, ale zielone lampki nie pozostawiają mi żadnych wątpliwości: zostałem sfilmowany. Zaciskając powieki, wycofuję się do drzwi windy. Te otwierają się i o mało nie wpadam do środka, a Rachel zaraz za mną. Gdy zasuwają się drzwi, płacz Laney robi się głośniejszy. Tulę ją. Co jeszcze można zrobić?

– Wszystko będzie dobrze, kochanie – szepczę. – Wszystko będzie dobrze.

Rachel stoi wpatrzona w zamknięte drzwi. Patrę na nią, przekrzywiając głowę. Laney wybiega z windy, gdy tylko się otwiera. Rachel ani drgnie. Wygląda na zagubioną.

– Co? – pytam.

Już kiedy to mówię, uświadamiam sobie, że powinienem być milczeć. Nieważne, jak zareaguję, ta bladość nie zniknie z twarzy mojej żony i córki – przywarła do nich zbyt mocno i nie chce, nie może ich puścić. W tej chwili pojmuję, co zobaczyłem w oczach Rachel. Brak nadziei. Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś takiego, nie u niej.

Rachel jest jak skała. Nigdy się nie ugięła – nawet raz. Przez te lata nasze małżeństwo mogło się kruszyć i pękać, ale ona nigdy. To jedna ze spraw, które doprowadzają mnie do szału. Kiedy się kłócimy, nie widzę żadnej reakcji. Nie mogę się do niej dobrać. Ale to wszystko ją załamało.

Prowadzę ją z powrotem do pokoju, który dzieli z Laney. W korytarzu jest cicho. Wyobrażam sobie oczy przy judaszach, obserwujące nasze męki w drodze przez czyściec. Docieramy do pokoju, Rachel próbuje wsunąć kartę w zamek, ręka jej drży. Wyciągam dłoń, ale zasłania się barkiem. Laney łąka cicho obok matki.

Kiedy karta wreszcie trafia w szczelinę czytnika i udaje się otworzyć drzwi, Rachel wprowadza Laney do pokoju.

– Mogę się położyć? – Głos mojej córki jest słaby jak najcieńsza bibuła.

– Jasne, kochanie – mówię.

Rachel zerka na mnie przelotnie, a potem kładzie Laney na jednym z dwóch łóżek.

– Posiedzisz tu ze mną? – słyszę szepc Laney.

Rachel odpowiada tak cicho, że nic nie słyszę. Kiedy tylko Laney się kładzie, żona zbliża się i mijając mnie, kiwa głową, żebyśmy weszli do łazienki. Wlokę się za nią noga za nogą, czuję się jak zombi. Przestaję cokolwiek rozumieć.

– Potrzebujemy jakiegoś planu – mówię. – Muszę coś zrobić.

– Myślę, że rano powinniśmy porozmawiać z Maksem. Może on coś wie – sugeruje Rachel.

– Nagrałem się im na pocztę głosową.

Rzeczywiście? Naprawdę nie pamiętam. Wszystko, co pamiętam z ostatnich godzin, jest rozmyte, pozbawione konturów. To niewybaczalne, ale myślę

o filmach. W filmach rodzice, którym przytrafia się tragedia porównywalna z naszą, zachowują się jak bohaterowie, niezłomnie stawiają czoło wszelkim przeciwnościom, sprawdzają każdy trop i znajdują odpowiedzi, z bronią w ręku i z niezagrażającą życiu raną barku. W moim przypadku jest zupełnie inaczej. Zamiast tego tsunami rzeczywistości pcha mnie, pcha nas wszystkich, dalej ku bierności, biurokracji i fleszom. To ciężka fala, która dławi nas i oddaje we władanie nicości.

– Pojadę tam teraz – oświadczam, bo nie chcę i nie mogę zaprzestać walki z żywiołem.

– Już prawie północ.

– Tak? I co z tego?

Rachel wpatruje się we mnie przez chwilę.

– Rano.

Wzdycham.

– Pojechałem pod dom Martinów-Kleinów.

– Co?

– Nie udało mi się zbliżyć. Policja zagroziła cały teren. – Wolę nie wspominać o lalce, którą znalazłem.

– Nie wiem, co robić – mówi. – Musimy się dowiedzieć, co jest grane. Myślę, że Laney poczuje się lepiej, jeśli tutaj z nią będziesz. Te pieprzone sępy na dole naprawdę dały jej się we znaki.

Kiwam głową. Rozumiem, co ma na myśli. Muszę być tuż obok, chronić rodzinę. Mimo że moja rodzina nie jest tu cała. Pocierając powieki, idę do swojego pokoju i siadam na brzegu łóżka. Rachel wraca do córki. Kiedy zamykają się drzwi między naszymi pokojami, włączam telewizor. Mam wrażenie, że już to wszystko widziałem. Chwile powtarzają się, jakbym biegał w jakimś piekielnym kołowrotku dla chomików. Czas się zapętlił. Zanim skupiam uwagę na ekranie telewizora, ta myśl nie daje mi spokoju. Zapętlenie oznacza, że nie ma przeszłości ani przyszłości, tylko ciągły powrót tego samego.

Później zaczynam dostrzegać i słyszeć świat na zewnątrz, tych, którzy nie utknęli w naszym kołowrocie. W następnych minutach serce pęka mi na kawałki. Z początku widzę na ekranie tylko kolaż: znajome twarze, znajome zdarzenia i miejsca łączą się w jeden ogromny koszmar. Jakieś urywki raz po raz wysuwają się na pierwszy plan, uwypuklając całą tragedię i grozę:

Na ekranie pojawia się Karen. Stoi przed swoim domem. Robi zboląłą minę: usta układają się w posępny łuk w tym samym momencie, gdy czynią to brwi. Mina sprawia wrażenie przeciwiczonej zawczasu. Widziałem ją już wcześniej, tak jakby zaraz miała wygłosić jakiś szczególnie kąśliwy ironiczny komplement. Nie pamiętam, co powiedziała w przeszłości, ale na pewno nigdy nie zapomnę tego, co mówi teraz.

– Był spokojnym dzieckiem. – Patrzy w obiektyw. – Samotnikiem. Nigdy tak naprawdę nie dołączał do zabawy, kiedy mój syn, Bo, bawił się u nas ze wszystkimi kolegami. Staralam się wyciągnąć przyjazną dłoń do jego ojca, ale potraktował mnie raczej z rezerwą. Jego żona, Rachel, była zawsze bardziej przyjaźnie nastawiona. Chociaż najczęściej trzymali się z boku.

Dziewczyna, którą pierwszy raz widzę na oczy, rozmawia z dziennikarką tuż przed zamkniętym przez policję terenem szkoły. Blond włosy wiszą jej tuż nad oczami w idealnie ufryzowanych kosmykach. Reszta włosów jest spięta z tyłu w radosny kucyk. Mówi z akcentem, który przypomina mi dziewczyny z Valley z mojej młodości.

– Doug i Jake cały czas byli razem. Nic tylko ze sobą gadali. To było naprawdę... no, takie dziwne, nie? Pamiętam, jak raz, wieki temu, Doug zaprosił mnie na imprezę urodzinową. Rodzice nie pozwolili mi pójść. Musieli dostrzec, że coś jest nie halo, już wtedy. No więc chyba, wie pani, nie jestem tak bardzo zaskoczona.

Prezenter lokalnej telewizji spogląda z powagą w kamerę. Nawet oni relacjonują tę sprawę przez całą noc.

– Uważa się, że dwóch uczniów ostatniej klasy, Douglas Martin-Klein i Jake Connolly, zaplanowało straszliwą masakrę, której dokonali dziś rano, zabijając trzynaście osób. Zwłoki Martina-Kleina zostały jednoznacznie zidentyfikowane: sprawca odebrał sobie życie po tym, gdy skończyła mu się amunicja w karabinie szturmowym. Miejsce pobytu Connolly'ego pozostaje na razie nieznane. Oddajmy teraz głos Lisie Ann, która jest na miejscu tragedii.

W kadrze pojawia się kobieta, stoi przed szkołą, zaskakująco blisko miejsca, gdzie przed chwilą widziałem wywiad z nastolatką. Ma na sobie wiatrówkę z logo swojej stacji telewizyjnej. Jej wygląd sugeruje, że dziesięć lat wcześniej musiała być pięknoscią, ale teraz nawet makijaż nie ukryje upływu czasu. Obok niej stoi inna kobieta, prawdopodobnie po siedemdziesiątce, która wpatruje się w obiektyw z nieskrępowanym gniewem.

– Dzięki, Kevin. Stoimy właśnie przed szkołą, gdzie wciąż trwają policyjne poszukiwania Jake'a Connolly'ego, ucznia ostatniej klasy, którego uważa się za jednego ze sprawców. Jest tu ze mną pani Donna Jackson, właścicielka posesji sąsiadującej ze szkołą. Pani Jackson twierdzi, że widziała, jak ktoś ucieka przez jej teren w czasie strzelaniny.

– Widziałam, jak ten chłopak biegł przez moje pole – wyrzuca z siebie Donna Jackson. – Widziałam go, jak tu stoję. Pobiegł do lasu w stronę tamtego osiedla na tyłach.

– Czy to było przed strzelaniną czy po niej?

Oczy Donny Jackson nabierają dziwnie nieobecnego wyrazu.

– Jestem pewna, jak tu stoję.

Lisa Ann mruży oczy.

– No dobrze. Cóż, czy jest pani pewna, że to był Jake Connolly?

– Policjanci pokazali mi zdjęcie. Ten chłopak miał te same ciemne włosy, jeśli wie pani, co mam na myśli.

Lisa Ann robi okrągłe oczy, jakby nie było tego w scenariuszu. Odsuwa od Donny Jackson mikrofon.

– Oddaję głos do studia, Kevin.

Potem na innym kanale lokalnej telewizji pojawia się Tairyn. Jej wychudła twarz i pomarszczona szyja kontrastują z fryzurą za dwieście dolców i brylantowymi kolczykami. Ma na sobie drogie ciuchy do joggingu. Zdaję sobie sprawę, że moje myśli są okrutne, ale teraz mogę tylko bronić najbliższych, a to oznacza również atakowanie.

– Jake’a tak naprawdę wychował ojciec. Jego mamy często nie było w domu. Moja córka często bawiła się z ich córką, więc jestem jedną z tych nielicznych osób, które odwiedzały ich dom. Zawsze starałam się być dla Simona miłą, włączyć go w życie towarzyskie sąsiedztwa, ale myślę, że tak jakby patrzył z góry na nas, matki wychowujące w domu dzieci. Wiem, że pozwalał Jake’owi na zabawy, które zawsze budziły mój sprzeciw. Gdy był bardzo mały, widywałam go, jak bawił się mieczami... i prawdopodobnie pistoletami, no wie pani, zabawkową bronią, narzędziami przemocy. I chyba... – Przełyka ślinę, najwyraźniej z emocji.

– Chyba powinnam była przewidzieć, że dojdzie do czegoś takiego. Biedne dzieci.

Nie jest w stanie dłużej mówić. Dławi się, machnięciem ręki odgania kamerę, ale operator nadal filmuje. Tairyn stara się pozbierać, jej oczy lśnią od łez.

– Przepraszam, nie mogę.

Operator robi zbliżenie na frontowe drzwi ich domu. A tam stoi jej córka, Becca, stara koleżanka Laney. Akurat ma na sobie szkolną bluzę. Chociaż spodziewam się, że Tairyn kiepsko zareaguje, zakończy rozmowę i powie, żeby nie filmowali jej córki, ona przywołuje Beccę do siebie. Ta obejmuje matkę, która mocno ją przytula. Przypomina mi się, jak tuliłem Laney w recepcji hotelu, ale uderza mnie pewna różnica. Obie przekrzywiły głowy dokładnie w ten sam sposób, jakby pozowały do zdjęcia w magazynie dla kobiet.

– To mogła być ona – mówi Tairyn, ocierając oko chusteczką. – Moja córka była w szkole, kiedy doszło do strzelaniny.

Chociaż Tairyn jakby zachęcała córkę do zabrania głosu, Becca milczy. Przez kilka sekund wpatruje się nieobecny wzrokiem w obiektyw. Wygląda, jakby doznała wstrząsu.

– Był małym, spokojnym chłopakiem – opowiada mężczyzna, sąsiad Martinów-Kleinów. – Unikał towarzystwa. Nigdy nie przychodził na żadne urodziny w sąsiedztwie. Ale jestem pewien, że był zapraszany.

Reporterka kiwa głową. Rozmowa toczy się dalej, malując właściwie ten

sam obraz, którym dzieli się każdy „naoczny świadek”, odkąd znowu, o szóstej rano, włączyłem telewizor. Wreszcie dziennikarka kończy rozmowę i spogląda zamyślona w obiektyw.

– Być może nigdy nie dowiemy się, co spowodowało, że Douglas Martin-Klein zwrócił się przeciwko swoim koleżankom i kolegom ze szkoły. Brutalne gry wideo, prześladowanie przez rówieśników czy choroba umysłowa: czas pokaże. Oddaję głos do studia, Jake.

„Jake”. Czuję zastrzyk adrenaliny, nagły dopływ nerwowej energii, która rozprasza się tak szybko, jak się pojawiła. Po prostu zbieg okoliczności, ale to, że słyszę kogoś mówiącego do Jake’a, niesie jednocześnie nadzieję i ból.

Prowadząca oddaje głos następnemu reporterowi w terenie. Temu jakimś sposobem udało się dostać do szkolnej biblioteki.

– Jak pierwszy doniósł Gawker.com, ze strony Douglasa Martina-Kleina na Instagramie wyłania się smutna, krwawa historia chłopaka wołającego o pomoc. Ten oto obraz przedstawiający zaciśniętą czerwoną pięść związaną szarym sznurem został wykorzystany jako ikona profilu nastolatka na tym popularnym portalu internetowym.

Obraz wydaje mi się znajomy, ale nie kojarzę skąd, dopóki dziennikarz nie dopowiada:

– Wiele osób rozpoznaje zapewne ten obraz jako okładkę wydanego prawie dekadę temu albumu zespołu Metallica. Właśnie przesłuchałem wszystkie piosenki z tego krążka. To, co usłyszałem, może być dla państwa szokiem. Pozwolę sobie zacytować kawałek:

Niewidzialny dzieciak

Zamknięty we własnym umyśle

Przed wstydem i bólem

Do diabła ze światem.

– Zastanawiam się, co sprawiło, że zawiedliśmy tego smutnego młodego

człowieka.

Nigdy nie przepadałem za metalem, ale pamiętałem tamten album, *St. Anger*. O dziwo, nie pamiętam, by należał do najbardziej popularnych czy najlepszych dokonań zespołu. Nie kojarzyłem jednak piosenki, którą zacytował reporter. „Do diabła ze światem”. Smutne, ale do Sylvii Plath nie sposób przyrównać. Zresztą nie brzmi mi to wcale ani zbyt gniewnie, ani agresywnie.

Obraz na ekranie przykuwa mój wzrok, ucinając dalsze rozważania nad piosenką. W telewizji pokazują zdjęcia z albumu szkolnego, uszeregowane jedno obok drugiego jak na policyjnym okazaniu. Widzę Leigh i Jamesa. Uśmiechnięta buzia Amandy przywołuje wspomnienia tego, jak była u nas w domu i bawiła się z Laney. Potem pokazują parę dzieciaków, tych nie znam, a potem jedno zdjęcie, które uderza mnie niczym pięść prosto w twarz: Alex Raines.

*

Ze dwa miesiące temu, pewnego popołudnia, Jake przyszedł do domu, a ja natychmiast zorientowałem się, że coś jest nie tak. Gniew rozpałał mu twarz; miał chmurny wzrok i wypieki na policzkach. Pomaszerował do swojego pokoju i zamknął drzwi. Stałem w kuchni i nasłuchiwałem, czekając, czy stamtąd wyjdzie, ale panowała głucha cisza. Próbowałem dać mu trochę czasu, ciekawość jednak okazała się silniejsza.

Zapukałem do jego pokoju. Kiedy Jake wreszcie mi otworzył, wyglądał na spokojnego, tak jak zwykle.

– Co tam, chłopie? – zapytałem.

– Nic, tato.

– Wyglądałeś na zdenerwowanego.

Posłał mi spojrzenie, które znałem aż za dobrze. Nie mógł skłamać mi w oczy, skoro wprost go o to pytam, ale nie chciał o tym ze mną rozmawiać. Nalegałem, więc opowiedział mi o Aleksie Rainesie. Kojarzyłem go z bejsbolu. Alex wcześniej wyrósł, był dobrym pałkarzem, który nigdy nie nosił niczego, na czym nie widniałoby logo Under Armour, i pierwszym chłopakiem z irokezem, chociaż przyczesanym – w drugiej klasie podstawówki. Właściwie nigdy wcześniej nie słyszałem, by Jake o nim mówił, czy to pozytywnie, czy negatywnie.

– Gadałem z kimś i przez przypadek potrąciłem go plecami. Popchnął mnie. Chyba wpadłem na szafkę. Dużo hałasu, ale właściwie nic takiego. Normalka, jak to na korytarzu.

– Wyglądasz na strasznie wkurzonego, więc nie taka normalka – zauważyłem.

Jake uniósł brew.

– Chwila amnestii, pamiętasz?

Odpuściłem i do kolacji Jake był już w pełni sobą.

Tego samego wieczoru zadzwonił pedagog szkolny.

– Dobry wieczór, tu Phil Hartman, pedagog szkolny. Mógłbym porozmawiać z panią lub panem Connolly?

– Dobry wieczór, właśnie pan z nim rozmawia.

– Panie Connolly, doszło dziś w szkole do pewnego incydentu. Pomyślałem, że powinniśmy porozmawiać.

– Tak, Jake i ja rozmawialiśmy o tym.

Byłem dumny, że Jake się przyznał, i może chciałem się tym trochę pochwalić.

– Nie wiem, co dokładnie syn panu powiedział, ale chcę podkreślić, że żaden z uczniów nie otrzyma żadnej kary. Uważamy, że obaj zachowali się nieodpowiednio, ale potem okazali żal i skruchę.

– Obaj?

Hartman odchrząknął.

– No cóż, tak. O ile mogłem się zorientować, Alex zaczął. Kiedy rzucił w Jake’a wyzwiskiem, Jake posunął się do rękoczyn.

– Do rękoczyn?

– Popchnął Aleksa, panie Connolly.

Poczułem się, jakbym stracił równowagę. Nie byłem na to przygotowany.

– Jakim wyzwiskiem określił Jake’a?

– Cóż... nazwał go „frajerem”. Rozmawiałem z małym Rainesem i chłopak przeprosił. Zależy mi tylko na tym, by nie doszło do żadnego odwetu. Mógłby pan przekazać synowi taki sam sygnał z własnej strony?

– Oczywiście – mruknąłem. – Dziękuję.

Odłożyłem słuchawkę i po raz pierwszy zdałem sobie sprawę z czegoś ważnego. Życie Jake’a nie było już dla mnie otwartą księgą.

*

Wyciągam rękę i wyłączam telewizor. Alex Raines. Jego zdjęcie wciąż zdaje się unosić w pokoju, sugerując to, co niewyobrażalne. Jest węzłem, który chcę przeciąć, tropem prowadzącym do najgorszej możliwej rzeczywistości. Odpycham je, wypieram ze świadomości, zamazuję w myślach.

Na jego miejsce zjawia się inny koszmarny obraz. Widzę Jake’a, kuli się w mroku, samotny i wystraszony. Dygocze jak osika, jego blada skóra jarzy się w księżycowej poświacie. Łzy ściekają mu po policzkach, gdy kiwa się w przód i w tył, przepełniony miażdżącymi wyrzutami sumienia.

Czy byłoby lepiej go znaleźć? Czy może powinienem marzyć, żeby zbiegł, uciekł gdzieś i rozpoczął nowe życie w ukryciu? Żyłby wtedy na wolności. Ale dlaczego? Ktoś prześladował Jake’a w szkole, znęcał się nad nim? Alex na pewno byłby do tego zdolny, z tym swoim irokezem w podstawówce.

Muszę porozmawiać z Rachel. Muszę to wszystko przemyśleć. Prześladowają mnie myśli tak mroczne, że nie mogę ich udźwignąć. Podczas gdy przedtem byłem pewien, że Jake żyje i ma się dobrze, bo jakimś sposobem w ogóle uniknął tego koszmaru, teraz stan mojego umysłu uległ zmianie wbrew mojej woli. Czy Jake byłby w stanie zrobić coś takiego? Serce podpowiada mi, wręcz zaklina, bym wierzył, że taki scenariusz w żadnym stopniu nie może być prawdziwy. Telewizja, wszystko wokół, wmawia mi jednak coś zupełnie innego. Świat twierdzi, że mój syn zamordował dzisiaj dzieci. Do głowy wpada mi myśl jeszcze bardziej niepojęta. Czy to na pewno najlepszy scenariusz: że żyje i jest na wolności?

Chwiejnym krokiem wbiegam do łazienki i pochylam się nad klozetem. Mam odruch wymiotny, ale nie mogę zwymiotować. Wysilam się i nic – żadnej ulgi. Osuwam się na zimną kafelkową podłogę.

ROZDZIAŁ 13

JAKE: WIEK DZIESIĘĆ LAT

Świt przyniósł radosne dźwięki wiosny. Kiedy słońce rozlewało się po kuchni, sprawiając, że Laney skrzyły się oczy, za oknem w dużym pokoju ćwierkał drozd, który zaszył się gdzieś wśród gałęzi krzewu na podwórzu. Laney siedziała przy stole i kolorowała obrazek przyniesiony ze szkoły. Jake siedział obok niej, z zabawkami w obu garściach. Jakiś potwór zdawał się bliski zwycięstwa nad żołnierzem z przyszłości odzianym w niebieski mundur.

– Nie zapomnijcie o śniadaniu. – Obejrzałem się na nich przez ramię. – Jake, co ci zapakować na lunch?

– Kanapkę z serem i mortadelą – odpowiedział.

Zająłem się robieniem kanapki, od czasu do czasu zerkając na zegar na ścianie. Był luty, środa; dzień zaczynał się jak każdy inny. Rachel wychodziła do pracy przed ósmą, a szkolny autobus przyjeżdżał za piętnaście dziewiąta. Po odprowadzeniu dzieci na przystanek zamierzałem wybrać się do pobliskiej kawiarni. Tam miałem spędzić kilka godzin, pracując nad zleceniem, które dostałem jako wolny strzelec – pisałem i redagowałem teksty dla branży medycznej.

– Tato – odezwał się Jake, wciąż bawiąc się figurką potwora i żołnierzykiem. – Mogę zaprosić do nas Douga po szkole?

Odwrociłem się od niego, nim odpowiedziałem. Starłem się nie dać po sobie poznać, jak nieswojo się czuję. Chociaż Jake kilkakrotnie był u Martinów-Kleinów, do tej pory ani razu się nie zrewanżowaliśmy.

– A może zaprosisz innego kolegę?

– Na przykład Maksa? – spytał Jake obojętnym tonem.

– Tak, to chyba łatwiej będzie załatwić.

Skłamałem (w pewnym sensie). Potrząsnąłem głową, starając się pozbyć wyrzutów sumienia. Rzadko kłamałem czy to Jake'owi, czy Laney. Próbowałem być z nimi zawsze tak szczery, jak to tylko możliwe, a mimo wszystko okłamałem go w sprawie niewinnej i błahej, chodziło przecież o zaproszenie do domu kolegi.

– W porządku – powiedział Jake.

Pomyślałem, że wybacza mi kłamstwo. Dopiero potem zorientowałem się, że mówi o zaproszeniu Maksa. Wziąłem telefon i napisałem esemesa do matki Maksa, Jen. Zaprzyjaźniliśmy się. Szybko mi odpisała.

– Mama Maksa podrzuci go do nas po szkole – oznajmiłem.

– Super.

I na tym się skończyło.

*

Kiedy odprowadzałem Jake'a i Laney na przystanek, rzuciłem okiem na zegarek. Codziennie na rogu ulicy zbierało się około piętnastu dorosłych, którzy rozmawiali ze sobą, podtrzymując kontakty towarzyskie, podczas gdy ich dzieci czekały na autobus. Zwykle tłumaczyłem, że trudno mi rozmawiać z tyloma ludźmi przed wypiciem porannej kawy, ale tak naprawdę miałem za sobą już dwa kubki. Rozmawianie z tyloma ludźmi zawsze przychodziło mi z trudem.

Przeszliśmy przez jezdnię i przystanęliśmy obok grupy sześciu czy siedmiu mam. Słyszałem szmer ich rozmowy, gdy udawałem, że muszę poprawić coś przy tornistrze syna. Przy okazji zerknąłem na podjazd, gdzie ośmiu chłopaków, wszyscy mniej więcej w wieku Jake'a, grało w kosza.

– Może pograsz z chłopakami? – szepnąłem Jake'owi na ucho.

– Nie.

– Czemu?

Tym razem zupełnie mnie olał. Tymczasem Laney podbiegła do Becki i kilku innych dziewczynek; niektóre były nawet o trzy lata starsze od niej. Dołączyła do zabawy jak profesjonalistka. Położyłem dłoń na głowie syna. Nie powiedział, żeby ją zabrał.

Tairyn odwróciła się lekko i wymówiła bezgłośnie „cześć”.

– Cześć – przywitałem się.

Rozmowa toczyła się dalej, w ciasnym kręgu wyznaczonym przez ich ciała. Przestąpiłem z nogi na nogę, czując, że powinienem coś do nich powiedzieć, ale nie miałem pojęcia, jak to zrobić.

– Idź pograć, śmiało – powiedziałem do Jake'a.

Nie chciałem na niego naciskać. Bogiem a prawdą, musiałem po prostu się do kogoś odezwać. A on okazał się najłatwiejszym celem.

– Tato. – Spojrzał na mnie wielkimi oczami.

Zagryzłem zęby, Karen mi się przyglądała. Odwróciłem wzrok. Nadjeżdżał właśnie autobus. Kiedy odezwałem się znowu do Jake'a, podniosłem głos, tak jakby zależało mi na tym, by inni mnie usłyszeli.

– Pamiętaj, Max przychodzi po szkole.

Nikt nie zareagował. Autobus odjechał, a ja pospiesznie przeszedłem przez ulicę. Gdy wracałem do domu, drżałem na całym ciele, jakbym był w szoku po zastrzyku adrenaliny. Zarechotałem sarkastycznym śmiechem, uświadomiwszy sobie, że ani ja, ani Jake nie zamieniliśmy na przystanku z nikim słowa.

Myśląc o tym, jak łatwo moja córka zintegrowała się z grupą, żałowałem – nie po raz pierwszy – że sam nie jestem bardziej taki jak ona. Żałowałem też (choćby bym się do tego nigdy nie przyznał), że Jake również nie jest do niej

pod tym względem podobny.

*

Jen zamachała ze swojego jaskrawoczerwonego minivana, gdy wjeżdżała tyłem na nasze podwórze. Max, jego blond włosy mignęły niczym kometa, przebiegł obok mnie. Jake zaczekał na niego i obaj zniknęli w wejściu do piwnicy. Podekscytowane głosy stopniowo ucichły, ale wciąż słyszałem ich echo, gdy ostrożnie zamknąłem za chłopcami drzwi.

Skończyłem pracę na dzisiaj i dopiero co zamiotłem w kuchni podłogę, więc klapnąłem na kanapę w dużym pokoju i wziąłem do ręki książkę, którą akurat czytałem: o geopolityce i przewidywaniach na nieodległą przyszłość. Wertując ją, żeby znaleźć stronę, na której byłem (musałem szukać, bo Laney ostatnio lubiła udawać, że czyta moje książki), słuchałem, jak chłopcy hałasują na dole, a odgłosy ich zabawy mieszają się z odgłosami Laney i Becki, które bawiły się w pokoju mojej córki. Radość wezbrała we mnie, jakby podano mi na śniadanie pachnącego, puszystego naleśnika, i aż sobie westchnąłem.

Czas, jak zwykle gdy dzieci bawiły się beze mnie, płynął tak szybko, że poczułem się zawiedziony, kiedy usłyszałem dzwonek do drzwi. Z ociąganiem odłożyłem książkę i wstałem z kanapy. Przez dekoracyjną szybę w drzwiach frontowych zobaczyłem komicznie zniekształconą twarz Tairyn. Obróciłem gałkę.

– Cześć, Simon. – Przystanęła na stopniu schodków.

– Cześć. Wejdz, proszę.

Skorzystała z zaproszenia. Rozglądając się dookoła, weszła nie więcej niż metr w głąb przedpokoju.

– Dziewczynki dobrze się bawiły?

Pokiwałem głową.

– Tak jakby ich tu w ogóle nie było. Chyba przez cały ten czas ani razu ich nie widziałem.

Powiedziałem coś niewłaściwego? – pomyślałem. Zastanawiałem się, czy tym samym dałem do zrozumienia, że nie opiekowałem się dziewczynkami, jak należy. Z drugiej strony bałem się, że wydałoby się dziwne, wręcz niepokojące, gdybym za dużo z nimi przebywał. Zacerwieniłem się i musiałem odwrócić wzrok.

– Naprawdę dobrze się zakumplowały – powiedziała Tairyn.

Podszedłem do schodów.

– Laney, przyszła mama Becki.

Zza zamkniętych drzwi pokoju doleciały mnie stłumione głosy. Czekałem.

– Laney, słyszałaś? – zawołałem.

– Tak, tatusiu – odkrzyknęła, ale drzwi się nie otworzyły. Zdawało mi się, że usłyszałem zza nich dziewczęcy śmiech.

– Chyba dobrze się bawią – mruknąłem pod nosem.

– Słucham?

Odwróciłem się do Tairyn i przestąpiłem z nogi na nogę.

– Chyba dobrze się bawią. Nie chcą kończyć.

– O tak, wiem – ożywiła się nagle. – Kiedy są u mnie w domu, ciągle proszą, żeby Laney mogła zostać dłużej. To takie słodkie.

– Tak – potwierdziłem.

Staliśmy w przedpokoju. Czas płynął, każda sekunda potęgowała niezręczność sytuacji w postępie geometrycznym. Nie byłem w stanie wymyślić niczego do powiedzenia. Z Jen, mamą Maksa, zawsze mogłem pogadać o którejś nauczycielce albo o sporcie (Jake i Max grali razem w futbol). Z Tairyn łączyło mnie jednak mniej tematów.

Ona przerwała ciszę.

– Idziecie z Rachel na kolację sąsiedzka?

Zmrużyłem oczy. Moja reakcja z kolei spowodowała, że to Tairyn poczuła się nieswojo, jak gdyby nagle zaczęła się zastanawiać, czy zostaliśmy zaproszeni. Sam nie miałem pojęcia.

Wreszcie odpowiedziałem:

– Nie, nie damy rady przyjść.

Nie ciągnęła tematu, prawdopodobnie dlatego, że wciąż nie była pewna, czy dostaliśmy zaproszenie. Odwróciłem się, żeby pospieszyć dziewczynki, i właśnie wtedy drzwi od piwnicy otworzyły się gwałtownie, trzasnęły o ścianę tak głośno, że Tairyn aż pisnęła z zaskoczenia, i w tej samej chwili Jake i Max wbiegli z tupotem do kuchni.

– Pif! Paf!

– Tratatata!

Mój syn, uzbrojony w plastikowego kałasznikowa, ostrzelał dom gradem niewidzialnych pocisków. Niczym Jean-Claude van Damme, Max dał nura za krzesło z dwoma pistoletami w dłoniach.

– Dostałeś! – wykrzyknął Jake ze śmiechem.

– Semtex! – Max wykonał taki ruch, jakby rzucał czymś w Jake'a, który wrzasnął i uskoczył z drogi. Max wykorzystał moment i o mało nie zderzywszy się z Tairyn, wybiegł za drzwi.

– Przepraszam. – Jake stał w przedpokoju, trzymając karabin lufą w dół.

Ze zdumioną miną Tairyn zrobiła krok w tył. Jake spokojnie przeszedł obok, zeskoczył ze schodka i pognął za Maksem. Hałas ich zabawy niósł się echem przez otwarte drzwi. Podszedłem i je zamknąłem.

– No, ładnie. – Tairyn wydeła wargi.

Nie dałem po sobie niczego poznać, ale nie mogłem się powstrzymać i gapiłem się na Tairyn. Miała trzy córki, nie miała syna. Właśnie temu

przypisałem jej reakcję. Na szczęście po chwili na szczycie schodów pojawiły się Laney i Becca.

– Pa, Laney. – Becca zbiegła po schodach.

Laney ruszyła za nią.

– Pa, Becca.

Uściskały się, po czym Becca stanęła u boku matki.

– Co się mówi? – zaintonowała Tairyn.

– Dziękuję – powiedziała Becca, naśladowując jej ton.

– Było nam bardzo miło – odpowiedziałem.

Laney pomachała do koleżanki i ruszyła w głąb domu. Patrzyłem, jak Tairyn prowadzi córkę do swojego czarnego lexusa. Po drodze popatrzyła wytrzeszczonymi oczami na Jake'a, który przebiegł obok, strzelając do Maksa. Zamknąłem drzwi.

*

Kiedy dzieci położyły się spać, starałem się zachować to wszystko dla siebie, ale oczywiście nie wytrzymałem. Po pięciu minutach wspólnego siedzenia na kanapie odwróciłem się do żony.

– Wiesz, że jest kolacja sąsiedzka i nie zostaliśmy zaproszeni?

Zamrugła z zaskoczeniem. Nagle poczułem się głupio, chociaż jeszcze nie wiedziałem dlaczego.

– Mamy przygotować jedno z dań – powiedziała.

– Aha.

Rachel się roześmiała.

– Nic dziwnego, że nie zapraszają cię na sąsiedzkie zabawy dla dzieci.

Podniosłem wzrok. Rachel się we mnie wpatrywała. Przekrzywiła głowę.

– Wyluzuj – dodała. – Tylko żartuję. Chyba przez te lata spędzone w domu zaczynasz trochę dziwaczeć. Nie pamiętam, żebyś wcześniej myślał, że wszyscy są przeciwko tobie.

– Tak uważasz? – zapytałem.

– Nie wiem. Ale moim zdaniem nadmiernie się zastanawiasz nad sprawami, które dotyczą sąsiadów, a także dzieci. I... – Zawiesiła na chwilę głos. – Może nas.

– Nie zastanawiam się nadmiernie nad nami – zapewniłem.

Znowu się roześmiała.

– Może w tym problem.

Jej słowa zawisły na chwilę między nami. W tamtym okresie nie powiedziałbym, że mamy jakiś „problem”. Przyznałbym za to, że żyliśmy w dwóch bardzo odmiennych światach. Oba bez wątplenia miały swoje blaski i cienie. Najśmieszniejsze, a może właśnie smutne, jest to, że pewnie oboje zamienilibyśmy się ze sobą miejscami. Ja tęskniłem za mniej skomplikowanym, bardziej dorosłym

światem biura. I odnosiłem nieodparte wrażenie, że Rachel niczego nie pragnie tak bardzo, jak spędzać więcej czasu z naszymi dziećmi.

Pod wpływem kaprysu zaproponowałem:

– Powagarujmy sobie jutro. Wszyscy. Możemy zabrać dzieci do wesołego miasteczka w Lancaster.

Rachel zmrużyła oczy.

– Mam jutro...

Spojrzałem jej w twarz. Uśmiechnęła się i powiedziała:

– To najlepsza propozycja, jaką usłyszałam od dłuższego czasu.

Nazajutrz rano obudziłem się, nastawiając się na wielkie rozczarowanie. Wiedziałem, że Rachel ma w kancelarii nawał pracy, i przypuszczałem, że wycofa się z naszego planu. Uznałem nawet, że puszcze to płazem. W dużej mierze dzięki jej pracy mogliśmy żyć na takim poziomie, na jakim żyliśmy. Musiałem być bardziej wyrozumiały.

Kiedy otworzyłem oczy, usłyszałem szum prysznic w łazience.

– Tylko bez nerwów – szepnąłem do siebie.

– Co, tato?

– O!

Odwróciłem się i zobaczyłem Jake'a. Leżał w łóżku na miejscu Rachel i czytał książkę. Uśmiechnął się, ale jego oczy pozostały ukryte pod niesforną grzywką.

– Co tam?

Przetarłem zaspane oczy.

– Jedziemy do Wonderpark – oznajmił.

Jake lubił wesołe miasteczka, zwłaszcza rozmaite gry. Laney z kolei uwielbiała przejażdżki kolejką górską i karuzele: im straszniejsze, tym lepsze. Co wyjaśniało entuzjastyczny pisk, który buchnął z jej pokoju.

– Tatusiu – zawołała. – Jedziemy do Wonderpark!

– Słyszałem – odpowiedziałem jej.

Kiedy rozmawiałem z Jakiem o jego książce, w łazience ucichł szum prysznic. Wstałem i zapukałem delikatnie do drzwi. Rachel otworzyła mi z zielonym ręcznikiem na głowie.

– Wydaje się, że dzisiaj wagarujesz – powiedziałem.

Uśmiechnęła się.

– Wygląda na to, że tak.

ROZDZIAŁ 14

DZIEŃ DRUGI

O drugiej w nocy dzwoni mój telefon. Dźwięk odbija się od ścian łazienki i mojej czaszki, równocześnie przywraca mi świadomość i rozszarpuje ją na strzępy.

– Jake.

Jeszcze nie odebrałem. Wciskam „odbierz” i przykładam zimny, martwy plastik do ucha. Skórę mam tak gorącą, że aż parzy.

– Jake?

Nikt nie odpowiada. Nie wiem nawet, czy połączenie nadal trwa.

– Jake, to ty? Odezwij się, proszę.

Połączenie przerwane. Ruchami tak niezdarnymi, jak u dwuletniego dziecka, przywołuję na ekran rejestr ostatnich rozmów. „Numer prywatny”, czytam.

Przyciskam palec do ekranu – bezsilna próba, by oddzwonić. Nic się nie dzieje. Myśli mi się płaczą, ale nagle przypomina mi się, że muszę powiedzieć Rachel o Karen... i co gorsza, o Tairyn. Serce jej pęknie.

Przytrzymując się klozetu, wstaję. Kręci mi się w głowie, w piersi czuję dziwną lekkość. Przełamuję się i otwieram drzwi między naszymi pokojami. Wita mnie mrok. Wciskam guzik w komórce, żeby podświetlić ekran. W rozproszonej poświacie widzę Rachel i Laney. Leżą w łóżku, splecione we wspólnych objęciach. Ich miarowy oddech mnie uspokaja. Stojąc tak chwilę, tłumię w sobie potrzebę ruchu, dostrajam do nich swój oddech.

Zamykam drzwi przed sobą tak cicho, jak potrafię, i cofam się rakiem aż do chwili, gdy czuję, że tył nóg uciska mi brzeg łóżka. Siadam, mój umysł wciąż dokonuje ewolucji myślowych, od których kręci mi się w głowie. Staram się zracjonalizować, co znaczą te głuche telefony. Chociaż nie chcę tracić nadziei, nie ma mowy, by dzwonił Jake. Odezwałby się do mnie. Zaczynam mówić do siebie pod nosem.

– *Może zgubił się gdzieś, gdzie zasięg jest bardzo słaby.*

– *Musiałem coś przeoczyć.*

– *Czy możliwe, żeby Jake ukrywał przede mną coś więcej? Tak jak tę lalkę?*

To mój punkt przełomowy. Włączają się mechanizmy obronne. Czuję niewytłumaczalny gniew, wracam myślami do twierdzeń wykrzykiwanych przez reporterów. Pod powiekami zamkniętych oczu natychmiast zjawiają się twarze Leigh Marks, Jamesa George’a i Amandy Brown. Potrząsam głową, próbując się ich pozbyć, z wyrzutami sumienia, że nie żal teraz odczuwam. To coś

mroczniejszego, coś, z czym nie jestem w stanie się zmierzyć.

Muszę coś zrobić, ale jest druga w nocy i cały świat śpi. Dziennikarze, ich twarze podobne w moich myślach do sępów, mówili coś o Internecie. Biorę swojego iPhone'a. Chcę sprawdzić w sieci, o co im właściwie chodziło. Otwieram Safari i nie mam pojęcia, co dalej. Wiedziałem, że Jake ma konta na Facebooku i Instagramie, ale sam ich nie mam. To raczej domena Rachel. Myślę o tym, żeby ją obudzić, ale zamiast tego wpisuję Jake'a w okienko Google'a.

Wystarczają trzy pierwsze litery – J A K – a wyskakuje mi jako pierwsza opcja w podpowiedziach. Nie klikam jej. Nie mogę, bo robi mi się niedobrze na myśl o milionach ludzi, którzy musieli to już zrobić, zmieniając imię i nazwisko mojego syna w często wyszukiwane hasło Google'a. Wpisuję je do końca ręcznie i zamyślam się na chwilę. Zaczynam zdawać sobie sprawę, co wyświetli się na ekranie, kiedy potwierdzę wyszukiwanie. Zamykam oczy i robię to i tak, wzdragając się nieco, jak przed spodziewanym ciosem.

Wyszukiwarka pokazuje wszystkie najważniejsze media informacyjne – CNN, lokalne sieci telewizyjne, ogólnokrajowe serwisy gazetowe. Zaglądam na każdy z portali po kolei, szukając tropów. Ale wszystkie artykuły międlą tylko w kółko to, co widziałem już w telewizji: doniesienia o rzekomym udziale mojego syna w strzelaninie powtarzają się raz za razem. Przewijając stronę w dół, znajduję link do profilu Jake'a na Facebooku. Czuję się, jakbym szukał czegoś nielegalnego. Na Facebooku widzę zdjęcie Jake'a z meczu futbolu amerykańskiego i wiadomość: „Prywatny profil Jake'a Connolly'ego jest dostępny tylko dla znajomych”.

Jestem jego ojcem. Próbuje znaleźć cokolwiek, najmniejszy strzęp informacji może się okazać pomocny, ale odbijam się od ściany.

Pytam sam siebie: Czy Jake ma profil na Twitterze? Nie mam pojęcia. Pamiętam, że słyszałem o Instagramie, ale nie wiem, co to takiego. Kiedy go tam szukam, niczego nie znajduję. Wrzucam jego imię jeszcze raz w wyszukiwarkę i zanurzam się głębiej. Na drugiej stronie wyników wpada mi w oko tablica informacyjna. Dotyczy gry komputerowej *Modern Soldier*, w którą Jake lubił grać. Otwieram link i zostaję przeniesiony do zapisu rozmowy. Jeden z wpisów jest sygnowany imieniem Jake'a. Wiadomość mówi: „Klip quick-scope'a z obrotem o 360 stopni”.

Do wpisu dołączył filmik sprzed pięciu miesięcy. Oglądam go. Widok pierwszoosobowy postaci z karabinem wyborowym. Nagle krajobraz wiruje, a karabin się unosi. Spoglądam w okular teleskopu i w nitkach celownika ukazuje się mężczyzna w czarnym mundurze. Karabin strzela, i mężczyzna pada trupem. Tutaj wideo się kończy, w sumie trwa piętnaście sekund.

Rozumiem, o co chodzi. Nie dość, że patrzyłem, jak mój syn gra w tę grę, sam też grałem. Jestem strasznie kiepski, chociaż Jake zawsze próbuje mnie przekonać, że nie jest tak źle. Ale po tym filmiku serce mnie kłuje.

Usiłuję go skasować. Moje próby są gorączkowe i bezskuteczne, rzucam telefon na podłogę. Ludzie zobaczywszy ten obrazek, pomyślą, że mój syn jest sprawcą. Nie mogę na to jednak nic poradzić.

Muszę skupić się na czymś innym. Cały dzień strawiłem na ukrywaniu dowodów, na próbach ochrony go przed tym, co mogą pomyśleć inni. Powinienem go znaleźć. Tylko to się przecież liczy... bez względu na wszystko inne. Podnoszę telefon, naciskam guzik i na ekranie znowu pojawia się forum internetowe. Zauważam, że są całe strony komentarzy. Wszystkie zostały dopisane w ciągu ostatnich dwunastu godzin. Wszystkie nazywają Jake'a potworem i mordercą.

Nie wytrzymam w hotelu ani chwili dłużej. Wymykam się z pokoju i zjeżdżam windą do prawie pustej recepcji. Za kontuarem stoi tylko młoda kobieta, która wydaje się czymś zajęta. Kiedy odwraca głowę i mnie spostrzega, blednie i natychmiast wraca do tego, czym się zajmowała. Przypuszczam, że tylko udaje.

Mijam kobietę i czuję na plecach jej wzrok. Zatrzymuję się przed drzwiami i próbuję dojrzeć coś przez przyciemnioną szybę, mimo że na zewnątrz panuje mrok. Po chwili w ciemności materializuje się niewyraźny zarys białej furgonetki, potem drugi.

– Jest boczne wyjście przez parking podziemny – odzywa się ściszony głos za moimi plecami.

Odwracam się i widzę młodą recepcjonistkę. Patrzy mi w oczy przez okulary z modnie wygiętą górną linią oprawki. Spod granatowego uniformu wystaje biała koszula z szerokim kołnierzem. Dziewczyna może mieć najwyżej dwadzieścia parę lat.

– Słucham? – pytam, starając się jej nie wystraszyć.

– Jest inne wyjście. Ekipy telewizyjne i reporterzy nadal tu czatują. Może wolałby pan wyjść bocznymi drzwiami? Znajdzie je pan w głębi korytarza po prawej.

Odwracam wstydliwie wzrok. W głowie rodzi się proste pytanie: Dlaczego pani mi pomaga? Dziwne, jak działa ludzki umysł. Kiedy się nad tym zastanawiam, dostrzegam wyraźne przesunięcie w swoim sposobie myślenia. Czemu nie miałyby mi pomóc? Może nie pomogłaby, gdyby uważała, że mój syn zastrzelił te dzieciaki. Wtedy na moją i tak nadwątloną duszę zwała się kolejny ciężar. Może to zrobił.

Trudno wyjaśnić, jak się teraz czuję. Zdaję sobie sprawę z tego, że zwątpiłem. Czasem jestem tak bardzo pewny niewinności syna. Kiedy indziej przez głowę przebiega myśl, której obecność jest jak fizyczny wstrząs. Coś, co słyszę w telewizji, jakieś nowe doniesienia medialne, sprawia nagle, że zaczynam myśleć o najgorszym. Tak czy inaczej, fakt, że brak mi pewności, boli mnie bardziej ze względu na to, co za sobą pociąga. Jeśli nie jestem zupełnie pewien, może po prostu nie znam własnego syna.

Nie mówię nic do dziewczyny. Ze spuszczoną głową idę w głąb niesamowicie cichego korytarza. Ledwie podnoszę stopy nad dywan. Myśli napierają na moje skronie. Ciśnienie rośnie. Zaraz mnie rozsadzi. A potem nic. Moja skóra jest wilgotna i zimna, wzrok zamglony i nieostry. Pcham drzwi z napisem EXIT, przemierzam krótki industrialny korytarz i docieram do następnych drzwi. Kiedy je otwieram, uderza we mnie fala świeżego powietrza. Przebiega mnie dreszcz chłodu, ale czuję się lepiej.

Wyjazd z parkingu wychodzi na Orange Street. Spostrzegam dwa wozy telewizyjne, które tam stoją, i postanawiam iść dalej w cieniu. Widzę kolejny zielony znak z napisem EXIT, który przyzywa mnie w ciemności. Idę tam i znajduję wyjście dla pieszych. Wychodzę na ulicę na tyłach hotelu. Wymykam się niezauważony.

Szybkim, sztywnym krokiem idę tam, gdzie zaparkowałem samochód Rachel. Potrzeba działania wypiera poprzednie niepokojące rozważania. Nie myślę już o tym, co będzie, jeżeli. Teraz myślę tylko, co powinienem zrobić.

Pojadę pod szkołę, przeszukam pola za budynkiem, będę wołał syna i usłyszę jego zagubiony głos w odpowiedzi. To moje koło ratunkowe, nasze zbawienie. I o tym tylko mogę myśleć, gdy wsiadam do auta i odjeżdżam w mrok nocy.

*

Gwiazdy na niebie świecą prawie tak jasno jak srebrzysty księżyc, który lśni nad samym horyzontem. Przede mną rozciąga się droga, pusta i pozbawiona życia. Słabe lampy ledwo oświetlają ulicę, mijam nieczynne sklepy i puste siedziby firm. Nawet budynki zapadły w sen, czekając na nowy dzień, kiedy to napływ wstających skoro świt pracowników tchnie życie w otaczającą mnie martwość.

Na razie jestem zupełnie sam. Cisza usadowiła się obok mnie niczym cielesne stworzenie; bestia karmi się moimi nadziejami i pożera je tak, że ostają się tylko wątpliwości i lęki. Wciąż odpycham je od siebie, na próżno szukając jakiegoś prawdopodobnego scenariusza, w którym nasze życie wcale by nie ucierpiało. Każda upływająca sekunda jest ciosem, nadwątła tę możliwość, pozostawiając mi tylko inne opcje, a od tych przewraca mi się w żołądku.

Drgam z zaskoczenia, gdy słyszę dzwonek telefonu. Odbieram pełen nadziei.

– Halo? – mówię i nawet zanim się odezwie, wiem, że to moja matka.

– Simon, całą noc nie mogę zasnąć. Dzwonili twój brat i siostra. Próbowałam się dodzwonić do was do domu z pięćdziesiąt razy. Dlaczego nie zadzwoniłeś? Co się u was dzieje? To nie może być prawda!

– Już dobrze, mam. – Ale to nieprawda. Nie mam pojęcia, co jej powiedzieć. Nie mam nawet pojęcia, co sam wiem.

– Gdzie jest Jake? Laney?

– Laney jest tutaj, z Rachel – zapewniam. – Nic jej nie jest. Tak jak i Rachel...

– A Jake?! Gdzie jest Jake?

– Mamo, ja... nie wiem.

– W telewizji mówią, że zabił... – Odsuwam telefon od ucha. Czuję, jak łzy spływają mi po policzkach. Nie zdawałem sobie sprawy, że płaczę.

– Simon.

Mój tata przejął słuchawkę.

– Jake tego nie zrobił.

Mój tata tak uważa. Nie mogę odpowiedzieć, bo nie mam w sobie tej niezachwianej pewności. Już nie.

– Jesteś tam? – dopomina się. – Słyszałeś mnie?

– Nie wiem, tato – szepczę.

– Za godzinę zadzwoni do ciebie Jonathan.

– Nie, tato. – Wzdragam się. – Nie potrzebujemy adwokata. To znaczy, myślę, że nie...

– Za godzinę – powtarza.

Zanim kończy połączenie, słyszę jeszcze w tle zawodzenie matki. Nadal trzymam telefon przy uchu i jadę pustą ulicą: wszędzie głucho i ciemno. Jonathan, wspólnik w interesach mojego ojca od dziesięciu lat, to jeden z najpotężniejszych prawników w New York City. Choć nie jestem nawet pewien, czy wciąż praktykuje, wiem, że kiedyś był słono opłacanym obrońcą w sprawach karnych. Wspólnie z moim ojcem stworzyli i prowadzili prężnie działającą sieć restauracji. O dziwo, ani Jonathan, ani mój ojciec nigdy nie ugotowali osobiście ani jednego posiłku. Do biznesu wnieśli po prostu furę gotówki i zarządzali przedsiębiorstwem z biegłością, która wprawiała w zdumienie.

Myślę, że powinienem zadzwonić do Rachel. Nie może znieść Jonathana, ponieważ zawsze gdy w rozmowie pojawia się temat prawa, mój ojciec natychmiast powołuje się na niego, zupełnie ignorując fakt, że moja żona też jest prawnikiem. Rozumiem jej punkt widzenia i czuję, że powinienem ją ostrzec.

Przed wybraniem numeru spostrzegam, która godzina. Nie chcę obudzić Laney. Więc zamiast zadzwonić, podczas jazdy zaczynam klepać do Rachel esemesa.

Mój ojciec nasyla Jonathana. Postaram się go powstrzymać.

Podczas pisania słyszę ducha swojego syna:

– Tato, nie pisz esemesów, kiedy prowadzisz samochód.

*

Zbliżając się do zabudowań szkoły, skręcam w uliczkę pobliskiego osiedla. Za poświatą idealnie ustawionych latarni widzę fasady każdego z domów, które mijam. Zbudowane nie wcześniej niż pięć lat temu, różnią się tylko odcieniami bieli. Nawet skrzynki na listy, za duże i nieskazitelnie białe, są identyczne. Jestem tak rozkojarzony, że przegapiam przecznicę, gdzie chciałem skręcić, i orientuję się dopiero dwie ulice dalej. Kiedy zawracam, gaszę przednie światła i parkuję w ślepych zaułku między dwoma domami.

Już z ulicy widzę ścieżkę. Biegnie od jednego z podwórz przez lekkie wzniesienie, zakręca, omijając skupisko drzew, i ciągnie się aż za teren sportowy z boiskami na tyłach szkoły. Wysiadam i ostrożnie, jak najciszej, zamykam drzwiczki. Czuję się jak przestępca, ale ruszam ścieżką i docieram na teren szkoły.

– Jake – wołam ściszym głosem, między szeptem a krzykiem. – Jake!

Księżyc świeci tak słabo, że boiska są ciemne. Wpatruję się w mrok z nadzieją, że zauważę jakiś ruch lub może usłyszę szelest, jeden z tych odgłosów zdradzających człowieka, który stara się być zupełnie cicho.

Kiedy spostrzegam ławki boiska do bejsbolu, wreszcie wiem, gdzie jestem. Pamiętam, co widziałem w telewizji. Świadkowie twierdzą, że widzieli Jake'a tam, po prawej za polem do gry, gdzie linia drzew styka się z granicą terenu szkolnego. Ruszam truchtem w tamtą stronę. Chrząst moich butów na mączce ceglanej przywołuje wspomnienia z czasów, gdy trenowałem drużynę Jake'a. Pamiętam, co czułem, kiedy po raz pierwszy zaliczył czwartą bazę.

– Jake! – wołam, tym razem głośniej. – Jake, to ja. Tata!

Docieram do murawy i posapując, biegnę coraz szybciej, dalej w stronę drzew. Zdaje mi się, jakbym patrzył we wszystkich kierunkach jednocześnie, obrazy układają się jak w ciemnym kalejdoskopie. Tutaj właśnie był mój syn. Jest! Muszę myśleć w czasie teraźniejszym: „jest”.

– Jake. Pokaż się. Już dobrze. Poradzimy sobie. Obiecuję.

Jakiś dźwięk! Odwracam się gwałtownie, prawie upadam. Słyszę kroki. Serce wali mi jak oszalałe. Znalazłem go!

Wtem oblewa mnie światło. Mrużę oczy i próbuję osłonić twarz, ale mięśnie odmawiają posłuszeństwa. Prawie osuwam się na ziemię.

– Jake – szepczę.

– Stać, nie ruszać się – woła głos. – Ręce przed sobą! Co pan tu...

Mimo że wciąż go nie widzę, jestem świadom, że to funkcjonariusz policji. Kiedy milknie, wiem, że mnie rozpoznał.

– Na ziemię. Już!

– Proszę posłuchać, ja chciałem tylko...

– Na ziemię!

Słyszę odgłos, jakby wyjmował pistolet z kabury. Nadal stoję.

– Nie. – Mówię to spokojnie, ale nie mam zamiaru padać na ziemię. Myślę tylko o tym, jak mało ci policjanci robili, by znaleźć mojego syna. Postawię im się.

Światło się przybliżyło. Wciąż mnie oślepia.

– Na ziemię, ale już!

– Nie – szepczę.

Policjant powala mnie tak szybko, że nie mam czasu się obronić. Skuwa mi ręce za plecami i podnosi.

– Czemu mnie pan po prostu nie posłuchał? – pyta.

Ma głos młodego człowieka. Teraz, gdy przestał świecić mi w oczy, widzę zarys jego twarzy. Chyba już go widziałem.

– Wiem, kim pan jest – mówi. – Co pan tu robi?

– Szukam syna – odpowiadam.

– Nie ma go tu. Przeczesał każdy centymetr, nawet z psami. I nic. Jest tutaj mnóstwo zapachów ale... Sprawdziliśmy każdy trop. Jego tu nie ma, proszę pana.

Zwracając się do mnie „proszę pana”, przestaje być moim wrogiem. Zaczynam się nawet zastanawiać, dlaczego tak go potraktowałem i dlaczego stawiałem opór. Myśli mi się płaczą.

– Jak się pan tu dostał?

Wyjaśniam, gdzie zaparkowałem.

– Muszę wyprowadzić pana poza teren, ale nie chcę zatrzymywać. Niech pan wraca do domu, niech pan się prześpi. Znajdziemy pańskiego syna.

Nic nie mówię. Bo co mam powiedzieć? Że nie mogę wrócić do domu. Że moim zdaniem szukają mojego syna tylko po to, żeby go aresztować. Zamiast mówić, daję się zaprowadzić do samochodu. Kiedy tam docieramy, wyciągam kluczyki. Policjant odwraca się i spogląda na auto. Marszczy brwi. Nagle znowu zapala latarkę. Świeci na tylne siedzenie. I wtedy przypominam sobie o lalce.

– Kurwa mać – mówię.

Policjant świeci mi w twarz.

– Myślę, że lepiej będzie, jeśli zawiozę pana na posterunek.

ROZDZIAŁ 15

JAKE: WIEK JEDENAŚCIE LAT

Wpatrywałem się w telefon ze świadomością, że powinienem do niej oddzwonić. Nasza rozmowa znowu źle się skończyła, choć nie wiedziałem, od czego się zaczęło. Właściwie ledwo pamiętałem, o czym rozmawialiśmy. Słowa zlewały się ze wszystkimi innymi, które usłyszałem od niej w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Usiadłem na kanapie w dużym pokoju i zamknąłem oczy. Popołudniowe słońce świeciło mi na powieki, i świat zmienił się w rozjarzony różowo-pomarańczowy koc. Głowa opadła mi na poduszkę.

Od narodzin Jake'a dziesięć lat wcześniej życie nie biegło ścieżką, jaką zaplanowałem. Starąłem się wrócić myślą do czasów młodości, kiedy miałem głowę pełną marzeń. Czy któreś z nich dotyczyło zostania w domu, by opiekować się dziećmi? Roześmiałem się w głos. Podczas wieczornego wypadu facetów z sąsiedztwa mąż Tairyn, rosły, muskularny gość z owłosionymi ramionami i przeszczepioną grzywką, który twierdził, że grał w bejsbol w drużynie farmerskiej, spojrział mi prosto w oczy i powiedział: „Zawsze chciałem, żeby żona mnie utrzymywała”.

– Trudno, Sam – odpowiedziałem. – Chyba nie jesteś dość przystojny.

Potem przerzucaliśmy się jeszcze złośliwościami. Myślę, że wygrałem. Ale później, kiedy jechałem po nocy do domu, naprawdę zastanawiałem się nad tym, co powiedział. Zwykle żałowałbym, że za późno wpadłem na jakąś kąśliwą ripostę, którą mógłbym go uraczyć. Tym razem jednak poważnie zadawałem sobie pytanie: Czy zawsze chciałem mieć żonę, która by mnie utrzymywała?

Po rozmowie telefonicznej z Rachel absurd tego przypuszczenia uderzył mnie mocniej niż kiedykolwiek. Jako dwunastolatek sprytnie przekonałem starszego brata jednego z kolegów do oddania mi rewiru, gdzie rozwoził gazety. Jako czternastolatek dostałem robotę w sklepie wędkarskim i płacono mi pod stołem za zbieranie i czyszczenie larw z należącego do sklepu pojemnika na śmieci. Kiedy skończyłem szesnaście lat, miałem za sobą pracę w budce z lodami, w sklepie odzieżowym, w dwóch centrach handlowych i w wypożyczalni wideo. W trakcie całej nauki w college'u łapałem różne fuchy, włącznie ze stażami i pracą w spółdzielniach studenc-kich. Tydzień po ukończeniu studiów rozpocząłem swoją pierwszą „karierę zawodową” i do narodzin Jake'a ani przez jeden dzień nie pozostawałem bez zatrudnienia.

Od tego momentu jednak gryzą mnie wyrzuty sumienia. Rano, kiedy patrzyłem, jak Rachel przemyka po ciemku to tu, to tam, usiłując znaleźć pasujące

buty, byłem przeświadczony, że pogardza mną, gdy tak leżę w łóżku, czekając, aż Laney wstanie i wskoczy mi do pościeli, żeby poprzytulać się kilka minut. W ciągu dnia, kiedy dzieci chodziły do szkoły, często wyobrażałem sobie, jak ludzie przejeżdżający obok domu zerkają przez okna i kręcą głową z dezaprobatą, zadając sobie pytanie: Jaki mężczyzna tak postępuje?

Od czasu do czasu rozmawiałem z kimś o mojej obniżającej się samoocenie. Raz nawet udałem się do zawodowca i odbyłem w sumie trzy sesje. Na ostatniej z nich psychoterapeutka przypomniała mi, że wychowuję dwoje dzieci (wtedy oboje poniżej siódmego roku życia), a jednocześnie pracuję jako autor tekstów medycznych i radzę sobie bez pomocy niani czy teściów (rodzice Rachel raczej trzymali się ode mnie z daleka, kiedy jej nie było w pobliżu). Następną wizytę odwołałem. Nie potrzebowałem, by ktoś powtarzał bezrefleksyjnie to, co już wiedziałem, i brał za to po sto pięćdziesiąt dolców.

Często wmawiałem sobie, że Rachel i ja jesteśmy w awangardzie nowego porządku społecznego. Byliśmy Rosą Parks (przyznaję się do megalomanii) równości płciowej. Pod pewnymi względami miałem rację. Ona przynosiła do domu bekon, a ja smażyłem go na patelni (owszem, pożyczyłem ten tekst ze starej reklamy), a mimo wszystko miałem nigdy, przenigdy nie zapominać, że jestem mężczyzną.

Szczerze mówiąc, psychika nawet mi się poprawiła z biegiem lat. Kiedy dzieci były mniejsze, mój poziom agresji wystrzelił w górę. Zdarzało mi się fantazjować o bójce na pięści z listonoszem, który krzywo na mnie spojrzał, gdy zobaczył, jak we wtorek w południe koszę trawnik. Kiedy trenowałem drużynę Jake'a w piłkę nożną, parę razy praktycznie rwałem się do bicia, gdy któryś z ojców ośmielił się mnie skrytykować. Nie byłem z tego dumny. Przeciwnie, robiło mi się niedobrze, ale zdarzało się i już.

Kiedy Jake skończył dziesięć lat, ten etap mojego życia szczęśliwie przeminął. Uspokoilem się. Z zewnątrz, niektórzy mogliby powiedzieć, że wróciła mi pewność siebie. W środku wiedziałem jednak, że pewne zmiany okazały się trwałe. Martwiłem się o dzieci, prawdopodobnie za bardzo, a faceci nie powinni się martwić. Nie starałem się też dostatecznie o związek z Rachel. Przyznawałem się do tego, nawet przed nią, ale z drugiej strony czułem, że ona też poświęca mi za mało czasu.

Zadzwoił telefon i wiedziałem, że to ona. Odebrałem, obiecując sobie, że przeproszę i zakończę tę kłótnię – kłótnię, której początku nawet nie pamiętałem.

– Cześć.

– Co tam? – odburknąłem.

Po raz drugi upomniałem się, żeby wyluzować, odpuścić, skończyć sprzeczkę i zacząć od nowa. Zamiast tego zaległa cisza. Wstałem i zacząłem się przechadzać po przedpokoju. Moje kroki niosły się echem przez pusty dom.

– Chciałaś czegoś? – spytałem.

Nie odpowiedziała od razu. Moja odzywka była głupia. Darliśmy koty od trzech dni, prawie się do siebie nie odzywaliśmy. Zresztą nie po raz pierwszy.

– Po prostu mam naprawdę po dziurki w nosie twoich ciągłych fochów – powiedziała.

Prychnąłem.

– Mówisz tak cały czas. To bzdura. – Nerwy mi puściły. – To wymówka. Robisz, co ci się żywnie podoba. Ja się wkurzam, a wtedy ty mówisz, że mam fochy.

– Bez przerwy jesteś na mnie wściekły, Simon. Czasami pracuję do późna. Przecież wiesz.

– Nie obchodzi mnie, do której pracujesz. Nie podoba mi się tylko, kiedy mówisz, że wrócisz o określonej godzinie, a potem spóźniasz się o trzy godziny, zupełnie bez uprzedzenia.

– Miałam zebranie z Frankiem. Co niby miałam zrobić? Powiedzieć: „Hej, szefie, tylko chwila, muszę zadzwonić do stęsknionego mężunia”?

Twarz mnie zapiekła.

– No ładnie.

– Chodzi mi tylko o to, że nie zawsze mogę się z tobą skontaktować.

– Napisanie esemesa trwa parę sekund – odparłem lodowatym tonem.

– Zapomniałeś, jak to jest pracować w biurze.

Od paru miesięcy brakowało mi zleceń. Mój największy klient nie odzywał się od pół roku. Uznałem jej słowa za celowy afront i natychmiast się rozłączyłem. Rzuciłem telefon na kanapę i pobiegłem na górę, ignorując stłumiony brzęk dzwonka.

*

– Tatusiu – jęknęła Laney. – Kiedy skończy się mecz?

Spuściłem na nią wzrok. Siedziała w trawie tuż za boczną linią boiska do futbolu flagowego, a przed nią leżała do góry nogami otwarta książka. Zamrugła swoimi wielkimi zielonymi oczami i pomyślałem, że naprawdę uroczo wygląda w kucykach i spodenkach od dresu. Biorąc pod uwagę, że miała na sobie koszulkę piłkarską, wcale się nie dziwiłem, że nie tylko mamy (przynajmniej te z córkami) potrzęsają głowami i cmokają językiem z dezaprobatą. Wszyscy uważali, że marnują Laney, pozwalając jej tak się ubierać. Chociaż w duchu sam się tym przejmowałem, nie chciałem jednak nic zmienić. Podobała mi się taka. Dzięki niej częściej się uśmiechałem.

– Niedługo, kochanie – powiedziałem, mierzwiąc jej włosy.

Spojrzałem w stronę boiska. Jake, potężny jak na swój wiek, ale nie gruby – po prostu porządny, krzepki „czarny Irlandczyk”, podał piłkę do Maksa. Syn Jen

prezentował się jak urodzony rozgrywający: cofnął się trochę i z ramieniem gotowym do rzutu omiół wzrokiem boisko. Dwaj chłopcy w ataku nie dorównywali mu jednak umiejętnościami. Jeden podrygiwał komicznie z chorągiewką powiewającą przy biodrach, gdy bezskutecznie próbował uciec kryjącemu go obrońcy. Drugi biegł dobrym torem, ale nie oglądał się za siebie, więc nie wiedział, gdzie jest piłka.

Przede wszystkim jednak obserwowałem Jake'a. Sprawnie zablokował jednego z bocznych zawodników drużyny przeciwnej. Dwaj pozostali przedarli się jednak przez naszą linię obrony. Max, wykazując moim zdaniem niesamowitą umiejętność czytania gry, ruszył do przodu. Pobiegł sprintem w głąb pola, a Jake potruchtał za nim.

– Dawaj, Max! – zawołałem.

– Chcę do domu – odezwała się Laney.

Obrońca zerwał Maksowi chorągiewkę w połowie drogi do linii końcowej.

– Niezła akcja! – Odwróciłem się do Laney. – Musimy jeszcze zostać. Mama nie wróciła do domu.

– Mamy nigdy nie ma w domu – poskarżyła się.

Zastanowiłem się nad swoją reakcją i uświadomiłem sobie, że nie powinienem być tego mówić. Kiepsko to rozegrałem. Czułem się teraz jak rozgoryczony rozwodnik.

– Już niedługo. Mecz się prawie skończył. Chcesz się pobawić moim telefonem?

Rozchmurzyła się.

– Tak!

Dałem jej swojego nowego iPhone'a i zaczęła klepać w niego z biegłością profesjonalistki. Przyglądałem się jej chwilę zafascynowany tym, jak dobrze radzą sobie z elektroniką dzisiejsze dzieciaki.

– Nieźle wyglądają.

Odwróciłem się i zobaczyłem Jen, całą w uśmiechach. Uwielbiała patrzeć, jak Max gra w futbol. Lubiąca sport mama była ubrana w bluzę na suwak, legginsy i drogie buty do biegania.

– Cześć – przywitałem ją. – Jak Jeff Saturday i Manning, co?

Roześmiała się z porównania naszych synów do graczy Indianapolis Colts.

– Manning to nie. Nigdy nie umiał przedrzeć się do przodu.

Uśmiechnąłem się.

– Co prawda, to prawda.

Staliśmy obok siebie i obserwowaliśmy grę. Inni rodzice przyglądali się meczowi nie mniej uważnie niż my, ale rzadko, jeśli kiedykolwiek, z nimi rozmawiałem. Poza tym trudno mi było spamiętać, który dzieciak jest czyj. Jen i ja przerzucaliśmy się komentarzami o grze przez resztę meczu. Podzieliła się ze mną

kaśliwą uwagą o sędzi, który na meczu futbolu flagowego dziesięciolatków zjawił się w pełnym stroju, w koszulce w paski i białych spodenkach.

– Ma nadzieję, że dostanie powołanie na mecz gimnazjalistów. Duży awans, sam rozumiesz.

Roześmiała się. Mimo woli jeszcze raz na nią spojrzałem. Brzmienie jej autentycznie rozbawionego głosu rozgrzewało mnie od środka. I wcale nie ckiwie. Rzeczywiście czułem to ciepło. Popatrzyła mi w oczy i uśmiechnęła się szerzej. Nagle zrobiło mi się nieswojo i musiałem odwrócić wzrok. Myśli zmaćła mi bezceremonialna refleksja. Przed narodzinami dzieci rozmawiałem tak z Rachel.

– W co grasz? – Jen zapytała Laney.

– W *Cut the Rope* – odpowiedziała Laney, nie odrywając wzroku od ekranu.

– Fajnie. Max też ją lubi.

Bardzo oficjalny sędzia odgwizdał koniec meczu.

– Wiesz chociaż, jaki był wynik? – spytała Jen.

Wzruszyłem ramionami.

– Zawsze jest remis, nie?

– To było w zeszłym roku. Nie jesteś na bieżąco – zakpiła.

Roześmiałem się znowu, właśnie gdy Max i Jake do nas podbiegli. Max rzucił się mamie w objęcia. Uznałem, że to fajne: gwiazda boiska tuli się do mamy przy świadkach – dobry chłopak.

– Czy Jake może do nas przyjść? – spytał mamę.

Jen popatrzyła na mnie, wzruszając ramionami.

– Jasne, jeśli nie masz nic przeciwko.

Jake pociągnął mnie za rękaw. Schyliłem się, a on szepnął mi na ucho, z całą powagą małego dziecka:

– Miałem pójść do Douga, pamiętasz?

O, w mordę. Może i pamiętałem. Może po prostu nie chciałem, żeby Jake szedł w odwiedziny akurat do Douga. Odkąd rozpoczął się nowy rok szkolny, spędzał z małym Martinem-Kleinem dużo czasu. Zerknąłem na Maksa, zastanawiając się, czy to zauważył. Prawdopodobnie przypisywałem mu własne odczucia, ale wszystko potoczyło się tak szybko.

– Nie przejmuj się – odszepnąłem. – Idź pobawić się z Makssem.

Widziałem, że Jake poważnie się nad tym zastanawia. Nie spieszył się, minę miał bardzo zamyśloną.

– Nie chcę Dougowi sprawić przykrości.

– Chyba nie umawialiście się na mur-beton – zauważyłem.

Właściwie nie dopuściłem się kłamstwa. Chłopcy rozmawiali o tym, żeby się spotkać, ale rodzice nie. Uznałem, że tylko tak sobie gadali, a więc palcem na wodzie pisane, jak to się mówi.

Przycisnąłem Jake'a jeszcze trochę. Dał za wygraną. Z uśmiechem, który

moim zdaniem świadczył, że i tak woli się pobawić z Makssem, pobiegł razem z nim do samochodu.

– O której po niego przyjechać? – spytałem.

Jen wzruszyła ramionami.

– Koło piątej.

– Dobra. To do zobaczenia.

– Pa.

Jen odeszła. Byłem z siebie zadowolony: czułem, że poprowadziłem syna we właściwym kierunku, w każdym razie na dłuższą metę. Popatrzyłem na oddalającą się Jen. Wyglądała świetnie w legginsach i poruszała się z gracją sportswomenki. Fajnie się z nią gadało.

Moje myśli powędrowały tam, gdzie wędrują myśli większości mężczyzn. Fantazje, które przychodziły mi do głowy, były niejasne i niepełne, ale podniecające. To, co robiliśmy ze sobą, układało się w serię oderwanych scenariuszy, stanowiących warianty chwil spędzonych przeze mnie w przeszłości z tą czy inną kobietą. Były wśród nich rozchełstane ubranie, rozmaite stadia negliżu i akty śmiałości, które znajdowały przyzwolenie.

Drobna rączka pociągnęła mnie za palec. Spojrzałem na Laney, patrzyła na mnie z dołu. Była tak podobna do matki, że aż drgnąłem. Wydęła wargi, a moją duszę zalały palące wyrzuty sumienia.

– Chodź, kochanie. Pojedziemy na lody.

ROZDZIAŁ 16

DZIEŃ DRUGI

Gram epizodyczną rolę w odcinku popularnego serialu o gliniarzach, emitowanego w czasie największej oglądalności. Przechodzę przez wszystkie etapy – pobranie odcisków palców, zdjęcie, przeszukanie, konfiskata mienia – a potem czekam. Policja rekwiruje samochód Rachel. Prowadzą mnie do aresztu, po drodze mijam na wpół ubraną kobietę, siedzi na ławce, dłubie sobie przy paznokciach i przeklina nie wiadomo kogo. Widzę bezdomnego mężczyznę, którego rozpoznaję, cuchnie moczem i roztopionymi cukierkami. Mamrocze coś do siebie. Funkcjonariusz policji – ten mundurowy przyjął mnie na posterunku – nijaki facet, którego wolałbym zapomnieć, przykuwa mnie kajdankami do ławki naprzeciwko śmierdzącego bezdomnego. Mam to gdzieś. Policjant odchodzi. Siedzę tam chyba z godzinę.

Pęcherz mi pęka. Potrzeba wysikania się przenika we mnie wszystko oprócz woli walki. Inaczej niż inni, nie proszę o skorzystanie z toalety. Zamiast tego granicząca z bólem niewygoda dodaje mi energii. Pomału wyostrza moje zmysły. Dryfuję ku rzeczywistości, centymetr po centymetrze przybliżam się do cierpienia, które straciło mnie w otchłań zapomnienia. Wiem, że już nigdy nie będę taki sam. Coś we mnie pękło. Ale nie zamierzam się poddać.

Jestem w pułapce, niedługo trafię za kraty. Mimo to racjonalnie myśląca część umysłu, część, która zdaje się działać bez zarzutu pomimo rozszalałych emocji, opracowuje plan, rozpisany na kolejne etapy. Po pierwsze, zostanę zwolniony za kaucją. Po drugie, odzyskam jeden z naszych samochodów. Po trzecie, znajdę Maksa i z nim porozmawiam. Po czwarte, pojedę do domu Martinów-Kleinów. Może wrócę na teren szkoły albo zatrudnię prywatnego detektywa.

Na krótką chwilę mój umysł się rozjaśnia. Pytam sam siebie, na czym opieram swój plan. Zastanawiam się, skąd czerpię wiedzę na temat tego rodzaju sytuacji. Z filmów? Z telewizji? Z powieści kryminalnych? Tam zawsze pełno było dramatycznych zwrotów akcji, porażających odkryć, wyborów, od których zależy życie lub śmierć. Ale ta sprawa toczy się inaczej. Rządzą nami okoliczności. Miota nami bezrozumna siła, pchając nas to tu, to tam. Muszę się jej przeciwstawić, muszę się wyrwać spod władzy systemu, przejąć inicjatywę. Tylko wtedy mogę liczyć, że odnajdę syna. Nie poddam się, nie ulegnę.

Jednocześnie ogarnia mnie strach. Boję się wszelkich prawdziwych wiadomości, ponieważ nie wyobrażam sobie, by któraś z nich mogła być dobra.

Boję się znaleźć syna, bo mój umysł dostrzega tylko dwa prawdopodobne scenariusze: albo zabił, albo został zabity. Gdy tylko wszystkiego się dowiemy, jedna z tych możliwości stanie się rzeczywista. Na najbardziej pierwotnym, instynktownym poziomie nie mogę na to pozwolić.

Kiedy znowu otwieram oczy, widzę rzeczywistość. Zostałem zatrzymany. Poprzez zamazane, niewyraźne obrazy przypominam sobie zarzut: matactwo. Oskarżenie nie ma dla mnie sensu, ale to nie szkodzi. Jeśli ktoś zechce ze mną porozmawiać, nie zamierzam się płaszczyć. Dowiem się, co takiego zrobili, żeby znaleźć mojego syna. Nie ugnę się przed lękiem. Jestem winien swojemu synowi przynajmniej tyle.

Nie muszę czekać zbyt długo. Do aresztu wkracza detektyw. Kobieta, wychudzona pięćdziesięcioparolatka w czerwonej sukience i z przekrzywioną peruką, rozkłada nogi. Odwracam wzrok.

– Chcielibyśmy zadać panu kilka pytań – stwierdza obojętnym tonem policjant.

– Chcę najpierw zadzwonić.

Prowadzi mnie do aparatu przytwierdzonego do ściany, który wygląda jak połówka budki telefonicznej. Oddala się ode mnie na trzy metry. Dzwonię do Rachel.

– Gdzie jesteś? – pyta.

– Aresztowali mnie.

– Co?

Próbuję jej wyjaśnić, ale to, co zrobiłem, wydaje się absurdalne. Kiedy kończę swoją opowieść, Rachel milczy przez dłuższą chwilę.

– Jest tam Jonathan? – pyta.

– Nie.

– A przyjeżdża?

– Nie – mówię, bojąc się, że gdybym powiedział „tak”, zezłościłaby się na mnie jeszcze bardziej.

– Nic nie mów. Jadę do ciebie.

Słyszę, co do mnie mówi, ale tego nie robię. Potulnie, bez słowa idę za detektywem. Nie przejmuję się ich pytaniami. Zależy mi na odpowiedziach.

Śledczy prowadzi mnie do klitki ze stołem i dwoma krzesłami. Prycham pod nosem, kiedy widzę „lustro” na ścianie. Kto się jeszcze na to nabiera?

– Proszę siadać – mówi detektyw, tak jakby wygłaszał wyćwiczoną kwestię. Zwłaszcza w porównaniu z monotonią jego poprzednich wypowiedzi.

– Okay.

Siadam.

– Wie pan, czemu pan tu jest?

Uśmiecham się.

- Ponieważ oskarżyliście mnie o matactwo.
- Wie pan dlaczego? – Jego głos staje się bardziej naturalny.
- Może mi pan powie – proponuję.

Detektyw sięga do pudełka leżącego na ziemi, którego wcześniej nie zauważyłem. Wyciąga z niego dużą torebkę. Przez przezroczystą folię widać lalkę, znaną przeze mnie w lesie. Łypie na mnie swoim jedynym okiem. Ręce i nogi ma powyginane pod nienaturalnymi kątami. Patrzę prosto na nią.

- Znaleźliście ją, co? A co zrobiliście, żeby znaleźć mojego syna?

Detektyw upuszcza lalkę na stół.

– Pański syn jest podejrzany o wielokrotne zabójstwo. W tej chwili naszym priorytetem jest zapewnienie bezpieczeństwa obywatelom. Rozumiemy także, że usiłował pan dzisiaj dokonać napaści na reportera.

Rzeczywiście, ale ignoruję ten komentarz.

– Nie macie zielonego pojęcia, gdzie jest mój syn, prawda? Rozmawialiście z kimś? W ogóle się nad tym zastanawialiście?

Dygoczę na całym ciele. Mam ochotę rzucić się na detektywa. Nie jestem agresywnym typem, tak naprawdę ostatni raz biłem się w piątej klasie, ale korci mnie, żeby temu facetowi przywalić.

– Proszę mi wierzyć, znajdziemy pańskiego syna, zanim jeszcze komuś zrobi krzywdę.

Uśmiecham się.

- Nie powinien był pan tego mówić.

Detektyw blednie. Wygląda to dosyć zabawnie u mężczyzny jego postury i temperamentu. Rozumie, dlaczego to powiedziałem. Rozmowa jest na pewno nagrywana. Jeśli dojdzie do procesu sądowego, czy to karnego, czy cywilnego, wszelkie oznaki uprzedzenia ze strony policji zostaną wykorzystane. Mając żonę prawniczkę, człowiek siłą rzeczy dowiadyuje się tego i owego.

- Od jak dawna pański syn planował swój zabójczy atak? – pyta gliniarz.

Zanim mogę odpowiedzieć, otwierają się drzwi. Do pomieszczenia wkracza Jonathan, współnik mojego ojca. Sprawia wrażenie, jakby wchodził do własnego gabinetu.

- Miło cię widzieć, Simon – mówi. Odwraca się i spogląda na detektywa.

– Mogę prosić o krzesło?

W drzwiach pojawia się policjant w mundurze, który daje detektywowi znak do wyjścia. Na opuszczonym przez niego krześle sadowi się zaprzyjaźniony prawnik mojego ojca. Jego zblazowany wyraz twarzy natychmiast znika. Jonathan patrzy na mnie z uwagą.

- Jak się tu znalazłeś? – pytam.
- Wynająłem samochód.
- Nie, poważnie. Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

– Z nasłuchu kanału policyjnego.

– Podsluchujesz policjantów?

Roześmiał się.

– Mam od tego ludzi. Co powiedziałaś policji?

– Nic – zapewniam.

– Coś im jednak powiedziałaś. Co? Opowiedz dokładnie.

Staram się odtworzyć wszystko słowo w słowo. Szczególnie interesuje go lalka. Ale uśmiecha się, gdy mówię mu, co detektyw powiedział o Jake’u i jak na to zareagowałem.

– Zbiłeś go z tropu, co? – Śmieje się. – Stanowczo masz w sobie coś ze swojego ojca, synu.

Staram się nie zwracać uwagi na fakt, że mam ponad czterdzieści lat i ktoś mówi do mnie „synu”.

– Dowiedziałeś się czegoś o Jake’u?

Wiem, że Jonathan musiał dopiero co przyjechać do miasta, ale facet jest dobry. Bardzo, bardzo dobry.

– Pracownicy mojej kancelarii trochę poszperali. Policja zabezpieczyła w waszym domu parę dowodów o charakterze poszlakowym. Brutalne rysunki. Opowiadanie, które Jake rzekomo napisał o bójce, jaka wywiązała się po meczu futbolowym. Jest tam coś o chłopaku, któremu pękła czaszka. Znaleźli również jego telefon komórkowy i przeszukują zawartość.

– Nie – szepczę.

– Co?

Nie mówię Jonathanowi. Natychmiast ogarnia mnie paląca złość podsycana bezrozumnym wstydem. Wyobrażam sobie, jak ci obcy ludzie siedzą sobie w biurze, słyszą, że dzwoni telefon, i zerkają na mój numer na ekranie – i tak raz za razem. Wyobrażam sobie, jak odsłuchują wiadomości, które nagrałem dla syna na pocztę głosowej, szorstkie słowa wylewały mi się z ust w szalonej rozpaczy. Mógłbym teraz kogoś zabić.

Gniew jednak szybko mija. Zastępuje go odrętwiająca beznadzieja. Wiadomość, że syn w ogóle nie miał komórki przy sobie, obraca w gruzy nadzieję, że Jake odebrał, kiedy pierwszy raz do niego zadzwoniłem. Teraz wiem, że to był tylko jakiś gliniarz. Chyba nie zdawałem sobie sprawy, jak to było dla mnie ważne, ponieważ teraz mam w środku ziejącą pustkę.

Wyobrażam sobie Jake’a dziś rano: odkłada telefon na biurko, bierze parę skarpetek i wychodzi bez niego.

– Zawsze go zapominał – szepczę, czując, jak pieką mnie oczy.

– Dobrze się czujesz? – pyta Jonathan.

Ignoruję pytanie. Mam dość poczucia bezsilności.

– Słuchaj, trzeba ich zmusić, żeby zaczęli go wreszcie szukać. Dlaczego są

tacy pewni, że to zrobił?

– Bo jeden dzieciak zeznał, że Jake wyszedł ze szkoły, żeby poszukać Douga. Poza tym cieć twierdzi, że widział, jak dwóch chłopaków z bronią weszło do szkoły drzwiami przy sali gimnastycznej chwilę przed strzelaniną. Chodzi też o coś związanego z jedną z ofiar, Alekssem Rainesem, ale policja nie chce zdradzić szczegółów.

Mówię Jonathanowi to, co wiem. Nie brzmi najlepiej. Jonathan kiwa głową, a potem zmienia temat.

– Zgoda. Musimy doprowadzić do tego, żeby nareszcie znaleźli Jake’a. Teraz tylko to się liczy.

– Jak? – pytam.

– Trudna sprawa. Nie możemy pójść do telewizji i zaapelować o jego powrót. Bo teraz opinia publiczna nie myśli, że Jake jest sprawcą. – Jonathan spogląda mi prosto w oczy. – Ona to wie.

– Ale oni go nie znają!

Kręci głową.

– Wiedzą, co widzieli w telewizji.

Przerywamy rozmowę, bo do pokoju ponownie wchodzi detektyw. Pod pachą niesie krzesło. Jonathan wstaje, bierze je i stawia obok mnie. Znowu wszyscy siadamy – zaczyna się konfrontacja. Jestem zbyt oszołomiony, żeby się odezwać.

– Jakie są zarzuty? – pyta Jonathan.

– Matactwo – odpowiada śledczy.

– Więc postanowiliście oskarżyć Jake’a Connolly’ego o zbrodnię?

Detektyw mruga.

– Na razie nie.

– W takim razie na czym niby ma polegać to matactwo? Skoro nie ma zbrodni, przy której można by mataczyć.

– Chodzi o mataczenie w śledztwie dotyczącym dzisiejszej strzelaniny w szkole. Tej, w której zginęło trzynaścioro dzieci.

– A ta lalka – Jonathan szturcha ją wypielęgnowanym palcem – miała z tą strzelaniną coś wspólnego?

– Jeszcze nie wiemy. Właśnie usiłujemy się tego dowiedzieć.

– Gdzie znaleźliście lalkę? – pyta Jonathan.

– W samochodzie pani Connolly. Pański klient go prowadził.

– Czy funkcjonariusz, który ją znalazł, miał prawo dokonać przeszukania pojazdu? Jak powziął przypuszczenie, które uzasadniałoby podjęcie takiej czynności? Czy mój klient został zatrzymany w trakcie jazdy? Jak właściwie do tego doszło?

Detektyw wstaje i znowu wychodzi. Po chwili wraca.

– Może pan iść – oznajmia, oddając mi moje rzeczy.
– Ale przedstawiliście mu zarzuty – mówi Jonathan, unosząc brew. – Nie możecie tak po prostu go puścić.

– Właściwie nie dopełniliśmy jeszcze wszystkich formalności – burczy pod nosem policjant.

Wyprowadzają nas z posterunku. Ja trzymam w garści kopertę z moimi rzeczami, a Jonathan uśmiecha się jak Kot z Cheshire, a może jak kot, który połknął kanarka – sam nie wiem.

– Przed chwilą usiłowałeś ich przekonać, żeby przetrzymali mnie w areszcie dłużej?

– Drażniłem się z nimi. Ale co ty sobie w ogóle myślałeś? Skąd wytrzasnąłeś tę lalkę? Wyszedełłeś tylko dlatego, że nie mają pojęcia, skąd się wzięła. W ogóle nie zamierzali przedstawić ci zarzutów. Chcieli wyciągnąć od ciebie informacje.

– Znalazłem ją...

– Ciii – upomina mnie szeptem. – Nie chcę tego wiedzieć. Nie teraz. Musimy się zabrać do pracy.

– Znaleźć Jake'a?

Spogląda mi w oczy. Widzę tam płomyk smutku. Zaskakuje mnie tym.

– Tak... a także przygotować się na najgorsze, Simon.

Wkurza mnie.

– Na najgorsze? Jak może być jeszcze gorzej? Nie mówisz poważnie!

Jonathan klepie mnie po ramieniu.

– Porozmawiamy później. Najpierw zabierzmy cię stąd wreszcie.

Na jedną, dwie sekundy zamykam oczy, staram się zwalczyć ściskający szczękę napad lęku, który napina mi mięśnie. Nie mogę oddychać ani przełykać śliny. Czuję się tak, jakby moje ciało zostało sparaliżowane i trzęsło się jednocześnie w drgawkach padaczki.

Kiedy unoszę powieki, widzę Rachel. Idzie prosto na posterunek, jest tuż przed nami, zmęczona i zdyszana. Spozrzega najpierw mnie. Unosi brwi. I wtedy widzi Jonathana.

– Co, do licha...

Jonathan wyciąga dłoń.

– Witaj, Rachel.

Jej uwaga skupia się wyłącznie na mnie. Rachel ignoruje wyciągniętą rękę i bierze się pod boki. Znam tę postawę.

– Powiedziałaś, że go tu nie ma.

– Bo nie było – mówię. – Dopiero co się zjawił. Nie miałem pojęcia. Ale pomógł mi wyjść.

Rachel kręci głową.

– Ach tak, pomógł ci? Wiesz, że zostawiłam naszą córkę samą, żeby tu

przyjechać. Dzięki, że dałeś mi znać, że wszystko jest pod kontrolą.

– Rach, dopiero co mnie zwolnili.

Zdaje się, że przyjęła moje wyjaśnienie do wiadomości, ale odwróciła się na pięcie i odeszła.

ROZDZIAŁ 17

JAKE: WIEK JEDENAŚCIE LAT

W ciągu dziesięciu miesięcy odbierałem Jake'a z domu Douga na pewno za często. Za każdym razem irytowałem się coraz bardziej. Nie porozmawiałem jeszcze z chłopakiem – ani z jego matką, skoro już o to chodzi – przez cały czas, odkąd się kolegowali. Szczerze mówiąc, jego ojciec po prostu grał mi na nerwach. Próbowałem wypytywać Jake'a, starając się subtelnie wydobyć od niego informacje o Dougu i jego rodzinie, ale mój syn nie powiedział mi właściwie nic. Nie dlatego, że unikał odpowiedzi. Myślę, że po prostu był za mały, by dostrzec to, co mnie akurat interesowało.

Wsiadł do samochodu pełen entuzjazmu.

– Hej, tato.

– Cześć, chłopie. – Spojrzałem na niego przez ramię. – Jak leci?

– Super – zaczął, a potem tama puściła. – Doug ma taki karabin Airsoft i strzelaliśmy z niego do sępików przy stawie.

– Ha! – powiedziałem, podnosząc głos. – Strzelaliście z karabinu Airsoft. Czy to nie jest wiatrówka?

– Nie, strzela się z niego kulkami.

– No to tak jak w wiatrówkach.

– Nie, tato.

Wtedy przypadkiem się na niego wydarłem:

– Owszem, synu, tak jak w wiatrówkach!

Po tym wybuchu zaległa cisza. Spojrzałem w lusterko wsteczne, Jake wyglądał przez okno. Moje palce zacisnęły się mocniej na kierownicy. Chciałem przywołać nastrój entuzjazmu, jaki przebijał z jego pierwszych słów, ale nie umiałem: pomysły, które przebiegały mi przez głowę, znikwały, zanim zdążyły się zagnieździć. Po omacku szukałem czegoś do powiedzenia. Niestety, enigmatyczność dziesięcioletniego chłopca jest legendarna i niczego nie udało mi się znaleźć. Cisza rozprzestrzeniała się, wypełniając pustkę między nami.

Kiedy dotarliśmy do domu, Jake wysiadł z wozu i ruszył do środka. Poszedłem za nim, starając się wyczytać coś z jego mowy ciała. Krok miał tak samo pewny i sprężysty jak zwykle. Gdy witał się z matką, jego głos również brzmiał tak, jakby nic się nie stało.

Usiadłem na kanapie. To, co się wydarzyło, ciążyło mi prawdopodobnie bardziej, niż powinno było. Zastanawiałem się, czy Jake w ogóle coś z tego zapamięta. W swoich oczach skrzywiłem go jednak na zawsze, zaprzepaściłem

jego szanse na normalne życie w społeczeństwie. Kiedy się do mnie zwrócił, był taki szczęśliwy, a ja podarłem to szczęście na strzępy tylko dlatego, że nie lubiłem jego kolegi. Czułem się jak gimnazjalista znęcający się nad młodszymi dziećmi albo grupa przemądrzałych, złośliwych licealistek w szkolnej stołówce. Tak jak zwykle zacząłem porównywać to, co spotyka Jake'a, z własnym dzieciństwem. Ułożyłem w głowie listę swoich kumpli z podstawówki. Frankie, którego rodzice się rozwiedli, groził nożem jakiemuś dzieciakowi w parku, żeby zabrać mu kieszonkowe, i został oskarżony, o dziwo, o porwanie. Inny kolega, Greg, pociął mnie w autobusie żyłką, a potem przeżył straszny wypadek samochodowy, po którym został kaleką. Bliźniaki Stewartowie wznieśli pożar w lasku za naszym osiedlem, a teraz jako producenci oprogramowania kosili grubą kasę na Zachodzie, pławiąc się w słońcu i luksusie wraz z atrakcyjnymi żonami i niewiarygodnie wysportowanymi dziećmi.

Rachel przyłapała mnie na tych rozterkach. Weszła do pokoju telewizyjnego i pokręciła głową.

– Co się tak zamysliłeś?

– Nie podoba mi się ten cały Doug – powiedziałem, chociaż tak naprawdę dręczyło mnie coś więcej. – Mam wrażenie, że powinniśmy trzymać Jake'a od niego z daleka. Jake potrzebuje innych kolegów... bardziej normalnych.

Usiadła obok mnie.

– Słuchaj, mnie też ten chłopak się nie podoba. Ale zapominasz, że Jake jest niesamowitym dzieckiem, które naprawdę ma świetnie poukładane w głowie. Ufam mu.

– Tak, ale nie bawi się nawet z synem Karen. Odmawia bez względu na to, jak bardzo staram się go zachęcić. Jest czasem taki nieśmiały. A co, jeśli zostanie w życiu zupełnie sam? Ja...

– Przestań.

Popatrzyłem na nią. Spojrzała mi prosto w oczy.

– Wiem, znowu nadmiernie się przejmuję – burknąłem. – Postaram się zachowywać bardziej po męsku.

– Może powinieneś.

– A może ty powinnaś... – Powstrzymałem się i prychnąłem. Kiedy kontynuowałem, mój głos był spokojny, prawdopodobnie lodowaty. – Wiem, że mamy problemy. Właściwie nasze problemy to teraz norma. Tak jakby to, co dobre między nami, stawało się wyjątkiem potwierdzającym regułę.

– Nie mogę się nie zgodzić – odparła, po czym wstała i wyszła z pokoju.

Nie obejrzała się nawet przez ramię. Słuchałem jej kroków, gdy wchodziła po schodach. Wkrótce korytarzami rozniósł się śmiech – syna, córki i żony. Pozostałem na kanapie.

Mógłbym pójść na górę. Chętnie podzieliliby się ze mną swoją radością.

Jednocześnie mógłbym załagodzić scysję z Rachel. Mógłbym nawet zastanawiać się nad tym wszystkim, siedząc razem z resztą rodziny. A jednak wieczór, czy mi się to podobało, czy nie, przebiegł zupełnie inaczej – tak, jakby ktoś inny pisał nasz scenariusz, ktoś, kogo nawet niespecjalnie lubiłem.

*

Grupka rodziców siedziała w sali gimnastycznej, patrząc, co dzieje się na prowizorycznej scenie w głębi. Jake ze swoim przyjacielem, Maksem, i mniej więcej setką innych czwarto- i piątoklasistów brali udział w kwalifikacjach do corocznego występu talentów. Nie musiałem tam być. Mnóstwa rodziców zabrakło. Ale naprawdę chciałem zobaczyć, jak chłopcy występują.

Kiedy nadeszła ich kolej i wkroczyli na scenę, przesunąłem się na sam brzeg siedziska. Obaj mieli na sobie czarne garnitury, w jakie chłopcy w ich wieku mogliby się wystroić na czyjś ślub, a do tego ciemne okulary w grubych czarnych oprawkach. W rękach trzymali zabawkowe gitary, które Jake i Laney dostali na gwiazdkę parę lat wcześniej. Stanęli na środku sceny. Kiedy z głośników rozległa się piosenka z czołówki *Rawhide*, zaczęli udawać, że śpiewają i grają na gitarach. W połowie utworu dał się słyszeć zgrzyt i muzyka ucichła. Chłopcy popatrzyli po sobie ze zdziwieniem. Nagle z głośników popłynęła piosenka *Pocketful of Sunshine* Natashy Bedingfield. Jake i Max odłożyli gitary i zaczęli tańczyć jak Kapuściane Dzieci. Szczerze mówiąc, występ stracił wtedy dramaturgię i chłopcy po prostu się wygłupiali. Słyszałem, jak inni uczniowie za kulisami i na widowni śmiali się i wołali. Nauczyciele jednak nie załapali chyba komicznego zestawienia sceny z baru country w *Blues Brothers* ze współczesnym fenomenem kultury popularnej.

Ja z kolei starałem się nie śmiać. Chociaż może to zabrzmieć niewiarygodnie, nie miałem z wymyślaniem ich występu nic wspólnego. Właściwie nie miałem pojęcia, skąd wzięli ten pomysł. Ich inwencja zrobiła na mnie jednak ogromne wrażenie. To, czy zakwalifikują się do występu, czy nie, nie miało najmniejszego znaczenia.

Kiedy skończyli, wyszedłem z sali i czekałem na nich na korytarzu. Stałem tam i obejrzałem najpierw plakat przeciwko znęcaniu się nad słabszymi uczniami, przeczytałem surowe przepisy szkolne dotyczące wstępu na teren placówki i się zamyśliłem. Zerknąłem w stronę parkingu i zobaczyłem sznurek wchodzących i wychodzących rodziców, którzy odbierali swoje pociechy z zajęć pozalekcyjnych. Wraz ze zmianą w podejściu do wychowania dzieci, jaka zaszła w moim pokoleniu, zwykłą zabawę zastąpiła nadmierna organizacja. Szkoła oferowała zajęcia w klubie lekkoatletycznym, klubie szachowym, klubie lego, dziewczęcej drużynie skautów, chłopięcej drużynie skautów, gry zespołowe, zajęcia w kółku aktorskim i dodatkowe lekcje z języków obcych.

Patrząc na rój rodziców odbierających swoje dzieci z „ula”, zastanawiałem

się, jak do tego wszystkiego doszło. Wróciłem pamięcią do czasów, kiedy sam uczyłem się w podstawówce. Matka, która była nauczycielką, podjęła pracę na nowo, a ja rano trafiałem do domu sąsiadów, gdzie czekałem na szkolny autobus. Sąsiedzi sadzali mnie przed telewizorem, ale nie nauczyli mnie zmieniać kanałów. Zamiast *Toma i Jerry'ego* lub *Zwariowanych melodii* oglądałem co rano program *Today*. Wyraźnie pamiętam dni okupacji ambasady amerykańskiej w Teheranie. Z pomocą telewizji śledziłem poszukiwania seryjnego mordercy z Atlanty, Wayne'a Williamsa. I co najważniejsze, historię Adama Walsha, którą żył wtedy cały kraj.

Pamiętam, że pierwszy raz usłyszałem o tej sprawie gdzieś w okolicach dziesiątych urodzin. Adam Walsh, parę lat młodszy ode mnie, zaginął. Wciąż były wakacje, więc docierały do mnie tylko strzępy informacji, ale pamiętam prawie natychmiastową zmianę w zachowaniu swoich rodziców. Mama nie pozwalała mi już szwendać się po sklepach, kiedy byliśmy razem na zakupach. Ojciec przyglądał się każdemu dziwnie wyglądającemu mężczyźnie w pobliżu, co sam, jako człowiek grzeczny i łagodny, uznałby wcześniej za przejaw braku dobrych manier. Były to drobne zmiany, nic drastycznego. Wszystkie dzieci wciąż wałęsały się po osiedlu. Chodziłem na basen ze swoją starszą siostrą. Po paru dniach w ogóle zacząłem cokolwiek zauważać.

A potem znowu rozpoczęła się szkoła. I znowu co rano siedziałem przed telewizorem i oglądałem wiadomości. Okropne szczegóły tej sprawy, powtarzane na okrągło, utkwiły mi w świadomości. Chłopcu obcięto głowę (po śmierci, zapewnił nas prowadzący). Pamiętam, jak w pewnym momencie mówiło się o kanibalizmie. Wstrząsające rewelacje, ale widziane całkiem inaczej oczami dziesięcioletniego dziecka.

Przez kolejne miesiące, może nawet lata, media karmiły się tą historią jak zgraja sępów. Adam został bez opieki, kiedy przystanął, by popatrzeć, jak inni chłopcy grają na automatach w sklepie Sears, podczas gdy jego mama robiła dalej zakupy parę alejek dalej. Chociaż okazało się, że pracownik ochrony kazał się chłopcom rozejść, wyrzucając ich ze sklepu, uważam, że te sześć minut zmieniło świat. Myśl, że można stracić dziec-ko tak szybko, wryła się w umysły rodziców niczym niezabliźniona rana. Rana, która w przeciwieństwie do ran cielesnych, nigdy się nie goiła. Jątrzyła się tylko i ziała pustką.

Uprowadzenia zdarzały się oczywiście i przed Adamem Walshem. Nie ma co do tego wątpliwości. Ale żadna wcześniejsza sprawa nie zyskała takiego rozgłosu, o żadnej tak często nie mówiono w telewizji, żadnej nie analizowano w jej wszystkich makabrycznych szczegółach. Ja w każdym razie o innej takiej sprawie przedtem nie słyszałem. Ale otworzyła drzwi różnego rodzaju sensacjom, pojawiającym się najpierw co miesiąc, potem co tydzień, a wreszcie codziennie, historiom uprowadzeń, tortur, gwałtów, bicia, głodzenia, nawet kanibalizmu.

Ponury margines ludzkości, milcząca do tej pory mniejszość, zmienił się z biegiem lat w dysponującą silnym głosem większość, jeśli chodzi o czas poświęcany jej w mediach. Niepojęte i niewyobrażalne wcześniej koszmary prześladowały teraz zarówno rodziców, jak i dzieci co dnia. Rodzice przyjmowali te straszne nowiny do wiadomości, ale ich życie toczyło się dalej. Dzieci za to wyrosły na rodziców, rodziców z bładą, poszarpaną blizną w psychice, a blizna ta zmieniła styl rodzicielstwa na zawsze. Wystarczy spuścić dziecko z oczu na sześć minut. Przypuszczam, że ta świadomość stała się gwoździem do trumny dziecięcej swobody, sprawiając, że dzwonek na kolację został zastąpiony ścisłą organizacją czasu wolnego.

Nad tym się właśnie zastanawiałem, kiedy w głębi korytarza pojawili się uśmiechnięci Jake i Max. Przyglądałem się, jak idą, pochylając ku sobie głowy, i byłem szczęśliwy. A potem serce mi się ścisnęło. Po schodach tuż przed chłopcami zszedł Doug Martin-Klein. Widziałem, jak cała scena się rozegrała.

Jake podniósł wzrok i zauważył Douga. Zwolnił kroku i powiedział coś, wciąż uśmiechnięty. Doug odpowiedział przez ściśnięte wargi, przenosząc wzrok na Maksa. Wtedy odezwał się Max i napięcie stało się wyraźne. Jake odwrócił się gwałtownie do Maksa. Spostrzegłem błysk gniewu w oczach syna. Doug odszedł z zimną obojętnością. Max potrząsnął głową i powiedział coś do Jake'a. Chłopcy się rozdzielili i Jake, ze spuszczoną głową, ruszył w moją stronę. Max szedł parę kroków za nim.

Ulotna chwila szczęścia roztrzaskała się tak nagle, że aż mnie zatkało. Starłem się nad sobą zapanować, gdy na nich czekałem. Droga ze szkoły do samochodu, a potem jazda do domu Maksa odbyła się w milczeniu. Kiedy podrzuciliśmy go do domu, miałem nadzieję, że Jake coś powie. Milczał jak zakłęty. Sam musiałem zapytać.

– Co to było?

Jake pociągnął za sznurek kaptura.

– Nic.

– No powiedz. Nie będę się wściekał.

– To nic takiego.

– Jake, wiesz, że lepiej mi powiedzieć. Chcę tylko pomóc.

Westchnął.

– Muszę?

– Ja bym musiał. – Roześmiałem się.

Jake nie docenił mojego poczucia humoru.

– Max po prostu powiedział coś do Douga. A teraz Doug jest na mnie zły.

– Co Max powiedział? – spytałem.

– Nazwał Douga „dziwadłem”. – Jake zamilkł na chwilę. Może tylko tak mi się zdawało, ale chyba sam próbował siebie przekonać, kiedy podjął: – Nie jest

dziwadłem. Jest tylko małomówny.

Musiałem zdobyć się na właściwą odpowiedź. Był to jeden z tych ważnych momentów w wychowaniu. Dałem sobie chwilę i wyjrzałem przez okno.

– Max się zdenerwował?

Jake z powagą pokiwał głową.

– Tak. Ale nie powinien był nazywać Douga dziwadłem... – Zawiesił głos. Widać było, że zastanawia się głęboko przed dokończeniem zdania. – Nawet jeśli rzeczywiście tak myśli.

Spostrzegłem, że uchylły się drzwi. Bez zastanowienia wetknąłem stopę w szparę.

– A ty tak myślisz?

Jake się skrzywił.

– No nie wiem, tato. Jest małomówny. Ale wszyscy mówią to samo i o mnie.

– Nie jesteś małomówny – zaprotestowałem.

Nie odpowiedział. Kiedy znowu na niego spojrzałem, trzymał na kolanach książkę. Miałem wątpliwości, czy dobrze poradziłem sobie z sytuacją, ale nie wiedziałem, jak ewentualnie mógłbym ją uratować. Uruchomiłem silnik i ruszyłem w stronę naszego domu. Po chwili dorzuciłem swoje ostatnie słowo.

– Będzie w porządku. Nie martw się tym zbytnio.

Resztę drogi do domu odbyliśmy w ciszy. Przez cały ten czas trudno mi było uwierzyć, by Jake mógł potraktować moją radę poważnie, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, skąd pochodziła.

ROZDZIAŁ 18

DZIEŃ DRUGI

Laney siedzi sama na tylnej kanapie za fotelem kierowcy. Czuję, że coraz mniej panuję nad emocjami. Od pierwszych chwil, gdy oboje jeździli w fotelikach, Jake i Laney zawsze siedzieli każde po swojej stronie kanapy. Kiedy Jake osiągnął wiek, który pozwalał na siedzenie na przednim fotelu, wykorzystywał ten przywilej, ale gdy jechaliśmy razem, Laney siedziała zawsze za kierowcą, a Jake obok niej, za fotelem pasażera. Teraz jego miejsce wygląda tak pusto.

Rachel wpatruje się w widok za oknem. Nie odezwała się do mnie ani słowem, odkąd opuściliśmy hotel. Jonathan pojechał przodem, sprawdzić sytuację wokół domu. Wracamy do siebie. Policja wyraziła zgodę. Wszyscy troje płakaliśmy cały ranek. Mnie już nie została ani jedna łza. Czuję się pusty, odrętwiały, skołowany. Kiedy patrzę na Laney, mam ochotę wziąć ją na ręce i uciec gdzieś, gdzie będzie bezpieczna, gdzie zagoją się jej rany. Pragnę tego najbardziej na świecie, chociaż wiem, że jest niemożliwe.

Jakieś półtora kilometra od naszego osiedla dzwoni moja komórka. Zerkam na godzinę zegara w desce rozdzielczej. Jest dziesiąta dwadzieścia pięć rano. Godziny stracone na posterunku policji coraz bardziej mi ciążyą.

– Halo?

– Tu Jonathan. Bądźcie przygotowani.

– Na co?

– Słuchaj, takie sytuacje... wydobywają z ludzi to, co najgorsze. Zakładają, że wiedzą coś na pewno, tylko dlatego, że usłyszeli w telewizji słówko „rzekomo”.

– Co masz na myśli, Jonathanie?

– Przed domem stoją ludzie. Głównie z mediów, ale też sąsiedzi. Niektórzy mają transparenty, tablice, Laney nie powinna ich oglądać. Może warto byłoby się zastanowić nad pojechaniem gdzie indziej.

Odzywam się do Rachel.

– Przed domem są ludzie. Reporterzy i chyba nie tylko. Jonathan radzi, żebyśmy pojechali gdzie indziej.

– Jedziemy do domu – stwierdza Rachel.

Odwracam się i spoglądam na Laney. Ma nieobecny wyraz twarzy, a ciało wygięte tak, jakby odwracała się od ducha na siedzeniu obok. Rozłączam się i jadę dalej. Rachel znowu odwraca głowę i wygląda przez okno.

– Laney, kochanie – mówię.

Nie odpowiada.

– Kiedy zbliżymy się do domu, pochyl głowę, dobrze? Będą tam kamery, ludzie, którzy chcą ci zrobić zdjęcia.

– Nie – mówi.

Głowa odskakuje mi do tyłu. Jestem zdumiony.

– Co?

– Nie, tato – powtarza spokojnym, wstrząsająco dojrzałym głosem. – Nie będę się chować. Oni nie znają Jake’a. Są głupi, wszyscy co do jednego. Gdyby go znali, nie wygadywaliby takich bzdur. On tego nie zrobił. Wiem to. I nie będę się przed nikim ukrywać.

Z bolącą głową patrzę na Rachel. Odwzajemnia spojrzenie, chyba po raz pierwszy, odkąd wyszedłem z aresztu. Zdaje sobie sprawę, co zobaczymy. Oglądaliśmy relacje telewizyjne ze zdarzeń takich jak ta strzelanina. Rozumiemy się bez słów. Musimy podjąć decyzję. Czy pozwolimy Laney dalej myśleć, że wszystko dobrze się skończy, czy otworzymy jej oczy na rzeczywistość, zmusimy do przyjęcia do wiadomości, że Jake odszedł na zawsze, że opuścił nas w najstraszniejszy możliwy sposób? Nikt z nas, nikt z tych, kto znał dobrze Jake’a, nie może tego pojąć. Może Douglas Martin-Klein zrobił mojemu synowi pranie mózgu. Po raz pierwszy zastanawiam się, czy winy nie ponoszą narkotyki. Po prostu nie wiem. Ale zauważam, że mój umysł wreszcie zaczyna się godzić z rzeczywistością i szuka odpowiedzi na pytanie dlaczego. A teraz musimy zdecydować, czy umysł Laney powinien dokonać takiego samego skoku.

Rachel, która znów czyta mi w myślach, jak tylko ona potrafi, kręci głową. Potakuję. Potem znowu zaczynamy się ignorować. Przypuszczam, że w żołądku przewraca jej się tak samo jak mnie, gdy zbliżamy się do naszego rozbitego domu. To wciąż jest nasz dom? Nie wiem. Po prostu prowadzę samochód.

Uzmysławiam sobie, jak mało czasu upłynęło, przynajmniej z normalnej perspektywy. Pierwszego esemesa o strzelaninie otrzymałem niecałe dwadzieścia osiem godzin temu. Teraz jednak nic nie jest normalne.

Kiedy skręcam w nasze osiedle, Rachel gramoli się z fotela na tylne siedzenie. Siada pośrodku i zdaje sobie sprawę, że też musi się bać ducha w samochodzie, podążającego wszędzie za nami. Obejmuje Laney, która pozwala matce na ten opiekuńczy gest, gdy wpatruje się hardo w okno. Mimo wszechogarniającej rozpaczyny jestem dumny ze swojej córki. Ma w sobie więcej siły, niż mógłbym sobie wyobrazić.

Gdy od celu dzieli nas jeszcze pięć sąsiednich domów, po obu stronach ulicy parkują sznury samochodów. Za dębami widzę, że na naszym podwórzu roi się od ludzi. Przełykam ślinę, tłumię w sobie odruch, by zawrócić wóz i uciec. Decyzja została podjęta. Teraz zmierzmy się z jej konsekwencjami.

Mężczyzna z kamerą, pierwszy, który nas dostrzega, zbiega ze wzniesienia przed naszym domem. Eleganc-ko ubrana kobieta po czterdziestce próbuje

dotrzymać mu kroku, grzęznąć wysokimi obcasami w wilgotnej murawie. Inni orientują się, co się dzieje. Dostają ślinotoku (jestem tego pewien), gdy wyczuwają zbliżające się ofiary.

Staram się nawiązać kontakt wzrokowy z kimkolwiek na podwórku. Ludzie zlewają się w jeden kołyszający się, pozbawiony duszy organizm. Nienawidzę ich za to, co zgotowali mojej rodzinie. Niektórzy trzymają w garściach tablice z napisem: RODZICE SĄ WSPÓŁWINNI. Inni poruszają ustami, jakby wykrzykiwali obelgi. Jeden mężczyzna, starszy człowiek ubrany jak rolnik, którego na pewno nigdy wcześniej nie widziałem na oczu, kopie bok samochodu.

– Wal się, chamie – mamroczę pod nosem, zapominając, że Laney jest tuż obok. Myślę, że mnie nie usłyszała. Szeroko otwartymi oczami wpatruje się w różnorodność istot ludzkich, które pogardzają jej zaginionym bratem.

I wtedy widzę Mary Moore, matkę dziewczyny, z którą Jake był na szkolnym balu, Kandice. Kandice nie żyje. Uświadamiam to sobie, gdy dostrzegam żal i smutek, zagubienie i tęsknotę w twarzy jej matki. Wszelki gniew mija mi jak ręką odjął. Tego, co pozostaje, nie sposób opisać. To poczucie winy rzucone na pustkę i podpalone.

– Dobry Boże – szepczę.

Jestem rozkojarzony, gdy podjeżdżam do garażu. Musiałem go otworzyć, bo przyzywa mnie niczym wrota do Hadesu. Samotny policjant w mundurze pilnuje, żeby nikt nie wdarł się do domu, kiedy zatrzymuję wóz i zamykam za nami bramę. Światło niknie i okrywa nas mrok. Nikt z nas się nie rusza. Stać mnie tylko na to, by przekręcić kluczyk w stacyjce i wyłączyć silnik, zanim się zaczadzimy.

*

Rachel pomaga Laney wysiąść. Obie przystają, przepuszczając mnie przodem. Kładę dłoń na klamce i waham się chwilę. Wreszcie przekręcam gałkę i otwieram drzwi do pokoju telewizyjnego. To nie jest nasz dom. Wszystko wygląda inaczej. Kanapa stoi trochę krzywo. Lampa opiera się o ścianę. Przechodzę powoli do kuchni. Szuflady otwarte. Światło zapalone. Nic nie jest tak, jak być powinno. Nic nie jest tak, jak wczoraj rano.

Rachel przepycha się obok mnie. Może po stanowczości jej kroków wiem, dokąd idzie. Do pokoju Jake'a. Staję nieruchomo i nastawiam uszu. Słyszę tylko ciszę aż do momentu, gdy zatrząskują się drzwi. Potem drugie trzaśnięcie drzwiami, od naszej sypialni. Odwracam się, ale Laney zniknęła. Cicho jak kot wspina się po schodach. Parkiet skrzypi mi pod stopami, gdy zbliżam się do naszego pokoju. Znowu przystaję, nasłuchując. Słyszę płacz, jednej i drugiej. Umiem odróżnić płacz Laney. Wyobrażam ją sobie jako niemowlę, płaczące w moich ramionach. Potem słyszę też niemowlęcy płacz Jake'a. Płacze niższym, ale bardziej rozpaczliwym głosem niż siostra.

Dzwoni mój telefon. Odbieram, myśląc, że to Jona-than. Ale to nie on.

– Typierdolonymorderco.

Słowa zlewają się w pijackim bełkocie.

– Kto mówi? – krzyczę.

– Wiesz, kurwa, kto. Twój syn zabił mojego. Ten twój nic niewarty śmieć zabił mojego Aleksa.

To ojciec Aleksa Rainesa. Zamykam oczy i nagle uzmysławiam sobie, że to on był tym mężczyzną w golfie, którego widziałem wczoraj. Chcę się rozłączyć, ale coś mnie powstrzymuje.

– Ten twój tchórzliwy synalek zrobił to specjalnie.

– Co masz na myśli? – odwarknąłem.

– Twój synalek. Nie umie sam walczyć o swoje. Mój syn mu pokazał. – Pan Raines (nie pamiętam, jak ma na imię) kaszle i śmieje się równocześnie. – Przyjdę do was i cię zabiję – bełkocze. – Zabiję, Bóg mi świadkiem.

– Co było między Alekssem a Dougiem?

– Nie rznij głupa... morderco.

Połączenie zostaje zerwane.

*

– Dlaczego Alex nazwał cię frajerem? – zapytałem Jake’a tamtego dnia, dwa miesiące temu, kiedy zadzwonił szkolny pedagog.

Siedział na patio za domem i czytał książkę, którą zadali mu w szkole. Podniósł wzrok znad okładki. Zmierzwił ciemne włosy ocieniały mu oczy. Nie byłem w stanie nic wyczytać z jego wyrazu twarzy.

– Chwila amnestii...

Kręcę głową.

– Za późno. Phil Hartman już zadzwonił.

Jake wiedział, że chwile amnestii dotyczą tylko spraw, o których nie dowiedziałem się wcześniej z innego źródła. Zauważyłem lekkie drgnienie powieki, jakby uświadamiał sobie, że wkracza na niepewny grunt.

– Wrrrrgrrrrr! – Jake wyrzucił ramiona w górę, z książką wciąż w garści, parodiując Frankensteina. Roześmiałem się mimo woli.

– Zabawne. Hartman powiedział mi, że incydent dotyczył czegoś więcej, niż się przyznałeś.

Jake odgarnął włosy z czoła i popatrzył na mnie.

– Zrobisz z tego wielką aferę.

– Nie, nieprawda.

Roześmiał się.

– Tak, jasne, a ja ogolę się na łyso.

– Czy to zakład?

Zastanawiał się chwilę, czy nie pociągnąć mnie za słowo. Wreszcie jednak odchylił głowę do tyłu i spojrzał w niebo.

– Dlaczego tak cię nazwał? Nie wiedziałem, że masz z Alekssem jakiś problem.

– Bo nie mam – odburknął. – A przynajmniej nie miałem.

– No więc dlaczego?

– Nie nazwał mnie frajerem – powiedział Jake.

– Phil mówi co innego.

Jake parsknął śmiechem.

– A to dobre. Powołujesz się teraz na słowa pedagogów? Ale powaga. Nie powiedział tego do mnie. Powiedział to do kogoś innego.

– Do kogo?

– Do kumpla, z którym gadałem. Alex zachował się jak dupek. Nie wiem, dlaczego się do nas przypiął. Szturchnął mnie, ale po prostu go olałem. A potem... okay, nie powinienem był go popychać.

– Kto z tobą był? – zapytałem znowu.

– Tylko się nie wściekaj – powiedział.

Czekałem w milczeniu. Jake spojrzał znowu w niebo i odpowiedział.

– Doug.

ROZDZIAŁ 19

JAKE: WIEK DWANAŚCIE LAT

Jake, teraz w gimnazjum, siedział w dużym pokoju i czytał. Zadzwoił dzwonek do drzwi, ale Jake nie podniósł wzroku. Odłożyłem ściereczkę, którą wycierałem naczynia w kuchni, i przeszedłem obok niego.

– Słyszałeś dzwonek? – zapytałem.

– Tak – odpowiedział.

I tyle. Pokręciłem głową i otworzyłem drzwi. Dostawca przekazał mi zamówione zakupy, a ja zapłaciłem.

– Dzięki. – Dałem napiwek chłopakowi, który był pewnie tylko pięć lat starszy od Jake'a.

– To nasza kolacja? – zawołała Rachel z pokoju na górze.

– Tak!

Wróciłem do kuchni, żeby wszystko przygotować. Wyjąłem talerze na pizzę i sałatkę Rachel zostawioną w plastikowym opakowaniu na wynos. Wyłożyłem smażone skrzydełka na środek i wziąłem garść serwetek. Rachel i Laney zeszły na parter jakieś pięć minut później. Laney trzymała w ręku konsolę Nintendo DS.

– Żadnych gier przy kolacji – upomniałem ją.

Przewróciła oczami.

– Wiem, tato.

Kolacja czekała na stole, a Jake wciąż nie przyszedł. Zawołałem go znowu, ale nie zareagował. Wystawiłem głowę do dużego pokoju, właśnie gdy przemaszerował obok mnie.

– Mogłeś mi odpowiedzieć – zauważyłem.

– Sorry.

Usiedliśmy do jedzenia. Rachel spytała dzieci, jak im minął dzień.

– Dobrze – stwierdziła Laney ze skrzydełkiem w dłoni i sosem na policzku.

Jake tylko jadł. Spojrzałem wymownie na Rachel, a ta wzruszyła ramionami.

– Trzy sprawy – powiedziała.

„Trzy sprawy” były polityką wprowadzoną przez moją żonę. Koncepcja pełna prostoty. Dzieci musiały opowiedzieć o trzech sprawach związanych ze swoim dniem. W praktyce, im więcej lat mijało, tym bardziej rozmowy na ten temat przypominały wizytę u dentysty.

Laney nie dała się długo prosić. Opowiedziała, w co bawiła się na długiej przerwie, kto wpakował się na lekcji w kłopoty, a także wspomniała coś o autobusie, ale nie do końca zrozumiałem, o co chodzi.

– Siadają sami, więc na koniec mają trzeciorzędne miejsca. To po prostu nie fair.

– Rozmawiałaś o tym z kierowcą? – spytała Rachel.

Laney pokręciła głową.

– Nie ma mowy. Nie jestem skarżypytą.

Roześmiałem się.

– Twoja kolej, Jake.

– No nie wiem.

– Dalej, spróbuj – zachęciła Rachel.

Jake ugryzł kawałek pizzy i mówił podczas jedzenia.

– Miałem sprawdzian z matmy.

– Jak ci poszło?

– Dobrze.

Czekałem na coś więcej, ale na tym zakończył.

– Jeszcze dwie sprawy – przypomniała Rachel.

– Nie miałem sprawdzianu z socjologii. – Uśmiechnął się jak szelma.

Roześmiałem się.

– A to dobre.

Rozmowa toczyła się dalej w podobnym tonie. Laney starała się trochę bardziej od Jake'a, ale upływ lat dawał o sobie znać w przypadku obojga. Przebłyski dorosłości mieszały się z dziecinnymi humorami, pozwalając się domyślać autentycznych osobowości, którymi staną się, gdy wyfruną z naszego gniazda. Było to denerwujące i wspaniałe jednocześnie.

Po kolacji musieliśmy przypomnieć im, żeby zanieśli brudne talerze do zlewu. Jake wrócił do swojej książki, a Laney do swojego nintendo. Rachel pomogła mi posprzątać.

– Szybko dorastają – powiedziałem.

Rachel pokiwała głową.

– No.

Skończyłem, odwiesiłem ściereczkę na haczyk i odwróciłem się do niej. Zerknęła na swój telefon.

– Idę na dół poćwiczyć – oznajmiła.

– Okay.

Patrząc, jak odchodzi, wziąłem książkę i dołączyłem do Jake'a w dużym pokoju.

*

Jakiś tydzień później pomogłem dzieciom wieczorem dokończyć lekcje, potem zjedliśmy kolację. Usłyszałem, że otwiera się brama garażu, właśnie gdy wkładałem ostatni talerz do zmywarki. Jako słomiany wdowiec miałem ochotę

wybiec Rachel na spotkanie, wziąć ją w ramiona i powiedzieć, że jest moim najlepszym przyjacielem na świecie. Zamiast tego spokojnie złożyłem ściereczkę i powiesiłem ją na uchwycie kuchenki.

Rachel weszła do domu. Słuchałem jej kroków. Brzmiały trochę niepewnie, ale wiedziałem, że to tylko pozór. Moja żona robiła wszystko z pełnym przekonaniem – to była jedna z tych cech, w których od razu się zakochałem.

– Cześć – powiedziała.

Odwrociłem się i spojrzałem na nią, przybierając radośniejszy ton głosu.

– Cześć.

– Zgadnij co? – zagadnęła filuternie.

Uśmiechnąłem się szczerze.

– Co?

– Idziemy dziś wieczorem na randkę.

Uniosłem wysoko brwi.

– Jake gra jutro w bejsbol. A co z Laney?

– Tairyn zaproponowała, że weźmie ją na noc, więc zadzwoniłam do Jen i spytałam, czy mogłaby przenocować Jake'a. Powiedziała, że Max będzie zachwycony. Więc wygląda na to, że jesteśmy wolni.

– Nieźle!

Zamilkliśmy oboje. Wyobrażałem sobie, że Rachel czuje się podobnie do mnie. Oddaliliśmy się od siebie; sam pomysł randki podszyty był uporczywym lękiem, że nawet to uda nam się spieprzyć.

– Zabukowałam nam pokój w Ritz-Carltonie.

– W Filadelfii?

Potaknęła.

– Pomyślałam, że pójdziemy sobie na sushi, może pospacerujemy po South Street.

Roześmiałem się.

– Jak za starych dobrych czasów.

Randka udała się lepiej, niżbym się spodziewał. W pewnym momencie, kiedy przed kolacją piliśmy przepysznie mocną ciepłą sake, coś sobie uświadomiłem. Z dala od chaosu i zmartwień związanych z wychowywaniem dzieci, bez wątplenia spotęgowanych przez pionierską zamianę przypisanych do płci ról społecznych, szybko przypomniałem sobie, co połączyło nas na początku i doprowadziło do cudu, jakim były nasze wspólne dzieci. Gadaliśmy całymi godzinami, tylko we dwoje, jakby nikt inny w tętniącym życiu mieście w ogóle się nie liczył. Przespacerowaliśmy się po Market i Drugiej, mijając młodych hipsterów, grupę, której reszta narodu nie wyobrażałaby sobie nawet na notorycznie źle i fałszywie postrzeganych ulicach starej części Miasta Braterskiej Miłości. Okolica buzowała energią, a my szliśmy sobie i chłoniliśmy ją łapczywie,

nie dzieląc się z nikim, tylko ze sobą nawzajem.

Kiedy szliśmy długą, spokojną Trzecią Ulicą na South, pocałowaliśmy się ukradkiem. Dotarliśmy na miejsce i hipsterzy zmieszali się z całą chaotyczną miejską pstrokacizną. W przeciwieństwie do starego miasta, South Street w pełni zasługiwała na swoją reputację. Policjanci stali na każdym rogu, podczas gdy bawiący się ludzie, zbiry i licealiści sunęli chodnikiem, niektórzy skręcali do egzotycznych sklepików, gdzie sprzedawano kapelusze z piórami i wielobarwne prezerwatywy, podczas gdy inni czujnym okiem starali się wyłowić w tłumie naszą słabość. Do czego im to posłużyło, nie wiem. W młodości często łąziłem na South Street, więc nauczyłem się unikać tych spojrzeń – i kłopotów w ogóle, skoro już o tym mowa.

Trzymając się za ręce, odwiedziliśmy elegancką irlandzką restaurację i pub na parę kufli piwa, a potem nawet wstąpiliśmy do Troc, żeby trochę potańczyć. Nie wytrzymaliśmy dudniącej muzyki zbyt długo. Spacerując ulicami miasta jeszcze przez pół godziny, napawaliśmy się po prostu swoją wolnością. O dziwo, przez większość wieczoru w ogóle nie rozmawialiśmy o dzieciach. Kiedy wsiedliśmy do taksówki, odwróciłem się do Rachel z uśmiechem.

– Potrzebowaliśmy tego.

Wsunęła mi rękę pod ramię i wtuliła się we mnie.

– To prawda.

Wróciwszy do pokoju, nie zapaliliśmy nawet światła. W chwili gdy nasze nagie ciała się zetknęły, szepnąłem jej do ucha:

– Szkoda, że nie ma tu ciasnej kuchni.

Kiedy w sobotę rano jechaliśmy do domu, zadzwoniłem do Jen.

– Cześć, Jen.

– Cześć, Simon. Jak udała się wam randka?

Trudno mi było wyczuć, czy mówi to z filuterną przekorą. Zresztą wcale tego nie sugeruję.

– Było super. Świetnie się bawiliśmy.

Zerknąłem na Rachel. Nie zwracała na mnie uwagi, skupiona na drodze, gdy wyprzedzała kolejne samochody na I-95.

– A ja właśnie zawiozłam Maksa i Jake’a do Caseyów na sobotni mecz futbolu.

– Super – powiedziałem. – Odbierzemy go po prostu stamtąd. Dobrze się sprawował wczoraj wieczorem?

Jen się roześmiała.

– Jake? A czy kiedykolwiek sprawuje się inaczej?

– Zdarza mu się – przyznałem.

– No tak. Wszystkim się zdarza. Ale w przypadku Jake’a trudno mi to sobie wyobrazić. Wczoraj zaproponował nawet, że pozmywa naczynia. Normalnie

szczęka mi opadła.

– Szkoda, że nie jest taki chętny w domu. Skończą grać tak jak zwykle?

– zapytałem.

– Tak przypuszczam. Zawsze są niezmordowani.

Roześmiałem się.

– Jeszcze raz dziękuję, że go przygarnęłaś.

– Nie ma sprawy.

– Wisimy ci przysługę. To na razie.

– Pa.

Dojazd do domu Caseyów zajął nam około dwudziestu pięciu minut. Droga dojazdowa biegła przez mały czerwony mostek przerzucony przez wijący się strumyk. Dwaj mężczyźni w gumowcach stali w płytkiej wodzie i łowili pstrągi. Za drugim brzegiem, lewa strona drogi otwierała się na szerokie pole, w głębi ustawiono siatkę osłaniającą bazę boiska do bejsbolu. Sześciu chłopców grało w futbol na trawniku, gdzie plastikowe pomarańczowe stożki wyznaczały linie boczne. Rachel zaparkowała wóz dwoma kołami na trawie. Zgasiła silnik i przyglądaliśmy się przez pewien czas grze.

– Dlaczego nie kupiliśmy domu tutaj? – spytałem.

Roześmiała się.

– Za dużo dzikiej przyrody jak dla ciebie.

Choć brzmi to pewnie ckliwie, kiedy patrzyłem na grających chłopaków, ciepło mi się robiło na sercu. Mimo zamkniętych okien słyszałem ich głosy, czasem wciąż piskliwe i wysokie. Rzucali się szczupakiem na murawę i objali się od siebie, grali z większym zapałem niż którykolwiek z nich grałby kiedykolwiek w zorganizowanej drużynie, jak gdyby ten mecz był znacznie ważniejszy.

Na naszych oczach Jake przejął piłkę, łapiąc ją chłopakowi znad głowy. Pobiegł w drugą stronę, ominął jednego obrońcę, ale dał się złapać Maksowi. Obaj mocno przygrzmocili o ziemię. Kiedy Jake podniósł się pierwszy i podał pomocną dłoń Maksowi, łzy szczęścia zakręciły mi się w oczach, chociaż pewnie nie powinienem się do tego przyznawać.

Równocześnie starałem się przytłumić nieco ten wybuch szczęścia, bo wiedziałem, że życie taty jest dla mnie jak jazda kolejką górską. Przy wzlotach nadmiernie się ekscytowałem, a upadki nadmiernie mnie dołowały. Fajnie było zobaczyć, jak dobrze Jake się bawi. Ale jutro życie mogło przynieść coś zupełnie innego. Moja wybujała wyobraźnia podsuwała mi obrazy całych tygodni spędzonych samotnie w domu, ponurych dni depresji i prześladowania w szkole.

Rachel wyczuła chyba, o czym myślę, bo ujęła moją rękę w swoje dłonie.

– Słyszałam, co powiedziała Jen. Świetnie się spisałeś, wiesz... z dziećmi.

Popatrzyłem na nią. Po tylu latach małżeństwa łatwo było o autentyczną szczerłość. Jej słowa płynęły prosto z serca. Spostrzegłem to natychmiast.

I poczułem to samo. W tamtej chwili mogłem o sobie pomyśleć, że jestem najlepszym tatą pod słońcem. Ale zarazem nowoczesnym tatą.

– Laney wołałaby, żebyś ty była z nią w domu.

Powiedziawszy to, zacząłem się niepokoić. Jeżeli użyłem nieodpowiedniej intonacji, mogłem wywołać w Rachel poczucie winy. Tym razem jednak nie zareagowała w ten sposób. Randka dostarczyła chyba świeżej osłonki mielinowej na nasze zszargane codziennym życiem nerwy.

– Ona cię kocha, wiesz.

– Wiem. Proszę, nie zrozum mnie źle, ale zawsze było mi jakby łatwiej z Jakiem. Wiedziałem po prostu, jak się z nim bawić, a czasem nawet, co mu powiedzieć. Rozumiesz?

Jej uśmiech był tak ciepły, że roztopił mi serce. Jeszcze wiele lat później potrafiłem zamknąć oczy i gdy tylko chciałem, zobaczyć jej twarz w tamtej chwili.

– Rozumiem. Wiesz, że odczuwam coś podobnego? Czasami, kiedy patrzę na was dwóch, jak gracie w gry wideo albo rzucacie sobie piłkę, żałuję, że nie jestem tobą. Z Laney czuję się pewniej. Rozumiem ją, wiesz? Może nie do końca, ale wiem, że myślimy jednak podobnie. A jednocześnie moja miłość do Jake’a jest jakby głębsza. Tak jakby to, co nas różni, jeszcze ją potęgowało.

Nigdy wcześniej mi tego nie wyznała. Jej słowa poruszyły coś w moim sercu. Rozumiałem ją tak dobrze, że miałem poczucie, iż sam mógłbym powiedzieć to samo co ona.

– Oddałbym za nią życie – wyszeptałem.

Rachel uścisnęła mi dłoń.

– Wiem. Dlatego cię kocham.

*

Po naszej randce cały dom unosił się na obłoku szczęścia przez wiele tygodni. Zastanawiałem się nad samą możliwością tego, że w rzeczywistości nie zmieniło się nic poza moim postrzeganiem świata. Patrzyłem na wszystko łagodniej, z lekkim przymrużeniem oka. Gdy Laney dostała trzy z plusem z dyktanda, powiedziałem: „Nie szkodzi, postaraj się bardziej następnym razem”. Kiedy zadzwonił pedagog szkolny w sprawie jakiejś kłótni w autobusie, uznałem, że to u chłopaków normalka. Co noc spałem snem sprawiedliwego i wtedy uzmysłowiłem sobie, że nie zdarzało mi się to od lat, może nawet od chwili, gdy Jake przyszedł na świat. Oglądałem telewizję i sceny na ekranie nie przypominały mi o żadnych moich życiowych zmartwieniach. Dzieciak prześladowany w szkole w odcinku serialu kryminalnego – e tam, przebrzmiały problem w naszych czasach. Dziewczyna w serialu komediowym spychana na bok przez koleżanki – to taki zgrany motyw.

A potem, pewnego popołudnia, wszystko się zmieniło. Dawna neuroza

wróciła do mnie jak bumerang, uderzając w moją nieprzygotowaną głowę, jakby ktoś poraził mnie prądem. Siedziałem akurat przy stole w kuchni. Jake wrócił ze szkoły tuż przed trzecią.

– Tato, możesz mnie podwieźć do Douga?

Przełknąłem z wysiłkiem ślinę, gdy kwas z żołądka podszedł mi do gardła.

– Hm?

– Możesz mnie podrzucić do Douga?

– Dlaczego? Ostatnio już się chyba z nim nie zadajesz, prawda?

Pokręcił głową.

– Słuchaj, wiem, że go nie lubisz. Ale to ty nauczyłeś mnie, że powinienem być dla wszystkich miły. Dzieciaki w szkole naprawdę mu dokuczają. Chcę tylko do niego wpaść i zobaczyć, czy nic mu nie jest. Nie zamierzam jeździć tam codziennie ani nic takiego.

– A co z Maksem i kumplami od futbolu?

Jake zrobił wielkie oczy.

– Co?

– Lubią Douga?

– Nie.

I wtedy jako ojciec dałem naprawdę plamę.

– Myślisz, że nie będzie im przeszkadzało, jeśli tam pojedziesz?

Jake się nie uśmiechnął.

– Jeżeli im to przeszkadza, nie chcę się z nimi przyjaźnić.

Jego mina mówiła sama za siebie. Prawdopodobnie każde dziecko przeżywa kiedyś taką chwilę: nagle zdaje sobie sprawę, że jego rodzic jest zakłamanym durniem. Jake chłonał jak gąbka moje pełne szlachetności rady, jak żyć. I nagle, kiedy sprawy trochę się skomplikowały, bardzo szybko wymiękłem, wybrałem łatwą drogę, nie dorosłem do własnych górnołotnych standardów. Przez moment czułem się tak, jakbym widział się jego oczami. Popatrzył na mnie, przejrzał mnie na wskroś i zobaczył człowieka błędzącego i słabego jak inni. Od tej chwili miał kierować się w życiu własnym rozumem. Ja straciłem możliwość dalszego sterowania jego postępowaniem. Był teraz zdany na siebie.

– Pójdę po kluczyki – powiedziałem.

Odwrócił się i mruknął:

– Dzięki.

ROZDZIAŁ 20

DZIEŃ DRUGI

Telefon znowu dzwoni. Drgam z zaskoczenia. To Jonathan, więc odbieram.

– Halo?

– Simon, jestem przed domem. Zaparkowałem po drugiej stronie ulicy. Powinienem porozmawiać z tobą i Rachel. Otwórz zamek przy frontowych drzwiach, ale wycofajcie się w głąb domu. Sam wejdę.

Jonathan się rozłącza. Dźwigam się na nogi. Łkanie za drzwiami ucichło. Pukam lekko.

– Rachel, musimy porozmawiać. Jonathan zaraz tu będzie. Ale dzwonił też ktoś inny.

Idę do drzwi wejściowych i spostrzegam, że zamek już jest otwarty. Policja musiała go tak zostawić, co mnie zaskakuje. Głowa obraca mi się na karku, gdy gorączkowo rozglądam się po naszym salonie i przedpokoju. Nawet złocistożółta farba wygląda inaczej. Nic tutaj nie wydaje się już rzeczywiste. Stoję w obcym domu, w domu, gdzie toczy się życie kogoś innego, życie istniejące w jakimś wyimaginowanym świecie, który ze zgrzytem kół sunie do przodu bez względu na to, jak mocno zapieram się nogami, żeby go zatrzymać. Moje uczucia, ubrane w słowa, straciły sens. Mogę myśleć tylko o Dougu. I Aleksie. Lalka miała z tym wszystkim coś wspólnego? Na cmentarzu nie dostrzegłem jakiegoś ważnego śladu?

– Słuchaj, z tym Jonathanem...

– Później. – Rachel schodzi po schodach. – Kto jeszcze dzwonił?

Mówię jej. A potem pytam:

– Co wiesz o Aleksie Rainesie?

– Nic. Mało. Jake mówił mi, że pobili się w szkole. To właściwie tyle... Zaraz. Facebook. Kiedy wczoraj wieczorem wyszedłem, zajrzałam na profil Jake'a. Było tam coś od Douga na temat jakiejś walki. Uznałam, że chodziło o Aleksa, ale może uda nam się dowiedzieć więcej.

Rachel bierze ze stolika przy drzwiach swojego służbowego iPada. Włącza go, właśnie gdy na dworze podnoszą się krzyki. Odwracam się i wtedy otwierają się drzwi.

– Jak skomentuje pan doniesienia, że rodzice nie wiedzieli nawet, w jakie gry komputerowe grał? – ktoś zawołał.

– Powinno się ich zamknąć w ciupie!

– Morderca.

– Prawnicza gnido.

– To twoja wina.

Mrugam z niedowierzaniem przekonany, że mój umysł sfabrykował to ostatnie oskarżenie, jeśli nie wszystkie. Jonathan przeciska się przez drzwi. Na chwilę przed oczami mającą mi plecy policjanta, który odpycha tłum reporterów i nie tylko, wszystkich tych, którzy z różnych powodów postanowili koczować przed moim domem. Jedni już nas osądzili i chcą wykrzyczeć swój werdykt, inni szukają odpowiedzi, które nie zdołają uśmierzyć ich bólu.

– Nic ci nie jest? – pytam, ale zerkam na Rachel. Przebiega wzrokiem strony na swoim iPadzie. Na moment widzę w pełni ironię tego, jak bardzo mnie kiedyś drażniło, że straciłem żonę na rzecz jej urządzeń elektronicznych.

Jonathan zamyka za sobą drzwi.

– Spodziewałem się tego. Musimy porozmawiać. Ty, Rachel i ja.

Rachel podnosi wzrok. Widzę, że jest niezadowolona z obecności Jonathana, ale chodzi o coś jeszcze. Bardzo chcę zapytać, czego się dowiedziała, ale widzę Laney stojącą na szczycie schodów. Rachel podąża spojrzeniem za moim wzrokiem. Laney zbiega po schodach i siada obok niej na kanapie.

Wyciągając ręce, robię krok w ich stronę.

– Może to nie jest...

– Laney to usłyszy – mówi Rachel. – Musi usłyszeć.

Nie zgadzam się, ale też nie protestuję. Siadam, jestem tak wyczerpany, że nie wiem, czy jeszcze wstanę. Laney usłyszy prawdę; wszystko, czym był dla niej brat, zostanie wydarte z jej pamięci i serca, a później rzucone w ciemny dół czyjegoś osądu.

– Radziłbym...

Żona przerywa Jonathanowi w pół zdania.

– Nie potrzebuję twoich rad.

Jonathan drgnął z zaskoczenia – zabawny widok w przypadku człowieka tak opanowanego. Dzisiaj ma na sobie idealnie skrojony czarny garnitur z eleganckim krawatem w paski i skórzane włoskie buty. Siwe włosy okalają mu głowę niczym aureola, układając się nieskazitelnie, bardziej jak na rycinie niż w życiu. Uśmiecha się i zmarszczki wokół oczu wydają się rozplanowane tak doskonale, jakby za ich pomocą artysta próbował ująć istotę dystyngowanego mężczyzny.

Postanawia przeć naprzód pomimo komentarza mojej żony.

– Okay. Przyjechałem, żeby przedstawić kilka spraw. Po pierwsze, policja poważnie wzięła się do szukania Jake’a. Ustalili przypuszczalną drogę, którą się przemieszczał. Zaczyna się od szkoły, gdzie dozorca twierdzi, że widział go przed strzelaniną. Mogę wam powiedzieć z całą pewnością, że na razie w ogóle nie natrafili na ślad ani Jake’a, ani nikogo innego. Dowiedziałem się trochę więcej o Martinie-Kleinie. Kilka kamer ochrony zarejestrowało jego ruchy. Najpierw pojawia się, gdy wchodzi do sali gimnastycznej. Nikogo tam nie ma, więc

wychodzi na szkolny korytarz. Później wbiega do jednej z sal lekcyjnych, otwiera drzwi i strzela, jak się zdaje, na chybił trafił. Cofa się, staje pod jedną z szafek szkolnych i... ginie od samobójczego strzału w głowę. To był ostatni nabój, który miał przy sobie.

Patrzę na Laney. Obserwuje Jonathana z tępym wyrazem twarzy, jakby spała z otwartymi oczami. Nie umiem niczego z nich wyczytać. Sprawia wrażenie, jakby się wyłączyła. Rachel dotyka jej ramienia, lecz na siebie nie patrzy. Nie wiem, co między nimi zachodzi, ale coś wyczuwam.

Rachel pyta chłodnym tonem:

– Czy kamery zarejestrowały Jake’a?

Jonathan kręci głową.

– Nie. Policja twierdzi, że nagranie zawiera odgłosy ognia z broni palnej, których nie da się przypisać Martinowi-Kleinowi.

– Może to tylko wystrzał z rury wydechowej – mówię, co przychodzi mi do głowy nie wiadomo skąd. Wydaje się, że to głupia sugestia, ale moje myśli czepiają się pewnego szczegółu. Wracam pamięcią do chwili, gdy stałem pod szkołą. Usłyszałem coś i widziałem reakcję policjanta.

– Policja prowadzi badania materiału DNA znalezionej na terenie szkoły. Krew waszego syna została znaleziona na drzwiach, którymi zabójca dostał się do budynku, a także w pobliżu sali lekcyjnej, gdzie doszło do strzelaniny. Dozorca, niejaki Edwin Manner, zgłosił, że widział, jak dwóch chłopaków weszło do szkoły drzwiami za audytorium około trzech minut, zanim rozległy się strzały. Później powiedział policji, że nie jest pewien, czy widział kogokolwiek. Nie wiedział nawet, czy byli to uczniowie szkoły. Wątpię, by jego zeznania miały się w ogóle liczyć.

– Zidentyfikował któregoś z chłopaków? – pyta Rachel. Przybiera swój „prawniczy” ton.

– Nie rozstrzygająco, chociaż policja pokazała mu zdjęcia zarówno Jake’a, jak i Martina-Kleina. Jest też relacja kobiety. Mieszka na farmie przylegającej do terenu szkoły. Nazywa się Donna Jackson. Zidentyfikowała Jake’a, ale Martina-Kleina już nie. Przyjrzelśmy się dokładnie jej życiorysowi. Ma za sobą parę pobytów w psychiatryku. Jedna z tych od czarnych helikopterów.

– Czarnych helikopterów? – Nie rozumiem.

– Paranoiczka. Jest przekonana, że rząd ma ją na podsłuchu i tak dalej. Oprócz tego trzech uczniów doniosło, że tamtego dnia rano Jake opuścił szkołę około godziny przed strzelaniną, jeszcze przed rozpoczęciem lekcji, i udał się do domu Martina-Kleina.

– Kto? – chce wiedzieć Rachel.

– Trzej chłopcy. Ben Campbell, Brian Cushing i Max Turner.

Skręca mnie w żołądku, owiewa mnie chłód, jakby skóra nagle pokryła mi

się zimnym potem.

– Max?

Nie chce mi się wierzyć. Przyjaciel Jake’a od ponad dekady. Czemu Max miałby się nagle zwrócić przeciwko niemu w taki sposób?

– To jego przyjaciele – szepcze Laney.

Jonathan już to, zdaje się, wiedział. Kiwa z powagą głową i kładzie ręce na blacie stołu.

– Gorsze są media – mówi. – Wygrzebują rzeczy z Facebooka i Twittera i odmalowują Jake’a w paskudnych barwach. Nie widziałem tego sam, ale donoszą, że Jake opublikował w sieci coś o zamordowaniu kogoś ze swojej klasy.

– To tylko gra! – wyrywa się Laney. – Uczniowie ostatniej klasy grają w to co roku. Komuś wyznacza się osobę i ten ktoś musi ją „zamordować”. To tylko na niby. Używają pistoletów na wodę. Gra toczy się, dopóki ktoś nie wygra.

Jonathan wyciąga notes i coś zapisuje.

– Dziękuję, Laney. To bardzo pomocna informacja. Twierdzą również, że Jake grał *online* w brutalne gry wideo.

– Wszyscy to robią – oponuje Laney. – W każdym razie wszystkie chłopaki.

– Doszło do bójki z jednym chłopakiem, Alekssem Rainesem – mówię.

Opowiadam Jonathanowi całą historię. Potrząsa głową. Sprawia wrażenie, jakby chciał zadać dodatkowe pytanie, ale się powstrzymuje.

– Będą mieli używanie – odpowiada.

– Kto?

– Media. Już odmalowują Jake’a jako zamkniętego w sobie milczka, który nie kolegował się z niektórymi rówieśnikami z sąsiedztwa. Robią z niego aspołecznego typu. Szczerze mówiąc, uważam, że wasza rodzina bardzo skorzystałaby na zatrudnieniu firmy PR-owskiej, z którą współpracuje moja kancelaria. Specjalizuje się w zarządzaniu wizerunkiem. – Zawiesza głos, wyczuwając nagły chłód w pokoju. – Wiem, że przeżywacie trudne chwile, ale musicie myśleć perspektywicznie... o przyszłych procesach cywilnych.

– Wynoś się – mówię.

Jonathan wygląda na wstrząśniętego. Otwiera usta, ale nie jest w stanie nic wykrztusić. Rachel patrzy na mnie. Wyczuwam coś innego, jakby kruszył się mur między nami. Nie uśmiecha się jednak.

– Przepraszam, Simon. Ja... Twój ojciec wysłał mnie tu na pomoc. Martwi się, jak ta sytuacja się rozwinie. Martwi się o was wszystkich.

– Wyjdź – mówię.

Wstaje, więc Jonathan musi pójść w moje ślady. Robi krok w stronę drzwi, ale ja go mijam i otwieram je przed nim szeroko. Tłum na dworze reaguje kakofonią głosów, zlewają się w jeden przeciągły, oskarżycielski pomruk. Ignoruję go i przytrzymuję Jonathanowi otwarte drzwi.

– Przykro mi, Simon.

Jego wyraz twarzy mówi jednak coś innego. Mówi: „Jesteś głupcem”. To też ignoruję i zamykam za nim drzwi. Kiedy się odwracam, obok mnie stoi Rachel. Obejmuje mnie i płacze mi w kołnierz. Dołącza do nas Laney, mimo że nie dostrzegłem, kiedy się ruszyła. Trzymamy się tak, jak obejmowaliśmy się kiedyś, gdy dzieci były małe. Jest tego wszystkiego za dużo. Nie ukrywam swoich łez przed córką. Nie mógłbym, nawet gdybym chciał. Prawda jest zaś taka, że nie czuję takiej potrzeby. To rzeczywistość naszego życia. Teraz również dla niej. Jej dzieciństwo, podobnie jak dzieciaków z jej szkoły, zakończyło się właściwie w momencie, kiedy to wszystko się zaczęło.

*

Po wyjściu Jonathana Laney wymyka się z pokoju, a Rachel i ja siadamy w salonie.

– Nie wydaje mi się, żeby celowo był tak okropny – myślę na głos.

Oczy Rachel ciemnieją ze złości.

– Co?

– Jonathan. Chce tylko pomóc.

– Czy ty słyszałeś, co on powiedział?

Tonem, jakim wymawia „ty”, daje mi do zrozumienia, że czuje się zdradzona. Nie do końca pojmuję dlaczego – jeszcze nie. Wiem jednak, że chodzi jej o moją zdradę. Próbuję się wycofać.

– Wiem. Przegiął. Nie powinien był posuwać się tak daleko.

Rachel pochyła się do przodu.

– W czym?

Mam wrażenie, jakby te słowa wymknęły się z toczącego pianę pyska jakiegoś drapieżnego zwierzęcia. Są ostre, wkluwają się i szarpią.

– Chodzi mi o to... że nie powinien był sugerować, żebyśmy zatrudniali agencję PR.

– Czemu nie, Simon?

Czuję, że jeszcze nigdy nie znalazłem się na tak niepewnym, niebezpiecznym gruncie. Złachmanione strzępy mojego świata wiszą w równowadze. Nie wiem, jak odpowiedzieć. Powiniem milczeć ze świadomością, że cokolwiek powiem, może zepchnąć to wszystko w otchłań.

– To było bezmyślne z jego strony.

– Nie, nieprawda. Było bardzo dobrze przemyślane. Nie mogę uwierzyć. Myślisz, że nasz syn to zrobił, prawda? Cholera jasna!

Opisanie wyrazu twarzy Rachel byłoby niesprawiedliwością. Jej wzrok wbijał się we mnie, jakby zdzierając niedoskonałości moich zewnętrznych powłok tylko po to, by znaleźć w samym środku zupełną zgniliznę. Po raz pierwszy czuję

w powietrzu między nami smak nienawiści, plugawy i gorzki, który zasycha mi w ustach jak parząca kawa. Spuszczam głowę.

– Nie. Ale gdzie on jest? Co innego to może znaczyć?

Rachel wstaje. Po raz pierwszy w naszym związku góruje nade mną pod każdym względem. Podnoszę błagalnie wzrok, ale to na nic. Kiedy się znowu odzywa, jej słowa syczą i skapują z ust niczym krople kwasu, które palą mi duszę i wżerają się w nią głęboko.

– Ten twój mózg, ten tańczący derwisz, który ciągle wiruje i pyta, co by było gdyby, prawdopodobnie przygląda się teraz każdej chwili z przeszłości, usiłując wyłuskać z nich odpowiedź, w jaki sposób sam temu zawiniłeś. Znalazłeś już przyczynę? Czy jest nią to, że nie zabieraliśmy go na zabawy z innymi dziećmi w sąsiedztwie? A może za słabo przekonywaliśmy go do uprawiania sportu? Bo Bóg świadkiem, że jest znacznie mniej prawdopodobne, by gwiazdor futbolu albo lacrosse zrobił innej osobie coś złego. Racja? Czy właśnie to w tej chwili robisz naszemu synowi?

– Dla ciebie nic nigdy nie jest oczywiste. Zawsze musisz rozbierać wszystko na czynniki pierwsze, oddzielać ziarna od plew, mięso od kości, aż nikt i nic nie ma już przed tobą nic do ukrycia. Nawet raz o tym nie pomyślałeś, prawda? Zapomniałeś już, że Jake był wyjątkowy.

Łzy płyną jej po obu policzkach, strużki żalu, które kreślą przypadkowe linie na twarzy i spadają w nicość. Słowa Rachel nie ranią mnie tak bardzo, jakbym się spodziewał. Zamiast tego słucham każdego z nich. Czy możliwe, że zastanawiałem się nie za dużo, a za mało? Sam pomyśl mi zgrzyta, drażni zdrowy rozsądek, lecz jednocześnie wydaje się upiornie, dezorientująco prawdziwy.

Za dużo myślałem. Myślałem, że zawiodłem Jake'a. Że powinienem był zabierać go, żeby mógł się bawić z dziećmi z sąsiedztwa częściej. Że powinienem był pomóc mu być lepszym sportowcem. Że nie powinienem był pozwolić mu na założenie konta na Facebooku i Twitterze. Nigdy nie powinienem był kupować mu gier wideo ani zabawkowego pistoletu. A co ważniejsze, powinienem był dostrzec zagrożenie zawnaz. Jak to możliwe, że nie widziałem?

To, czego muszę się uchwycić, co muszę przyciągnąć do siebie i nigdy nie puścić, jest tak proste. Z każdą upływającą minutą piękne wspomnienie mojego syna zanika, ustępując miejsca lękowi i trwodze wokół. Kluczem jest nie to, by poznać to, co teraz, lecz by pamiętać to, co było.

Ale nie mam czasu, bo Rachel podaje mi swojego iPada.

– Przeczytaj.

Pokazuje mi rozmowę, która odbyła się na Face-booku. Widzę imię Jake'a, jego zdjęcie, a także Aleksa Rainesa. Czytam:

Jake: Słuchaj, koleś, mnie w to nie mieszaj.

Alex: Ha.

Alex: Ciota.

Alex: Kto cię pytał, pojebie?

Alex: Jak tylko podejdiesz z tym do mojego domu, to RZECZYWIŚCIE się skończy.

Alex: Niespodzianka, zablokują cię.

– Nie rozumiem.

– W rozmowie brał udział ktoś jeszcze.

– Aha – mówię i czytam wątek jeszcze raz. – Więc to, co pisze Alex, jest skierowane do kogoś innego. Pewnie do Douga. Myślisz, że chodzi o lalkę?

Rachel trzyma się pod boki.

– Jaką lalkę?

Orientuję się, że w ogóle jej o niej nie powiedziałem. Kiedy to wreszcie robię, jest wściekła.

– Dlaczego ją wzięłeś?

– Pomyślałem... gdyby ją znaleźli.

– To co? Pomyśleliby, że Jake to zrobił?

– Ja tylko...

– Musisz znaleźć naszego syna.

Rozmowa kończy się tą prostą prawdą. Rachel zostawia mnie samego; słyszę jej kroki gdzieś w domu. Potem znowu się zjawia, a za nią Laney. Córka patrzy na mnie i z zaskoczeniem stwierdzam, że w jej wyrazie twarzy nie widać żadnych pretensji. Jest za to bezbrzeżny smutek.

– Nie, mam – mówi, ciągnąc Rachel za ramię. – Nie idź. Nie chcę. Musimy trzymać się razem.

Rachel zatrzymuje się. Teraz rozumiem. Zabiera Laney i odchodzi ode mnie. Przewidziałem, że tak się stanie, może nawet zanim zaczął się ten koszmar. Nic jej nie powstrzyma, więc przyglądam im się w milczeniu. Czuję tylko, jak odrętwiająco zimne palce nieodwołalnej straty kreślą wzory na moim ciele. Słowa Rachel dudnią mi pod czaszką. Znowu nawaliłem. Nie znalazłem Jake'a.

Rachel wpatruje się we mnie. Mój brak sprzeciwu dostarcza jej tyle amunicji, ile potrzebuje.

– Laney, musimy odejść. Twój ojciec potrzebuje czasu do namysłu.

– Nie chcę. Czemu wy dwoje nie możecie się po prostu pogodzić?

Oczy Rachel też są zimne.

– Muszę iść, Laney. Muszę wydostać się z tego domu na pewien czas. Myślę, że powinnaś pojechać ze mną, ale nie mogę cię zmusić.

Moja żona odchodzi, przez kuchnię w stronę drzwi od garażu. Laney łka załamana. Podbiega, a ja tulę ją do siebie mocniej niż kiedykolwiek przedtem.

– W porządku, kochanie. Idź z mamą. Tak będzie bezpieczniej. Kiedy tylko ci wszyscy ludzie przestaną koczować przed naszym domem, od razu do was dołączę. Dobrze?

– A co z Jakiem? – pyta błagalnym głosem.

Ujmuję jej twarz i zaglądam w zapłakane oczy.

– Znajdę go, fistaszku. Obiecuję.

Patrzy na mnie z nadzieją.

– Obiecujesz?

Milczę chwilę, w pełni rozumiejąc wagę tego momentu. Zna mnie od lat. Wie, że jeśli coś obiecuję, to tak się stanie.

– Obiecuję.

Przestaje płakać i robi krok do tyłu.

– Pa, tatusiu. Kocham cię.

Staram się powstrzymać od łez, dopóki nie znika w kuchni. Słyszę, jak otwiera drzwi i wchodzi do garażu. Wciąż jestem jej ojcem. Zapłakany idę do frontowych drzwi. Otwieram. Tłum na zewnątrz od razu mnie spostrzega. Kołysze się i napiera do przodu. W moją stronę lecą obelgi, przysuwają się mikrofony, ale ja stoję wyprostowany, obserwując, jak otwiera się brama garażu. Zdaje się, że nie zauważa tego nikt oprócz mnie. Jestem idealnym wabiem, doskonale odciągającym uwagę.

– Panie Connolly, panie Connolly, jak to możliwe, że pan tego nie przewidział?

– Uważa pan, że ojcowie wychowujący dzieci ponoszą odpowiedzialność za nową falę przemocy z użyciem broni palnej?

– Słyszał pan o strzelaninie w Kansas dziś rano? Postrzelono dziesięcioro dzieci, a rzekomy sprawca twierdzi, że pragnął tylko prześcignąć pańskiego syna.

– Morderca!

– Pedał!

– To pana wina!

Słyszę to wszystko, gdy patrzę, jak moja rodzina odjeżdża nienapastowana. Uśmiecham się, co bez wątpienia podsyci jeszcze negatywne reakcje w żądnych krwi mediach. Pozory już mnie nie obchodzą. Mój ostatni dar, choć nigdy nie wynagrodzi popełnionych grzechów, to osłona dla mojej rodziny. Postanawiam, że będę piorunochronem, przyjmę na siebie najgorsze gromy ze świadomością, że każde ze słów, które przetrwam, będzie oszczędzone Laney i Rachel.

Podczas gdy stoję w drzwiach, wciąż czujny, dzieje się coś dziwnego. Reporterzy, którzy reagują zawsze pierwsi, wycofują się do swoich wozów. Gonią ich terminy, nie mam wątpiwości, więc szybko wykalkulowali, że dalsze

czatowanie przed naszym domem nic im nie da.

Wreszcie inni w tłumie, przypadkowi obcy wraz z kilkoma znajomymi twarzami, również się rozchodzą. Nie ruszam się spod drzwi aż do chwili, gdy prawie wszyscy wycofują się z trawnika na ulicę i znikają. Bóg raczy wiedzieć gdzie. Zastanawiam się, co mogło sprowadzić tu ich wszystkich. Zieją jadem i nienawiścią, ale myślę, że rzeczywistym motywem jest strach.

Nie boją się mnie, chociaż nie wątpię, że obwiniają. Nie, ci ludzie boją się nieznanego. Lękają się nieprzewidywalności. Wystarczy, że ubodzie ich widmo przypadkowości, a reagują jak odsłonięte zakończenie nerwowe. Muszą być w stanie odpowiedzieć na jedno proste pytanie: Jak mogę nie dopuścić do podobnej tragedii?

Zastanawiam się, jak odczytają moje zachowanie. Tłum zobaczy w moim braku reakcji, w moim uśmiechu wyraźną skłonność psychopatyczną. Winę, powiedzą teraz, ponosi genetyka. Przez moje złe dziedzictwo syn był potępiony od zarania stworzenia. Na szczęście, pomyślą, w mojej rodzinie nie ma takich skłonności. Nie bylibyśmy w stanie znieść takiego wybuchu słusznego oburzenia z taką obojętnością. W związku z tym nasi synowie i nasze córki nie wyrosną na morderców o kamiennych sercach... Takich jak mój syn. Mój Jake. Najłagodniejsza, najbardziej dobroduszna osoba, jaką znałem. Ale wątpliwości pozostają. Czy ja w ogóle go znałem?

Skupiam wzrok i widzę ostatnią osobę, która jeszcze została, Mary Moore. Jej twarz jest inna. Wykrzywiona słusznym gniewem.

– Dlaczego moja córka? – wrzeszczy na mnie. – Dlaczego nie mogła być twoja? – To też przyjmuję na siebie, na razie. Zamykam drzwi. Na dobre czy na złe, zrobiłem dla Rachel i Laney, co mogłem. Teraz muszę dotrzymać obietnicy.

ROZDZIAŁ 21

JAKE: WIEK TRZYNAŚCIE LAT

Obiecujesz?

Zerknąłem w lusterko wsteczne na Laney.

– Nie mogę obiecać. A jeśli będzie burza z piorunami i odwołają? Mogę natomiast obiecać, że postaram się i zrobię wszystko, co w mojej mocy. A znasz mnie. Zawsze dotrzymuję obietnic.

– W porządku – powiedziała. – W takim razie wykąpiesz się ze mną w zimnej wodzie. Bo nie ma mowy, żeby odwołali całą imprezę. W marcu nie ma burz z piorunami. Na dodatek będą tam tysiące ludzi.

Wjechałem autem żony na I-95, kierując się na południe. Była środa, wczesne popołudnie, i przerwa wielkanocna w szkole. Zazwyczaj wolałbym uniknąć tłoku na międzystanówce przy zjeździe do centrum handlowego, ale uznałem, że o tej porze nie będzie dużego ruchu. Miałem rację i bez problemu udało nam się skręcić na szosę numer jeden. Jeszcze półtorej godziny i odetchniemy rześkim słonym powietrzem Bethany Beach.

– Raczej setki, fistaszku. I może grzmieć w marcu. Tylko że rzadko. Pobiegniesz ze mną na pięć kilosów?

– Nie ma mowy!

– Myślałem, że chcesz biegać na długie dystanse w drużynie gimnazjalnej?

Podobna rozmowa toczyła się w naszym domu co najmniej raz w tygodniu. Za każdym razem Laney się wkurzała, ale naprawdę zależało jej na tym, żebym wskoczył do zimnego oceanu razem z nią. Szczerze mówiąc, nie miałem ochoty. Temperatura wody w oceanie na początku wiosny była znacznie niższa niż – powiedzmy – w styczniu, ponieważ w ciągu zimy spadała do przyprawiających o zawał pięciu stopni Celsjusza.

Rachel włączyła film z przenośnego odtwarzacza DVD, którego używaliśmy w samochodzie. Dzieciaki się uciszyły, zamiast ich głosów słyszałem teraz Bena Stillera w *Nocy w muzeum*. Dobry wybór, bo dialogi okazały się śmieszne nawet bez obrazu. Przez pewien czas Rachel i ja po prostu słuchaliśmy ścieżki dźwiękowej i śmialiśmy się od czasu do czasu.

– Kiedy w przyszłym tygodniu ma być mityng Jake’a? – spytała Rachel.

Roześmiałem się.

– Jeśli nie wiesz, to będziemy mieli kłopoty. Myślę, że w środę. Bieg na osiemset metrów jest zwykle około czwartej.

– Sądzę, że uda mi się wyrobić.

– Nie mów tak, jeśli nie jesteś pewna.

Prawdopodobnie nie powinienem był tego mówić. Parę tygodni wcześniej Jake był zawiedziony, kiedy Rachel nie dotarła na zawody, choć wcześniej obiecała. Nie chciałem robić mu fałszywych nadziei.

– W porządku, mamó – powiedział z tylnego siedzenia.

– Dzięki, synku.

Zerknąłem na nią. Miała uśmiech na twarzy. Mimo że się ze mną nie zgodził, byłem zadowolony, że tak zareagował. Po chwili rozmowa potoczyła się dalej – wałkowaliśmy temat charakterystyczny dla dzieci w wieku szkolnym: plan zajęć, plan zajęć i jeszcze raz plan zajęć. Gadaliśmy znowu swobodnie i zupełnie normalnie, a ja uśmiechałem się szeroko, gdy mknęliśmy przez równiny, mijając farmę za farmą.

Film skończył się, akurat gdy dotarliśmy na wybrzeże. Pierwsze światła w Lewes, które Rachel nazywała jako dziecko Pięcioma Punktami, oznajmiły nasze przybycie. Poczułem, jak napięcie zsuwa mi się po grzbiecie, jakby zasysał je asfalt. Kiedy skręciliśmy do Dewey Beach, wyciągnąłem szyję, zaglądając w boczną uliczkę, byle jak najszybciej zobaczyć piasek.

– Znowu te psy – jęknęła Rachel.

Moja żona nie cierpiała chartów. Choć to irracjonalne, na sam widok ich wrzecionowatych łap i chudych pysków zaczyna zgrzytać zębami. Zaśmiałem się, nie dlatego, że źle się poczuła, ale ze względu na ironię losu, że nasze ulubione miejsce na ziemi okazało się także miejscem corocznego zlotu hodowców chartów. Charty były wszędzie, spacerowały po Starboard i Rusty Rudder, gdzie w Dewey Beach toczyło się nocne życie. Charty wystawiały łby z okien samochodów i hotelowych balkonów. Doliczyłem się trzynastu, gdy czekaliśmy, aż zmieni się światło.

Rachel westchnęła z ulgą (wywołując śmiech nas wszystkich), kiedy wyjechaliśmy z miasta i ruszyliśmy drogą przez przesmyk między zatoką Delaware i Oceanem Atlantyckim. Moje dzieci, nawet jako nastolatki, uwielbiały widok starych wież strażniczych. Ogromne walce wznosiły się z piaszczystych wydm, stanowiąc część fortyfikacji mało znanego, lecz solidnego Fortu Miles z okresu drugiej wojny światowej. W czasie wojny był najeżony lufami armat, niektóre mogły wystrzelić ciężkie ładunki na odległość prawie pięćdziesięciu kilometrów. Teraz wieże stały ciche i nieruchome jak wartownicy z półokrągłymi okienkami strzelniczymi zwróconymi ku spokojnym wodom Atlantyku.

Czasami, przez całe życie naszych dzieci, porównywałem się do tych samotnych wież. Wyobrażałem sobie, że stoję na obrzeżach, jako budząca respekt postać na horyzoncie ich istnienia. Bezgłośnie zapowiedzią okrutnej kary groziłem każdemu, kto ośmieliłby się ich skrzywdzić. Kiedy jednak ból życia obmywał ich niczym fale oceanu, ciągly i niepowstrzymany, prawda stała się jasna. Moje groźby

były puste. Nie rozporządzałem żadnymi środkami zniszczenia. Zamiast tego, tak samo jak wszyscy rodzice, stałem obok bezsilny wobec bólu, który musiał stać się udziałem moich dzieci.

Przełknąłem tę myśl jak dużą gorzką pigułkę. Rachel zerknęła w moją stronę, ale szybko odwróciła wzrok. Myślę, że wyczuła moją sromotną klęskę. Dzieci rozmawiały na tylnym siedzeniu o tym, że po przyjeździe nad morze wybierzemy się do Candy Kitchen. Jechałem dalej, kojąca bliskość oceanu oczyściła świadomość z gorzkich myśli.

*

Tamtego wieczoru zabraliśmy dzieci do pizzerii Grotto w West Bethany. Serwowana w tej lokalnej sieci pizza była daniem budzącym najbardziej skrajne emocje w całym regionie. Ludzie przyjeżdżający tu nad morze od dzieciństwa zazwyczaj uwielbiali dziwny placek zwieńczony wirem różnych typów sera. Inni, którzy poznali ten specjał w późniejszym życiu, uważali go za paskudztwo. Oprócz mnie. Dla mnie i dla dzieci wypad do Grotto był żelaznym punktem programu każdej wycieczki nad ocean.

– Nie siedzicie przy popularnym stoliku – usłyszałem Laney.

Dzieci rozmawiały od jakiegoś czasu, podczas gdy ja i Rachel uzgadnialiśmy, co zamówić. Ledwo zwracałem na nie uwagę, ale to zdanie dotarło do moich uszu.

– Wcale tego nie powiedziałem, Laney, prawda?

– Tak powiedziała Jesse jej siostra. Mówi, że Max i Ben są wkurzający.

– I co z tego – odparł Jake.

– No bo są.

– Ty i Jesse zawsze chcecie mieć piwnicę tylko dla siebie. Dlatego tak mówisz. A ja nawet nie znam jej siostry.

– Siedzi przy tym fajnym stoliku – oświadczyła z dumą Laney.

– Właściwie nie ma czegoś takiego jak „fajny stolik”. Jest tak jakby stolik frajerski...

– Tak, wasz – powiedziała.

– Laney, bądź grzeczna – upomniałem ją.

Laney zmarszczyła czoło, zupełnie jak matka.

– Przecież jestem.

Ku mojemu zaskoczeniu Jake parsknął śmiechem. Myślałem, że będzie zdenerwowany albo poczuje się niepewnie, ale wyglądało na to, że pomyliłem się na całej linii. W tamtej chwili zobaczyłem, jak dobrze czuje się we własnej skórze.

Przyglądałem się im dwojgu, moim dzieciom. Ich rozmowa rozwijała się tak, jakbym nigdy wcześniej nie widział niczego podobnego. Oboje byli pewni siebie i szczęśliwi. Zerknąłem na Rachel i zauważyłem, że też ich obserwuje. Jej wyraz

twarzy odzwierciedlał, jak przypuszczałem, mój własny. W pewnym momencie przysunęła się i zetknęliśmy się barkami. Po sekundzie się odsunęła, jakby kontakt był przypadkowy.

– Dlaczego zawsze łązysz z tymi chłopakami? – Laney spytała Jake’a.

– Bo się przyjaźnimy.

– Lubicie tylko razem grać w ten durny futbol – stwierdziła, przybierając sztuczny akcent.

Roześmiali się.

– Nie. Często bawimy się też lalkami Barbie.

Udała oburzenie.

– Lepiej nie ruszaj moich lalek.

Uśmiechnął się jak szelma i zaczął udawać, że trzyma w rękach maleńkie, ufryzowane figurki.

– Och, Ken. Och, Barbie. Cmok, cmok.

– Jesteś dumny? – szepnęła do mnie Rachel z uśmiechem.

– Owszem, jestem. Jak jasna cholera.

– Ja też.

*

Po kolacji pojechaliśmy do domu. Zamiast wejść do środka, przemaszerowaliśmy półtorej przecznicy dalej, mijając po drodze domki ozdobione motywami żaglowców i okolone wspianiałymi werandami. Świetliki jarzyły się tu i ówdzie na tle linii drzew przy pustym parkingu, mruganiem światełek opowiadając swoje historie nocy. Z oddali przyzywał huczący pomruk oceanu. Powietrze pachniało słoną wodą i usłyszałem, jak inna rodzina na ulicy obok naszej śpiewa starą piosenkę:

Nad morzem,

Nad morzem,

Nad przepięknym morzem,

Ja i ty,

Ja i ty,

I lepiej być nie może.

Przystanąłem zastłuchany. Dziadek śpiewał nam tę piosenkę, kiedy raz wybraliśmy się na należącą do stanu plażę w Marylandzie. Nie znał jednak ostatniej linijki, więc kilka zwrotek zaśpiewał mruzcando i zakończył dźwięcznym „nad przepięknym morzem”.

Rodzina wyprzedziła mnie o kilka metrów i Rachel obejrzała się przez ramię zdziwiona, że się zatrzymałem.

– Co tam? – zapytała.

– Przepraszam, słuchałem tylko, jak śpiewają.

Dogoniłem ją i chciałem wyjaśnić znaczenie tej piosenki, ale moje myśli popłynęły w innym kierunku. Jak to z niektórymi piosenkami bywa, jej słowa potrafiły we mnie czuć strunę. Kiedy dzieci były małe, a zwłaszcza w tym trudnym okresie, gdy czułem, że są odcięte od świata (a może, że sam taki byłem), a Rachel i ja nie do końca odnajdywaliśmy się w swoich rolach, rozmawialiśmy o przeprowadzce nad morze. Rachel mogła dostać pracę w jakimś sklepie, a ja postarałbym się zebrać jak najwięcej zleceń na pisanie tekstów medycznych. W głębi lądu koszty utrzymania spadały do absurdalnego poziomu w porównaniu z domami nad samym oceanem, które kosztowały miliony dolarów. Może dalibyśmy sobie radę. Laney i Jake mieli morze i plażę we krwi. To było nasze ulubione miejsce, zawsze czuliśmy się tu szczęśliwi. Czemu nie zamieszkać tutaj na stałe?

Słowa piosenki mnie zaskoczyły: „Tatko jest bogaty, mama jest bogata, więc co nam tam?”. Trafiały w sedno. Każda decyzja w życiu wydawała się tak ważna. Pomyślałem, jak bardzo zależało mi na tym, żeby posłać dzieci do jak najlepszej szkoły. Nad morzem oferta edukacyjna była znacznie uboższa.

Problem ten zauważyłem przy pierwszych wywiadówkach szkolnych Jake’a. Przez całą szkołę należałem do dziesięciu procent najlepszych uczniów. Dolna ćwiartka składała się z dzieciaków, których wykształcenie musiało się nieodwołalnie skończyć na szkole średniej. Niektórzy w ogóle nie ukończyli liceum. Tylko mniej więcej połowa uczniów z mojej klasy poszła do czteroletniego college’u. Choć źle to zabrzmiało, dzięki temu, że zawsze byłem wśród najlepszych, wierzyłem w siebie i swoje zdolności.

Moje dzieci natomiast, głównie wskutek mojej własnej decyzji, by znaleźć dla nich najlepszą szkołę, lokowały się pośrodku stawki, bo od osiemdziesięciu do dziewięćdziesięciu procent uczniów kontynuowało edukację na czteroletnich

studiach, między innymi na takich uniwersytetach, których nazw niejeden z moich dawnych kolegów nie umiałby poprawnie zapisać. Moje dzieci postrzegają się w porównaniu z rówieśnikami jako przeciętne. Rachel i ja omawialiśmy ten problem w przeszłości, ale raz podjęte decyzje trudno było odwrócić.

Druga rodzina idąca na plażę zboczyła z drogi i zatrzymała się przy budce z lodami. Wróciłem myślami do terażniejszości. Dogoniłem dzieci i postukałem Laney palcem w lewy bark, ale wychyliłem się w prawo. Jake rzucił się na mnie jak rozbrykany szczeniak. Zaśmiałem się i całą trójką, z Rachel tuż obok, bawiliśmy się tak, aż dotarliśmy na plażę.

Wieczór okazał się jednym z najpiękniejszych, jakie pamiętam. Długie, podobne do palców obłoki płynęły przed ogromnym pomarańczowym księżycem w pełni. Jego światło odbijało się od powierzchni oceanu, malując ją całą paletą żółcieni, pomarańcze, czerwieni i fioletołów. Fale rozbijały się rytmicznie, a moje serce zdawało się dostrajać do natury. Chłodne powietrze zaczerwieniło mi policzki i orzeźwiało, a ja oddychałem głęboko, napawając się bajecznym pięknem. Tym właśnie, pomyślałem, jest dla nas, dla mojej duszy, ta plaża. Szczęściem i spokojem.

W pewnym momencie Rachel i ja zatrzymaliśmy się, a dzieci pobiegły przodem. Rozmawialiśmy ściszym głosem.

– Ostatnio było nam ciężko – powiedziałem.

Pokiwała głową.

– Nie ciężej niż innym. Myślę, że to po prostu taki etap w życiu.

Patrzyłem na bawiące się razem dzieci. Poczułem się tak, jakbym wrócił na plażę tamtego wieczoru dawno temu, kiedy Rachel i ja się zaręczyliśmy. Nabrałem ochoty, by wziąć Rachel za rękę, podzielić się z nią tą chwilą. Palce mi nawet zadrgały, ale nie wyciągnąłem dłoni. Bariera między nami stała się w tej chwili czymś cielesnym, fizyczną manifestacją tego, że być może oddalamy się od siebie. Mimo wszystko jednak przez cały czas dwie rzeczy nas łączyły – właśnie teraz obie hasały daleko przed nami.

Przyspieszyliśmy kroku i dogoniliśmy dzieci. Zapuściliśmy się tamtego wieczoru dalej niż zwykle, minęliśmy domki stłoczone na wydmach na południe od plaży i dotarliśmy aż na teren należący do stanu. Zauważyłem zarys furgonetki zaparkowanej nad samą wodą. Trzej mężczyźni siedzieli na składanych krzeselkach, trzymając w rękach długie wędkę, które wyglądały jak ogromne anteny. Rozmawiali ze sobą ściszymi głosami, tak że ich niskie szepty współbrzmiały z szumem oceanu. Zamachałem do nich i wszyscy trzej odwzajemnili się tym samym.

– Zawracamy? – spytałem.

– Patrzcie. Syreny – zawołała Laney.

Odwróciłem się w stronę wody. Kiedy poświata księżycy odbijała się od

falującej wody, refleksy światła tworzyły złudzenie połyskliwych postaci unoszących się na grzbietach fal.

– Widzę – powiedział Jake.

– Masz rację – orzekła Rachel. Była specjalistką od syren, osobą, która zwróciła moją uwagę na ich istnienie prawie dwadzieścia lat wcześniej.

Staliśmy i obserwowaliśmy je, podczas gdy kolejne minuty rozplywały się w gęstniejącym mroku. Objąłem Rachel ramieniem, a Laney oparła się o mnie. Rachel objęła Jake'a, który też do niej przylgnął. Otuliłem Laney drugim ramieniem i staliśmy tak razem, cała rodzina we wspólnym uścisku, w powiewach słonego powietrza. Czułem się spełniony i szczęśliwy. Chciałem, żeby ta chwila trwała całą wieczność.

*

Weekend minął zbyt szybko. Jazda do domu upłynęła nam w ciszy i spokoju, a dzieci drzemały na tylnym siedzeniu. Wróciliśmy w porze kolacji i postanowiliśmy zamówić jedzenie z P.F. Chang's. Laney i Rachel chciały odebrać zamówienie (bo ja prowadziłem przez całą drogę znad morza), w związku z czym wyszliśmy z Jakiem na podwórko i gdy słońce chyliło się ku zachodowi, rzucaliśmy sobie piłkę bejsbolową.

– Robi się zbyt ciemno – stwierdziłem po jakimś czasie.

Jake pokiwał głową. Bejsbol, w przeciwieństwie do wielu innych gier na świeżym powietrzu, stawał się o zmroku znacznie bardziej niebezpieczny. Piłka zniknęła w ciemnościach tylko po to, by pojawić się nagle pół metra przed nosem łapacza. Kilka pierwszych rzutów sprawiało frajdę. Potem prosilibyśmy się jednak tylko o kłopoty.

– Jestem głodny – powiedział Jake.

– Nakryjmy do stołu, żeby wszystko było gotowe na powrót dziewczyn.

Pomaszerowaliśmy do domu i przyszykowaliśmy stół do kolacji. Jake wyciągnął z szuflady ze sztućcami stare zestawy pałeczek, które razem z Laney najbardziej lubili. Ja z kolei wyjąłem serwetki i z lodówki w garażu przyniosłem piwo dla Rachel i pellegrino dla siebie. Kiedy wracałem do kuchni, usłyszałem, jak żona zajeżdża przed dom. W tej samej chwili zadzwonił telefon.

– To pewnie Max – zawołał Jake.

Spodziewałem się, że odbierze, ale telefon dzwonił dalej. Rozległy się już trzy dzwonki, zanim wszedłem do kuchni. Zmarszczyłem brwi i poszedłem odebrać.

– Nie... proszę – powiedział Jake.

– Dlaczego? Kto to?

Widziałem, że nie chce mi powiedzieć, ale bardzo rzadko uchylał się od odpowiedzi na zadane wprost pytanie.

– To Doug.

Uniosłem brew.

– Po prostu nie mam ochoty teraz z nim rozmawiać.

ROZDZIAŁ 22

DZIEŃ DRUGI

Najpierw dzwonię do Jen. Odbiera i słyszę smutek, jeszcze zanim się odezwie.

– Maksowi nic się nie stało?

– Nie. – Potem tama puszcza. – Tak mi przykro.

O dziwo, ale akurat teraz nie czuję zupełnie nic.

– Mogę z nim porozmawiać?

Jen milczy chwilę. To ogromna prośba z mojej strony, jeśli wziąć pod uwagę, co się stało. Mimo wszystko, właśnie dlatego nie może mi odmówić. Kiedy Max przejmuje słuchawkę, wiem, że jest gotowy.

– Max? Jak się czujesz?

– Spodziewałem się, że pan zadzwoni – mówi.

Głos mu się załamuje, a mnie znowu łzy napływają do oczu. Nie powstrzymuję ich ani nie ścieram, gdy lecą mi po policzkach. Nie łkam jednak ani nie pochlipuję. To łzy spokoju, ale zarazem bardziej autentyczne niż te, które wypłakałem do tej pory.

Milczę. Jakaś część mnie pragnie się dowiedzieć od Maksa wszystkiego. Z drugiej strony zupełnie nie mam pojęcia, co powiedzieć. Tak samo jak ci rodzice, którzy wystawali przed naszym domem, może zareagować gniewem, obwinić mnie albo co gorsza, Jake'a. Może wymieni wszystkie niepokojące oznaki w jego zachowaniu, które uszły mojej uwagi. Wątpię, żebym mógł sobie z tym poradzić, ale muszę się dowiedzieć.

Odzywam się dziwnie żelaznym tonem.

– Porozmawiaj ze mną, Max.

– On tego nie zrobił, panie Connolly. Wiem, że nie.

Biorę głęboki wdech. Serce, które krwawi mi już ze względu na syna, rodzinę i ofiary strzelaniny, kraje mi się teraz ze względu na Maksa.

– Wiem, że trudno to pojąć. Nie wiem, co ci powiedzieć, Max. Tak mi przykro.

– Nie, mówię poważnie. Wiem, że niczego nie zrobił.

Mój mózg wydaje się odrętwiały, kiedy dociera do mnie, co chłopak powiedział. Wciąż uważam, że to po prostu wyparcie. Jego młody umysł nie może zrozumieć czegoś tak strasznego, więc nagina rzeczywistość do swoich wyobrażeń. Rozumiem to; wydawało mi się, że u Laney dostrzegłem to samo. Ale coś w tonie jego głosu, w sposobie, w jaki to oświadcza, sprawia, że ciarki chodzą mi po całym

ciele. Jest bardzo prawdopodobne, że Max zna mojego syna lepiej niż ja.

– Skąd wiesz? – pytam szeptem.

Zanim odpowie, boję się tego, co zaraz usłyszę, bo w tym ułamku sekundy naprawdę wierzę, że mój syn nie odpowiada za tę straszliwą tragedię. Mogę dać upust skłębionym emocjom, których dotychczas nawet nie rozumiałem. Max wpuścił promyk niesamowitej nadziei, która opuściła mnie na kilka godzin po tym, gdy zaczął się ten koszmar. Może Jake wróci do mnie do domu, do nas.

– Bo wiem. Znam Douga. To wariat. Jake był dla niego po prostu miły, właściwie tylko on. Zawsze próbował go chronić. Nigdy nie rozumiałem dlaczego... Teraz może bardziej. Sam nie wiem.

Słyszę, że płacze. Wyobrażam sobie, jak trudno musi być siedemnastoletniemu samcowi płakać do telefonu w rozmowie z innym samcem. Zdaję sobie jednak sprawę, że Max nie może myśleć teraz w ten sposób.

– W porządku, Max. To w ogóle nie jest twoja wina.

Uspokaja się. Słyszę, jak przetyka ślinę i chrząka.

– Dziękuję – mówi.

– Domyślasz się, gdzie może być Jake? Gdzie go mogę znaleźć?

– Widziałem się z Jakiem tamtego dnia rano, panie Connolly. Rozmawiałem z nim. Powiedział, że pójdzie do Douga do domu. Musiałem powiedzieć policji prawdę. Ale nie chcieli słuchać całej reszty.

– Jakiej reszty?

Znowu odchrząknął.

– Wyglądał na przestraszonego. Mam na myśli Jake'a. Nigdy wcześniej nie widziałem go w takim stanie. To twarde. Właściwie nigdy niczym się nie denerwował.

W innych okolicznościach słuchanie, jak przyjaciel mojego dziecka mówi szczerze o sile jego charakteru, byłoby czymś wspaniałym, duchową ucztą. Teraz jednak wsłuchuję się w jego słowa z zupełnie innego powodu. Pragnę się dowiedzieć, skąd u Maksa ta pewność.

– Powiedział mi, żebym trzymał się od Douga z daleka. Powiedział, że coś jest z nim nie tak, że świruje. Jake czuł, że musi do niego pójść, upewnić się, że Doug nie zrobi sobie krzywdy.

Słowa Maksa stały się dłutem, kruszą to, czego najbardziej się obawiałem.

– Nie mówił nic o zrobieniu krzywdy innym?

– Nie – odpowiada Max z całą stanowczością. – Jake nigdy nie zrobiłby nikomu nic złego. Sam pan na pewno wie.

Wiedziałem. Tak, całkiem możliwe, ale zapomniałem.

– Czy powiedział coś jeszcze?

Max milczy chwilę. Kiedy się znowu odzywa, w jego głosie słychać wyrzuty sumienia i niepewność.

– Powiedział, bym przekazał panu, że mu przykro.

Oczy mnie pieką, gardło się ściska; nie mogę przełknąć śliny. Osuwam się na krzesło, nogi odmawiają mi posłuszeństwa.

Było mu przykro. Dlaczego? Nie rozumiem. Co takiego zrobiłem? Co umknęło mojej uwadze? Zawiodłem swojego syna. Zawiodłem na najważniejszym odcinku: nie ochroniłem własnego dziecka. Nic nie miało już sensu.

– Co miał na myśli? – szepczę. Do siebie czy do Maksa, sam nie jestem pewien.

– Nie wiem. – Max znowu wybucha płaczem.

Przez jakiś czas obaj płaczemy do telefonu, bez żadnych zahamowań. Wreszcie nie mogę tego dłużej wytrzymać.

– Muszę kończyć.

– Tak mi przykro, panie Connolly... – łka Max.

– Jesteś wspinałym przyjacielem.

Rozłączam się i chowam głowę w dłoniach. Ciężar mojego ciała wciska mnie w krzesło. Nie mam czucia w rękach ani nogach. To się nie może dziać naprawdę. To musi być jakiś żart, jakiś ponury, okrutny żart.

Jedno jest teraz pewne. Muszę się dostać do domu Martinów-Kleinów. Wiem na pewno, że właśnie tam Jake poszedł wczoraj rano. Chwytam zapasowe kluczyki i idę przez pokój telewizyjny do garażu. Jest pusty i dopiero teraz przypomina mi się, że policja ma mój samochód, a Rachel odjechała swoim.

– Kurwa mać. – Walę pięścią o ścianę. Wbiegam z powrotem do domu i wkładam buty do biegania. Dom Martinów-Kleinów jest osiem kilometrów dalej, mniej więcej kilometr od szkoły. Wybiegam frontowymi drzwiami i pędzę przez tłum, który znowu zebrał się przed domem. Czuję ponury dreszcz emocji, gdy kilku ludzi próbuje dotrzymać mi kroku, ale zostają w tyle, jak ujadające pieski w pogoni za samochodem. Powietrze owiewa mi twarz; czuję, że żyję. Jestem teraz samym działaniem. Nic mnie nie powstrzyma.

To najszybciej przebiegnięte osiem kilometrów mojego życia. Umysł wyłącza się, a stopy tupią o asfalt. Czuję się jak średniowieczny rycerz, gdy pędzę naprzód obojętny na ból mięśni i spojrzenia gapiów. Mam jedną i tylko jedną myśl: dostać się do domu Martinów-Kleinów.

Kiedy docieram na ich ulicę, zatrzymuję się i zginam wpół. Z rękami na biodrach dyszę ciężko i rozglądam się dookoła. Tak jak u nas, posesję okala tłumek gapiów. To jednak inna grupa. Dom Martinów-Kleinów jest nie tylko zaciemniony, ale też wygląda na od dawna opuszczony. Chociaż kilku reporterów stoi w obrębie światła rzucanego przez latarnię pół przecznicy dalej, reszta chowa się w mroku. Czuję się zagrożony.

Przystanąwszy tylko na chwilę, ruszam po podjeździe do domu. Ci ludzie mnie nie powstrzymają, znajdę Jake'a i tak. Kiedy przechodzę wśród nich, sypią

się na mnie pogroźki, ale nikt mnie nie tyka. Mijam ich i docieram do pustej przestrzeni wokół domu. Pustka sprawia takie wrażenie, jakby tłum bał się za bardzo zbliżyć. Boją się, że ktoś ich zaatakuje czy że zarażą się tym, co sprawia, iż człowiek zachowuje się tak, jak zachował się Doug?

Podchodzę do drzwi. Łomoczę w nie pięścią. Kiedy stoję na progu, widzę, jak mój cień na murze domu się powiększa, i orientuję się, że jestem filmowany. Przypominam sobie, jak stałem w otwartych drzwiach własnego domu, i czuję, że posuwam się za daleko.

Równocześnie czuję, jak drgają atomy mojego ciała. Tak jakbym miał zaraz pęknąć i rozsypać się po całym wszechświecie. Uderzam pięścią w szybę. Załaskotała, ale się nie rozbiła. Tłum za moimi plecami podchodzi bliżej, jak lincownicy z pochodniami. Odstępuję o krok od drzwi. Jestem gotów bić się z każdym z nich. Potem rozwalę drzwi i wydobędę od ojca Douga wszystko, co wie. Jeszcze jeden krok i przede mną pojawia się młoda kobieta. Wygląda na reporterkę, ale jej spojrzenie nie jest zblazowane. Patrzy na mnie inaczej niż reszta, nie tak, jakbym był dzikim zwierzem w zoo.

– Mamy w wozie radio, podsłuchujemy policjantów. Jadą tu. Ktoś ich wezwał. Niech pan stąd znika, zanim przyjadą. To nie będzie dobrze wyglądać.

Przekrzywiam głowę. Ta scena zupełnie nie ma sensu. Absurdalne, że dziennikarka radzi mi, żebym uciekał, mimo że straci szansę na nagranie najbardziej sensacyjnego wydarzenia wieczoru. Nieprawdopodobne. Ten przejaw człowieczeństwa wzrusza mnie do głębi.

– Dziękuję – mówię półgłosem. I biegnę do domu.

Wracam do pustego mieszkania. Gorzej, nie mam samochodu. Postanawiam zadzwonić do detektywa prowadzącego śledztwo. Zażądam udzielenia informacji. Zażądam odpowiedzi. Ale nie mogę, bo każą mi czekać na linii.

Z telefonem przy uchu, włączam telewizor. Dla naszego pokolenia to pierwszy odruch, kiedy pragniemy się czegoś dowiedzieć. Nasze dzieci szukają najnowszych wiadomości w Internecie. Dla mnie telewizja wciąż jest królem.

Od razu orientuję się, że coś jest nie tak. Na ekranie pojawia się gruby czerwony pasek z napisem: Z OSTATNIEJ CHWILI. Czytam informacje wyświetlane na pasku, zupełnie nie zwracając uwagi na to, co mówi elegancko ubrany mężczyzna w średnim wieku o skroniach przyprószonych siwizną. A tam: *Strzelanina w szkole w Kansas. Wśród ofiar wymienia się czworo uczniów i nauczyciela. Źródła policyjne podają, że głównym podejrzanym jest niejaki Jeff Jenkins.*

Przenoszę uwagę na prezentera.

– Z pierwszych doniesień wynika, że Jeff Jenkins dostał obsesji na punkcie strzelaniny szkolnej, do której doszło w tym tygodniu w Delaware. Na Facebooku, zanim jego strona została zablokowana, znaleźliśmy post: „Trzynaście to nic.

Zaczekajcie, co będzie dalej”.

Zmieniam kanał, wciskam guzik pilota z taką siłą, jakbym mógł wykasować w ten sposób to, co usłyszałem. Kanał informacyjny kabłówki pokazuje właściwie to samo, teraz program prowadzi młoda kobieta w mocno wyciętej jedwabnej bluzce, na którą ma dość niedbale narzuconą ciemną marynarkę. Nienagannie uczesany mężczyzna o pulchnych policzkach odziany w dobrze skrojony czarny garnitur uśmiecha się drwiąco z ekranu. Mówi tak, jakby jego słowa niosły mądrość, o której jego zdaniem reszta z nas zapomniała.

– Rodzice powinni byli wiedzieć. Powinniśmy byli się tego spodziewać. Wszyscy mówią, że Jeff Jenkins był dziwny. Trzymał się z boku, nie miał prawdziwych przyjaciół. To samo widzimy w przypadku strzelaniny w Delaware. Szkoły i niech Bóg mi świadkiem, rodzice, muszą identyfikować tego typu dzieciaki, póki one nie zrobią komuś krzywdy. Otwórzcie oczy, ludzie. Przyjrzyjcie się swoim pociechom. Jeśli siedzicie sobie w fotelach i myślicie: „Kurczę, mały Johnny jest inny”. Ale wmawiacie sobie, że jest po prostu wyjątkowy, to mówię wam, jesteście współwinni morderstwa. Proszę, wydusiłem to z siebie. Niech ktoś udowodni mi, że się mylę.

Prowadząca czuje się wyraźnie nieswojo.

– Chwileczkę. Chciałabym zapewnić, że to nie jest pogląd podzielany przez tę stację telewizyjną.

Wściekłość wre mi pod skórą, rozgrzewając ciało, podczas gdy tandetna muzyka gra mi w uszach. Znowu wciskam guzik pilota. Niech ktoś pokaże mi jeszcze większe plugastwo.

– Introwertyzm jest oczywiście typem osobowości. Znamy wiele osób, które odniosły w życiu rozmaite sukcesy, a które można określić w ten sposób. Tacy ludzie spoglądają raczej w głąb siebie niż na zewnątrz. Szukają spokoju w przeciwieństwie do hałasu. Idealny wieczór to dla nich wieczór spędzony w domu, a nie na imprezie – mówi profesorskim tonem pani w średnim wieku.

Prowadząca kiwa głową i uśmiecha się półgębkiem. Kiedy się odzywa, jak smród z szamba bije od niej święte oburzenie.

– A także zabijają, czyż nie, doktor Gregory?

Wyłączam telewizor. O dziwo, gniew mi pomaga. Mój umysł chwyta się jednego zdania komentarza – „Tak jak widzimy w przypadku strzelaniny w Delaware”. Facet w telewizji mówił o dziecku bez prawdziwych przyjaciół. Nigdy nie zapomnę łkania Maksa. Nigdy. Tak brzmi płacz prawdziwego przyjaciela cierpiącego po stracie kogoś bardzo bliskiego. Facet się mylił.

Tandetna muzyka w telefonie zaczyna mnie drażnić. Spoglądam na ekran telefonu. Każą mi czekać od ponad dwudziestu minut. Drgam z zaskoczenia, gdy ktoś puka do drzwi. Kończę połączenie z posterunkiem policji i idę otworzyć. Przede mną stoi Jen, oczy ma zaczerwienione, a twarz bladą jak całun.

– Mogę wejść?

Kiwam głową.

Kiedy cofam się od drzwi, żeby ją wpuścić, widzę blask lamp błyskowych. Robią zdjęcia, jak przyjmuję w domu inną kobietę. Wspaniale.

Siadam, nie proponując Jen, żeby usiadła. Stoi. Podnoszę wzrok i widzę, że płacze. Wszyscy płaczą. Moje życie zmieniło się w szmerzący potok rozpacz.

– Była następna strzelanina.

– Wiem – lka. – Musiałam przyjechać, żeby sprawdzić, czy nic ci nie jest.

– Mówią, że dzieciak zrobił to, bo wzorował się na nas. – Przez chwilę wydaje się dziwne, że uznaję tę tragedię za własną, ale teraz rzeczywiście jest nasza. Nikt, kogo te wypadki dotknęły, nigdy się od niej nie uwolni. Nigdy. Jeśli nie weźmiemy jej w posiadanie, ona weźmie w posiadanie nas.

– Muszą znaleźć jakieś wyjaśnienie, żeby poczuć się lepiej. Tylko o to chodzi. Kiedy nie umieją zracjonalizować tego, co się stało, zamkną w jakimś gustownym, ładnie oznakowanym pudełeczku, nie mogą w nocy spać... Sama też tak robiłam. Ale teraz widzę, jakie to może być okropne. Wygląda, jakby chcieli babrać się w naszym życiu tak długo, aż będziemy nadzy i nie zostanie nic do ukrycia, a wszystko tylko po to, żeby sami poczuli się lepiej. Dłubią w naszym cierpieniu, analizują, z czego się składa, odsłaniając kolejne warstwy, jakby kroili żywą tkankę, tylko po to, żeby przekonać samych siebie, że są na nie odporni. To tak jak ktoś, kto cierpi na straszliwą chorobę, dowiaduje się, że ktoś inny ma w życiu jeszcze gorzej, i pyta: „Dlaczego? Dlaczego masz w życiu gorzej niż ja? Czym twoja sytuacja różni się od mojej? Powiedz mi, żebym mógł wrócić z lepszym samopoczuciem do domu, podczas gdy ty zostaniesz tu i umrzesz”.

Płacze. Chcę wstać, objąć ją i przytulić, ale nie jestem już w stanie dać nikomu pocieszenia. Jestem wyczerpany.

Jen ciągnie:

– Wiesz, to udowodnione. Jeżeli dojdzie do samobójstwa i media rozpowszechnią tę informację, zwłaszcza w typowym dla siebie sensacyjnym opakowaniu, liczba samobójstw w okolicy wzrasta. To udowodnione. Dzieciaki nie mogą kupować papierosów, ponieważ mogą umrzeć pięćdziesiąt lat później. Ale mogą oglądać wiadomości telewizyjne, mimo że te mogą je zabić już za trzy dni.

– Jen – odzywam się, reagując na napięcie w jej głosie.

– Nie, mówię poważnie. Jeśli to prawda w przypadku samobójstw, a prawda, dlaczego w przypadku strzelaniny w szkole nie miałoby być tak samo? Na świecie nie brakuje dzieciaków na krawędzi. Czy nie powinniśmy raczej starać się ich nie spychać w przepaść? Może ten dzieciak rzeczywiście wzorował się na małym Martinie-Kleinie, ale może też nie posunąłby się do zbrodni, gdyby te sępy po prostu przestały kłapać dziobami i robić z zaburzonych dzieciaków gwiazdorów.

– Już dobrze. – Czuję się bezsilny, nie mogę jej uspokoić. – Wszystko będzie

dobrze. – Moje słowa są puste.

– Nie, nie będzie. – Wyrzuca ręce w górę i zakrywa twarz. – O Boże, tak mi przykro. – Śmieje się, w jej głosie nie ma ani krzty wesołości. – A przyjechałam, żeby cię pocieszyć.

Nie mogę dłużej wytrzymać. Wstaję i obejmuję Jen. Kiedy biorę ją w ramiona, wyobrażam sobie reporterów, którzy podkradają się do okien, wchodzą sobie na głowy i wyciągają szyje, żeby zajrzeć do środka, aż wreszcie cykają zdjęcie za zdjęciem mojej rzekomej niewierności małżeńskiej. Myślę o Laney i o tym, jak by się wtedy poczuła. W moich wnętrznościach szaleje burza, skracająca się w trąbę powietrzną wichura neuronów i wyrzutów sumienia. Odsuwam się od Jen, nie mogę na nią spojrzeć.

– Chyba potrzebuję teraz samotności – mówię.

Jen dygocze, ale kiwa głową. Wycofuje się do drzwi.

– On tego nie zrobił – wyrzuca jej się. – To świetny chłopak. Najlepszy. Nie daj sobie wmówić, że jest inaczej. Nie pozwól na to. Obiecuj mi!

Wpatruję się w nią.

– Obiecuj mi, Simon! Naprawdę! – krzyczy. Drży na całym ciele. – Nie daj im tak go skrzywdzić.

Spóźniła się. Rozum już mi wrócił. Jakże nie mógłby nigdy zrobić czegoś takiego. Wiedziałem to od początku.

– Nie odchodź – mówię.

– Słucham?

– Potrzebuję twojej pomocy.

Jen wygląda na zagubioną.

– Okay.

– Potrzebuję twojego samochodu.

ROZDZIAŁ 23

DZIEŃ DRUGI

Siedzę już w samochodzie Jen, kiedy dzwoni Rachel.

– Widzę, że masz gościa – mówi, gdy tylko odbieram.

– Słucham?

– Jen.

Czuję się zupełnie zagubiony, przez sekundę myślę, że Rachel wynajęła prywatnych detektywów, którzy prowadzą inwigilację naszego domu, co jest zupełnie absurdalne. Dopiero po chwili przypominam sobie o ekipach telewizyjnych na podwórku.

– Zadzwoiłem do Maksa.

Rachel milczy chwilę. Kiedy się odzywa, mówi chłodnym tonem, z rezerwą.

– Co powiedział?

– Że Jake nie mógłby nikogo skrzywdzić.

– Wiem. Co jeszcze?

– Powiedział, że Jake bał się Douga. Był naprawdę zdenerwowany.

– A Jen? – pyta.

– Nie wiem. Nic. Słuchaj, musimy znaleźć Jake’a.

Parska śmiechem.

– A twoim zdaniem co właśnie robię?

Teraz ja zamilkłem. O dziwo, nie mam pojęcia, co Rachel myśli. Odkąd to wszystko się zaczęło, nasze rozmowy stały się w najlepszym razie zdawkowe i urywane. W najgorszym, nic porozumienia między nami zupełnie się zerwała.

– Nie wiem – mówię.

– Zadzwoiłam na policję i zagroziłam pozwem, jeśli szybko nie znajdą Jake’a. Traktują go jako podejrzanego, a nie ofiarę, więc nie obchodzi ich, że może gdzieś leżeć ranny, bez pomocy.

Słowa wyrwywają mi się z ust, zanim je przemyślę.

– Przedtem myślałaś, że nie żyje.

– Nie mogą go zostawić samego nie wiadomo gdzie. Bez względu na wszystko.

Kręci mi się w głowie. Mam ochotę na nią nawrzeszczeć, powiedzieć jej, że nic nie wie. Ale zdaję sobie sprawę, że sam nic nie wiem. Jakąś częścią duszy wierzę, że Jake żyje, może jest ranny, ale żyje. Reszta jest po prostu odrętwiała, bezmyślna.

Wracam do jedynej prawdy, która nas łączy. Musimy znaleźć naszego syna.

– Myślę, że to wszystko wiąże się z tym, co działo się z Alekssem Rainesem. Możesz zapytać policję, sprawdzić, czy były jakieś skargi? Próbowałem znowu zadzwonić się do jego ojca, ale nie chce odebrać.

– Postaram się – powiedziała Rachel. – Jadę właśnie na posterunek. Mogą uznać, że nie ujawnię mi informacji, ale spróbuję.

– Ja jadę go szukać.

– Nie masz samochodu.

– Mam samochód Jen.

– Dobrze.

Rachel się rozłącza, a ja wyglądam przez szybę na tłum otaczających mnie ludzi. Dłużej tego nie zniosę. Nie obchodzi mnie już, co myślą inni. Wyprostowany, z wypiętą piersią, wysiadam z wozu. Widzi mnie kilkunastu reporterów, którzy zlatują się do mnie jak sępiki do padliny przy szosie. Ta padlina wciąż jednak ma kły.

Podtykają mi pod nos mikrofony, gdy powietrze przecinają pytania boleśniejsze niż kule z pistoletów.

– Co ma pan do powiedzenia rodzinom ofiar?

– Jak mógł pan nie zauważyć morderczych skłonności u syna?

– Co ma pan do powiedzenia ludziom, którzy uważają, że powinien pan ponieść odpowiedzialność?

Czekam, aż pytania ucichną. A potem kontratakuję.

– Pozwólcie państwo, że zadam wam wszystkim jedno pytanie – mówię z nadzieją, że mój głos brzmi tak stanowczo, jak mocno wierzę w swoje słowa.

– Czemu policja nie odnalazła mojego syna?

To niesamowite, ale jedyną odpowiedzią, jaka mnie spotyka, jest milczenie. Robi się tak cicho, że słychać warczące w tle silniki wozów transmisyjnych. Jeden reporter kablówki (jeśli wierzyć plakietce na mikrofonie) przepycha się do przodu. Widać, że za zmrużonymi oczami i zarumienionymi policzkami czai się człowiek o jasnym, wyrobionym zdaniu.

– Bo uciekł. Mamy nadzieję, że znajdą go szybko, zanim zginie więcej dzieci – stwierdza.

– A dokąd to mógłby uciec siedemnastolatek? Czy zdarzyła się kiedykolwiek tego rodzaju strzelanina, której sprawca zdołałby zbiec? Odpowiedź brzmi: nie. A policja nie znalazła jeszcze mojego syna dlatego, że szuka podejrzanego, a nie jego.

Co najmniej połowa reporterów zdaje się rozumieć, co mają: nowe spojrzenie, coś nieoczekiwanego, co można zrelacjonować. Widzę głód w ich oczach i wiem, że dadzą mi się wypowiedzieć.

– Kiedy zaginie dziecko, zbiera się grupy wolontariuszy, którzy przeczesują okolicę, uruchamia się specjalną linię telefoniczną... ludzie pomagają i współczują.

Dlaczego nikt nie pyta o Jake'a? Dlaczego nie pyta, czy nic mu się nie stało? Ano dlatego, że został potępiony, a na podstawie jakich dowodów?

Głęboko w mojej przedniej kieszeni odzywa się telefon. Może to Rachel, ale coś mi mówi, że raczej Jonathan. Jeśli moją wypowiedź transmitują na żywo, to przypuszczam, że Jonathan zaraz dostanie udaru. Nie odbieram.

– Z tego, co mi wiadomo, policja nie dysponuje żadnymi nagraniami, które wskazywałyby choćby na to, że mój syn w ogóle przebywał na terenie szkoły podczas strzelaniny. Gdzie są wasze żelazne dowody? Wpis na Facebooku? Korespondencja mejlowa nastolatków? Sprawdźcie aktywność internetową własnych dzieci. Prawdopodobnie odkryjecie, że jest niepokojąco podobna.

– Zamiast pikietować przed moim domem, lepiej pójdźcie szukać Jake'a. Pomóżcie mi go znaleźć, proszę.

Odjeżdżam, zostawiając tłum dziennikarzy za sobą. Jadę do Martinów-Kleinów. Tym razem nie obchodzi mnie, co kto sobie pomyśli. Jadę znaleźć Jake'a.

ROZDZIAŁ 24

DZIEŃ DRUGI

Po drodze próbuję się do nich dodzwonić. Ktoś odbiera, ale się nie odzywa.

– Halo? – pyta wreszcie kobiecy głos.

To mnie rozbija. Byłem gotów nawymyślać im, dać doktorowi Martinowi-Kleinowi popalić, chociaż nie miałem pojęcia, jak by to mogło brzmieć. Głos matki Douga zbija mnie z tropu. Nigdy przedtem z nią nie rozmawiałem.

– Czy to...

Wiem, że zamierzała powiedzieć „tata Jake’a”. Gardło mi się ścisza i zamykam oczy.

– Halo – odpowiadam.

– Och. Tu Mary... Martin-Klein. Tak mi przykro, panie Connolly. Nie ma pan pojęcia, jak bardzo. Pana syn był dobrym chłopcem. Takim dobrym i miłym. Zawsze był miły dla... miły. Mam nadzieję, że pan wie. Nie rozumiem, jak to się stało.

Jestem wewnętrznie poharatany, a przez rany niczym ropa sączy się jad. Nie jestem z siebie dumny i nie jestem opanowany.

– Jak mogła pani nie wiedzieć? Nie przyglądała się pani własnemu dziecku? Co, po prostu dała mu pani biegać bez opieki, robić, co tylko chciał? Nie rozumiem! Jak mogła pani nie wiedzieć? Jak można być takim ignorantem?

Ostatnie słowa zawisają w powietrzu. To wystarcza, by obudzić ludzkie uczucia. Trzęsę się od stóp aż po szyję. Czy mógłbym szczerze przyznać, choćby przed samym sobą, że wiem wszystko o własnym synu?

– Przepraszam – mamroczę.

Mary Martin-Klein płacze. Nie rozłącza się ani nie zakrywa słuchawki. Ten dźwięk rani prawie tak głęboko jak moje słowa. Przynajmniej tak sobie wmawiam.

– Przepraszam – powtarzam. – Ja tylko...

Ale co właściwie można w tej sytuacji powiedzieć? Jestem nie lepszy od całej reszty. Ku mojemu zdziwieniu płacz milknie. Wraca jej głos – silny, niesamowicie wytrzymały.

– Myślę, że Jake... – zaczyna. Brzmienie imienia mojego syna jest dla mnie wstrząsem, ale staram się skupić uwagę na tym, co pani Martin-Klein ma do powiedzenia. – ...przyszedł do naszego domu w dniu... wczoraj rano. Przyszedł tutaj.

Nagle zaczyna mnie mdlić.

– Co pani chce przez to powiedzieć?

– Był tutaj. Policjanci mi powiedzieli. Znaleźli krew, ślady jego krwi w... w... naszej kuchni.

– W waszym domu?! Widziała go pani?

Jej głos zdaje się docierać gdzieś z oddali.

– Od tak dawna nas nie odwiedzał. Ja... Nie. Nie sądzę, żeby Jake zrobił krzywdę tym dzieciom.

– Jestem prawie pod pani domem. Czy tym razem mnie pani wpuści? Nie ma policji?

– Tak – szepcze.

Czuję, że to nie jest cała odpowiedź, ale się rozłączam. Jej słowa huczą mi w myślach, wszystko inne nieruchomieje jakby skute lodem. Nadmiar bodźców sprawia, że umysł się wyłącza. Skupiam uwagę na sobie – nie na Jake’u, lecz na tym, co właśnie zrobiłem, na tym, że tak ostro i mściwie potraktowałem matkę, która wycierpiała nie mniej, a może i więcej, ode mnie. Czy jestem zły?

*

Kiedy podjeżdżam pod dom, moja pierwsza myśl dla mnie samego jest zaskoczeniem. Spodziewam się, że ogarnie mnie gwałtowna nienawiść i przytłaczający żal. Obie emocje spadają na drugie miejsce.

W chwilach słabości, w czasie tych kilku godzin, gdy pozwoliłem światu wmówić mi, że mój syn jest mordercą, zapomniałem, jak drobną rolę Doug odgrywał w życiu Jake’a przez te wszystkie lata. W sumie bawili się ze sobą i odwiedzali nawzajem przez jakieś półtora roku. Później Doug stał się tylko znajomym, choć jak się teraz dowiaduję, mój syn starał się mieć na niego oko w szkole.

Wyskakuję z samochodu i biegnę chodnikiem, usiłuję oddychać normalnie, ale dyszę jak zgrzany pies. Mam ściśniętą klatkę piersiową, mój palec zawisa nad dzwonkiem do drzwi. Muszę się dostać do środka, znaleźć Jake’a, ale myśl o stanięciu twarzą w twarz z rodzicami Douga Martina-Kleina jest przytłaczająca.

Nie zdążyłem nawet zadzwonić, a drzwi się otwierają. Flesze błyskają za moimi plecami, gdy za siatką moskitiery pojawia się Mary Martin-Klein. Może błyskały już wcześniej, nie wiem.

– Proszę wejść – słyszę.

Próbuję stłumić kipiącą we mnie wściekłość, ale na próżno.

– Była tu pani wcześniej, kiedy pukałem. Wiem.

Kiwa głową.

– Mój mąż wyjechał. Bałam się. Ja...

Spoglądam w głąb domu. Spodziewając się, że ujrzę tam doktora Martina-Kleina, uświadamiam sobie, że moja złość jest skierowana wyłącznie przeciwko niemu. A ona mi mówi, że go tu nie ma.

– Odszedł. Nie wiem dokąd. Po prostu zniknął – mówi. – Nie mogę odejść. Adwokat poradził, żebyśmy opuścili dom. Ale nie mogę.

– Gdzie jest Jake? Widziała go pani? Powiedziała pani, że przyszedł tu w dniu strzelaniny?

Mary Martin-Klein nie odpowiada. Czuję się tak, jakbym czekał, aż przemówi do mnie czysta kartka papieru. Rozumiem. Zaglądając jej w oczy, widzę, że wymierza sobie karę. Cierpienie w akcie pokuty. Mary Martin-Klein uważa się za morderczynię.

To jedna z chwil, gdy sama moja istota, wszystko, co czyni mnie tym, kim naprawdę jestem, zostaje wystawiona na próbę. Wiem to, nawet teraz. Podchodzę do mamy Douga i biorę ją w objęcia. Przytulam ją, a świat za moimi plecami wybucha w erupcji szału. Słyszę krzyki. Lampy błyskają jak niebo podczas nawałnicy. Zagłuszam to wszystko szeptem do matczynego ucha.

– To nie pani wina.

Nigdy w życiu nie byłem niczego tak pewien jak tych słów. Czuję, jak jej ciało wiotczeje, jakby kości obróciły się w pył. Podtrzymuję kobietę i dźwigam cały jej ciężar, jakbym niósł worek pierza. Dygocze gwałtownie i wyobrażam sobie, jak jej demony ulatują w powietrze, by od tej pory zadrzeć kogoś innego.

To jednak nieprawda. Moje słowa nie mogą jej uleczyć. Demony wrócą, bo zawsze wracają. Kiedy się ode mnie odsuwa, ma ciemne kręgi pod oczami – wyglądają jak krawędzie dwóch otworów odpływowych w zlewie, które lada moment mogą się rozszerzyć i pochłonąć ją w całości.

– Znaleźli ślady... był tutaj – mówi.

Idę za nią do kuchni. Na podłodze z linoleum wciąż widać oznaczenia żółtym flamastrem pozostawione przez ekipę techników kryminalistyki. Klękam obok nich i wiem, że mój syn stał niedawno w tym miejscu żywy, ale nie wiem, jak długo. Niczego nie pragnę tak bardzo, jak cofnąć czas, uklęknąć tu na kilka sekund, zanim skapnęła krew. Wtedy mógłbym go obronić, stanąć przed nim i odeprzeć zagrożenie dobrze mi znane, a nie to, które czaiło się w cieniu i nie odstępowało mojego syna przez tak wiele lat.

– Policja wiedziała – szepczę.

Wyciągam rękę i dotykam zakrzepniętej krwi syna. Muskam ją koniuszkiem palca i cofam dłoń. Niczego tu dla mnie nie ma. Nie czuję się ani bliżej Jake'a, ani dalej od niego. Plamka pozostaje tylko plamką. Tutaj nie znajdę syna.

Kiedy podnoszę wzrok, Mary nie ma. Nie wiem, dokąd poszła. Jestem sam w kuchni sprawcy szkolnej strzelaniny. A mimo to nie mogę znaleźć swojego Jake'a.

ROZDZIAŁ 25

TYDZIEŃ PRZED STRZELANINĄ

Może moje życie jest tylko serią banalnych chwil w cieniu wielkiej tragedii. We wtorek wieczorem byłem głodny. Wróciliśmy z Jakiem z mitingu lekkoatletycznego i pogałem do kuchni, żeby zajrzeć do garnka z żeberkami wieprzowymi, które zalałem butelką sosu barbecue i postawiłem na wolnym ogniu. Wziąłem dwa widelce i zacząłem rozdrabniać mięso na długie włókna. Gdybym wcześniej pokroił je w kostki, potrawa wyglądałaby lepiej, ale całe popołudnie pracowałem nad przemówieniem dla dyrektora wykonawczego organizacji non profit. Stawka była do dupy w porównaniu z tym, jak zwykle płacono mi za teksty medyczne, ale tematyka mnie interesowała.

Rachel i Laney siedziały w dużym pokoju. Obie czytały. Laney przeglądała numer magazynu „People”, podczas gdy żona przedzierała się przez analizę prawną, którą czytała na iPadzie. Mój wzrok przyćmiła znajoma lekka irytacja, jaka nieprzyjemnie zabarwiła miły skądinąd rodzinny widok. Miałem do żony pretensje o to, że jest pracoholiczką, a jednocześnie zastanawiałem się, dlaczego Laney zamiast kolorowego czasopisma nie czyta zadanej lektury. Już miałem powiedzieć coś w rodzaju: „Czy rozdrobniłyście wieprzowinę?”, ale w porę ugryzłem się w język. Z biegiem lat nabrałem w tym niezłej wprawy.

Skupiłem uwagę z powrotem na kolacji. Rzuciłem na blat torebkę bułeczek ziemniaczanych i otworzyłem lodówkę w poszukiwaniu opakowania młodej marchewki.

- Jasny gwint – mruknąłem.
- Co? – zawołała Rachel.
- Nic. Zapomniałem zrobić sos coleslaw.
- Nie przejmuj się. Bez niego też będzie dobre.

Nie zgadzałem się. Wkurzony, tym razem na siebie, rozkładałem talerze i sztucce z takim hałasem, aż żona weszła do kuchni.

- Co cię ugryzło?
- Nic – powiedziałem.
- Nie, serio pytam.
- Nic takiego, po prostu denerwuję się, że zapomniałem o coleslawie.

Zabręczała jej komórka, sygnalizując nadejście esemesa. Patrzyłem, jak go czyta. Potem odwróciła się i wyszła z kuchni. Pokręciłem głową.

Nałożyłem kolację na talerze. Laney dałem kopczyk wieprzowiny, trochę marchewek i garść tostitos; właściwie tym samym karmiłem ją dziesięć lat

wcześniej. Dla Jake'a i dla siebie zrobiłem po dwie kanapki z wieprzowiną. Zawołałem wszystkich i usiedliśmy do stołu. Dopiero kiedy Rachel weszła do pokoju, zorientowałem się, że nie przyszykowałem jej talerza. Ona sama jakby tego jednak nie zauważyła. Nałożyła sobie porcję i usiadła z nami.

– Jak było na mityngu?

– Super – odpowiedział Jake. – Max poprawił swój rekord o trzynaście sekund.

Pokiwałem głową.

– Ten chłopak to ma wytrzymałość, hę?

Jake zaczął opowiadać, jak wyglądają ich treningi. Słuchałem go, ale później nie byłem w stanie sobie przypomnieć, co mówił, pewnie dlatego, że przyglądałem się jednocześnie Laney. Wpatrywała się w brata szeroko otwartymi oczami. Zdumiewało mnie, jak bardzo jest podobna do matki. Obie miały blond włosy spięte z tyłu w kucyk, z luźnymi kosmykami opadającymi na skronie. Jej błękitne oczy lśniły w świetle lampy nad stołem. Zerknąłem w górę i zauważyłem, że muszę wymienić jedną z żarówek.

– Jak ci minął dzień, fistaszku? – spytałem.

– Świetnie.

– Miałaś chyba dzisiaj eliminacje, nie?

Zaśmiała się.

– Mówi się „przesłuchania”, tato.

– Tak, racja. Ale były właśnie dzisiaj?

Pokiwała głową.

– No i jak ci poszło?

– Chyba dobrze. Nigdy nic nie wiadomo.

Zapytałem, co konkretnie kazali jej zrobić, a ona odpowiedziała, ale też nie pamiętam, co mówiła, bo zerknąłem na Rachel. Przysłuchiwała się córce z delikatnym uśmiechem na ustach. Wyrzucałem sobie teraz to, co pomyślałem sobie zaraz po powrocie do domu. Bez Rachel moje życie nie potoczyłoby się tak, jak się potoczyło. Naprawdę wszystko jej zawdzięczałem. Obiecałem sobie, że będę jej to okazywał. Powinienem lepiej ją traktować.

Po kolacji dzieci poszły na górę „odrabiać lekcje”. Zauważyłem, że Jake wziął po drodze swój telefon. Ostatnio zacząłem dostrzegać oznaki, które mogły świadczyć, że ma dziewczynę, ale nie byłem jeszcze pewien. Niedługo i tak się wygada, więc za bardzo się tym nie przejmowałem. Co innego, gdyby Laney miała chłopaka. Tego bym raczej nie zniósł.

Pozmywałem naczynia, podczas gdy Rachel kończyła pracę. O dziewiątej wieczorem oboje bez słowa przenieśliśmy się do pokoju telewizyjnego. Usiadłem na kanapie i włączyłem odbiornik. Obejrzelśmy *Top Chef*. Żadne z nas nie odzywało się podczas programu. Milczenie w ogóle nam nie przeszkadzało.

Wynikało z czystej apatii. Kilka razy podczas oglądania sprawdzałem w telefonie, czy nie nadszedł jakiś mejl, chociaż żadnego się nie spodziewałem. Mniej więcej w połowie programu Rachel włączyła iPada.

Później musiałem chyba przysnąć, bo kiedy się ocknałem, zobaczyłem nad sobą żonę.

– Ej, idę na górę.

Odburknąłem coś, ale podążyłem jej śladem. Położyliśmy się razem do łóżka. Rachel znowu włączyła iPada, chyba po to, żeby poczytać książkę klubu czytelniczego. Odwróciłem się od światła, zbyt zmęczony, by zasnąć. Jak przez mgłę pamiętam, że ekran zgasł, a Rachel obróciła się na bok, plecami do mnie. Potem zasnęliśmy i obudziliśmy się nazajutrz rano gotowi przeżyć następny dzień bliźniaczo podobny do poprzedniego.

Tyle chwil traktowanych jako dane i oczywiste. Czego bym nie oddał, żeby wrócić do tych czasów.

ROZDZIAŁ 26

DZIEŃ DRUGI

Znowu dzwoni mój telefon. Tym razem wiem kto, zanim nawet zerknę na ekran.

– Jestem u Martinów-Kleinów. Dowiedziałas się czegoś od policji? – mówię. Rachel też nie ma czasu na powitania.

– Ma z nami porozmawiać jeden z detektywów. Jonathan tu jest. Pomaga mi. Policja znalazła krew... krew Jake'a w ich domu.

Mimo że już to wiem, jestem zrozpaczony, gdy słyszę o tym raz jeszcze.

– Dlaczego nam nie powiedzieli?

– Ponieważ uważali, że zabił te dzieci. Uznali go za mordercę.

Wzbiera we mnie gniew. Wszyscy przestali postrzegać Douga i Jake'a jako ludzi. Słowa Rachel nie mogłyby być prawdziwsze. Wszystkim zależało tylko na jednym: dowiedzieć się, dlaczego to zrobili.

Gniew przemienia się w wyrzuty sumienia. Też myślałem, że Jake jest mordercą. Jonathan poradził, żebyśmy zaczęli minimalizować straty. Zwątpiłem. Nigdy nie przestałem postrzegać Jake'a jako osoby, ale to mój syn, a nie jakiś obcy człowiek, którego znam tylko z telewizji czy Internetu, utożsamiany z jakimś okropnym zdjęciem z Facebooka dobranym specjalnie tak, by szokować i budzić emocje, a nie ze względu na rzeczywiste podobieństwo.

Czy Rachel zważyła? Nie ugięła się ani na chwilę. Może tak już jest z matkami. Może ojcowie są pragmatyczni, niecierpliwi i nie nadają się do wychowywania dzieci, tak jak wszyscy zdają się twierdzić. Nie wiem.

– Detektyw właśnie przyszedł – oznajmia Rachel.

– Co?

Słyszę stłumione głosy, łkanie Rachel. Potem w telefonie odzywa się Jonathan.

– Policja właśnie oddała Rachel rzeczy należące do Jake'a. Dowody, które zebrali w jego pokoju, jego telefon komórkowy, inne rzeczy. Rachel... To ogromne obciążenie psychiczne. Zajmę się nią. Ale muszę ci coś najpierw powiedzieć. Śledczy poinformował nas właśnie, że zdjęli odciski palców z tej lalki. Są zgodne z odciskami palców Martina-Kleina. Nie znaleźli żadnych odcisków należących do Jake'a. Detektyw mówi też, że młody Martin-Klein podobno groził młodemu Rainesowi pistoletem dwa tygodnie temu. Kiedy jednak policja weszła do domu, niczego nie znaleziono. Bez dowodów nie można było postawić żadnych zarzutów; było tylko słowo przeciwko słowu.

Brak mi słów, kiedy Jonathan przeprosza, że musi kończyć i zająć się moją żoną. W innych okolicznościach ironia tego faktu by mnie rozbawiła. Ale nie teraz. Zamiast tego zaczynam wszystko rozumieć.

Doug grozi Aleksowi bronią. Kiedy tata Aleksa wzywa policję, funkcjonariuszom nie udaje się niczego znaleźć. Jake napisał notatkę, w której prosił kogoś, prawdopodobnie Douga, żeby się czegoś pozbył. Krew Jake'a znajduje się w kuchni Douga. Krew Jake'a jest też na drzwiach do szkoły. To wcale nie znaczy, że Jake był w szkole. Nie zdołał już tam wrócić.

Broń. Karabiny. Nagle uświadamiam sobie, dlaczego policji nie udało się niczego znaleźć. Wiem, gdzie Doug ukrył swój arsenał. I wiem tak, jak może wiedzieć tylko rodzic, gdzie znajdę swojego syna.

ROZDZIAŁ 27

ZNALEZIONY

Mój umysł przedziera się przez miliony wspomnień, usiłuję wyłowić z nich każdy szczegół, który mógłby mnie poprowadzić. A jednocześnie biegnę, biegnę szybciej niż kiedykolwiek wcześniej, pędzę przez ogród, zostawiając wszystko i wszystkich w tyle.

– Jake! – krzyczę.

W pełnym biegu wpadam w zarośla na tyłach domu. Suche gałęzie trzaskają, łamiąc się, gdy o nie zawadzam.

– Jake!

Nie wiem, dlaczego go wołam. Po prostu chcę mieć Jake'a z powrotem. Muszę znaleźć swojego syna. I jestem strasznie wściekły. Dlaczego nie szukałem go tutaj wcześniej? Prawie zapomniałem, co obaj chłopcy robili tu przed laty. To, co zaczęło się jako ogromny powód do zmartwień, wypaliło się z biegiem czasu, wyparte przez codzienne zmartwienia i stres dwóch nastolatków. Ale jak mogłem zapomnieć?

Nie mam pojęcia, gdzie znaleźć ich fort, miejsce rozegranych w dzieciństwie udawanych bitew Jake'a. Przebiega mi przez myśl, żeby zawrócić i zapytać o to matkę Douga, ale nie zwalniam nawet kroku. Zdaję sobie również sprawę, że nie mam już przy sobie telefonu. Musiał mi wypaść przed domem. Wszystko dzieje się teraz tak szybko, że nie jestem pewien.

Suche liście chrzęszczą mi pod stopami, gdy pędzę slalomem między wysokimi, strzelistymi dębami. Od czasu do czasu charakterystyczne dla tej pory roku szarości lasu przełamuje listowie roślin wiecznie zielonych. Mój głos niesie się echem przez głuszę, podrywa do lotu kardynała szkarłatnego, który przysiadł na krzewie. Śmiga teraz między drzewami i szybko znika mi z oczu.

– Jake! Gdzie jesteś?

Słyszę kroki. Ich dźwięk płące mi myśli. Przez sekundę wyobrażam sobie, że zjawi się mój uśmiechnięty syn i ze śmiechem pobiegnie do mnie przez las, z zieloną bluzą zawiązaną wokół pasa. Łapię go i trzymam, i przyciskam do siebie tak mocno, że nie może oddychać. Z oczu tryskają łzy ulgi i zdumienia.

Ale to tylko marzenie. W rzeczywistości kroki są za mną, a nie z przodu. Słyszę coraz głośniejszy żałosny jęk syren. Prę do przodu, jakbyśmy się ścigali. Znajdę go pierwszy. Tylko ja.

Ani razu nie oglądam się za siebie. Przeczesuję wzrokiem las, szukam jakiejś ścieżki albo ciemniejszej masy, która mogłaby się okazać fortem.

– Pomóż mi cię znaleźć, Jake – szepczę.

Wypatruję znaku; należy mi się jakiś znak. Kocham syna całym sercem. Wiem, zawsze wiedziałem, że gdyby zaszła potrzeba, oddałbym za niego życie w mgnieniu oka. Ale nic nie jest tak romantyczne, tak dramatyczne. Nie dane mi było nigdy poświęcić się za syna. A teraz, gdy błagam o jakiś drogowskaz, jakąś wskazówkę, o jelenia we mgle, który by mnie poprowadził, o krzyk myszołowa rdzawosternego, ulubionego ptaka Jake’a, który przyzwałby mnie do mojego syna, wokół jest tylko cisza i trwoga.

Zatrzymuję się i odchylam głowę. Spoglądam w niebo poznaczone nagimi gałęziami drzew. Ku jesiennemu słońcu płynie leniwie obłok, łagodząc kontury długich cieni, które kładą się po ziemi niczym mityczne resztki po jakiejś ogromnej burzy z piorunami.

– Przepraszam – wołam. – Tak mi przykro.

Kiedy znowu, oczami zasnutymi łzami, spoglądam przed siebie, widzę staw. Wraca do mnie strzęp wspomnienia. Pamiętam, że Jake opowiadał mi o stawie za domem Martinów-Kleinów.

Zrywam się ponownie do biegu, gdy dostrzegam fort wyrastający zza rozłożystej kępy paproci. Potykam się o grubą gałąź i padam na kolano. Uderzam ręką o odsłonięty kamień i ból przeszywa mi ramię. Dźwigam się na nogi i biegnę dalej.

Fort ledwo wyrasta nad ziemię. To szafas, dwie duże płyty poznaczonej zaciekami sklejki wspierają się na trzech czarnych kostropatych pniach. Ziemia, mech i suche liście przykrywają płyty drewna niczym strzecha.

Słońce przebija się przez chmurę i świat wokół mnie rozjaśnia się, jakby obwieszczał nowy początek. Coś błyska pod moimi butami. Schylam się i wyciągam rękę. Dotykam palcami chłodnego metalu i podnoszę go z ziemi. To nienaruszony nabój.

Serce bije mi jak oszalałe. Spuszczam wzrok i widzę więcej naboii. Leżą rozsypane w poszyciu niczym kamyki na dnie strumienia. Z jakiegoś powodu zaczynam je liczyć. Trwa to tylko ułamek sekundy, ale jest ich ponad pięćdziesiąt. Nie mogę skupić myśli. Wciąż nie rozumiem.

Wtedy widzę but syna. To tylko żółty neonowy pasek, ale natychmiast go rozpoznaję. But jest prawie zasypany suchymi liśćmi, leży obok dużej paproci. Wpatruję się w niego, jakby mnie zamurowało. Nie mogę się ruszyć, nie dociera do mnie, że to nie tylko but, a mój syn leży samotnie w lesie, zapomniany aż do tej chwili, zagubiony i utracony na zawsze. Wszystkie te myśli są niepojęte. Są jak z paraliżującego koszmaru, z rzeczywistości, której nigdy nie brałem pod uwagę, nawet w najczarniejszych chwilach rodzicielskiej neurozy.

Nie mogę się ruszyć. Muszę do niego podejść, ale nie mogę się pogodzić z myślą, że jego już tu nie ma. Już nas opuścił. Nie mogę sprowadzić go

z powrotem. Nie mogę już z nim porozmawiać. Nie możemy pożartować. Nie możemy się posiłować. Nie możemy wybrać się do restauracji ani zjeść w domu żeberek razem z Laney i mamą. Nie mogę go donikąd zawieźć. Nie mogę odebrać go ze szkoły. Nie mogę na niego czekać. Nigdy nie podejdzie do mnie, nie uśmiechnie się do mnie, nie będzie przy mnie.

Jake może być teraz już tylko w moich myślach. Może przemawiać tylko przez wspomnienia i wyobraźnię marzeń niespełnionych. Co by było gdyby. Gdyby tylko. Jaka szkoda że.

Szczekanie psów. Ktoś szybko się zbliża. Myślę o tym, że był tu przez cały ten czas. Ale to psy budzą mnie z odrętwienia. Robię najpierw jeden krok, potem drugi. Osuwam się na kolana. Biorę w objęcia ciało, które było Jakiem, ale już nigdy nim nie będzie. Trzymam go, ale to już nie on. Płaczę i pomstuję. I w ogóle nie zauważam pustego pudełka po amunicji w jego zimnej dłoni.

ROZDZIAŁ 28

POTEM

Jestem z Jakiem sam, obaj zagubieni daleko za tyłami domu Martinów-Kleinów. Czas musi płynąć, ptaki muszą śpiewać w gałęziach drzew nad fortem, ale mnie tu nie ma. Potem zdaję sobie sprawę, że nie jestem już sam. Ogromny pies policyjny, owczarek niemiecki, przekrzywia łeb. Z dłonią wciąż na piersi syna, patrzę w ciemnobrązowe psie oczy. Ktoś mi kiedyś mówił, że nigdy nie wolno patrzeć psu w oczy, bo zwierzę odbiera to jako prowokację. Ale nie tak to teraz odczuwam. Przeciwnie, mam wrażenie, że zwierzę zagląda mi w duszę. Czuję, jak szarpie coś żywego, i uświadamiam sobie, że to moje życie. Pies próbuje sprowadzić mnie z powrotem. Jestem tego pewien.

Nie rusza się. Słyszę zbliżających się ludzi, ale nasze porozumienie nie zostaje zerwane. Rozmawiamy razem w mojej głowie, dwa zwierzęta w lesie stojące wobec najbardziej podstawowego faktu życia.

On nie żyje.

Tak.

Nie mogę dłużej żyć.

Możesz.

Dlaczego?

Bo tak.

To wystarczy?

Tak.

Nie rozumiem.

Rozumiesz.

Niczego nie pragnę tak bardzo jak śmierci. Nie chcę wstawać, nie chcę wyjść z tego lasu. Nie chcę wieść życia złożonego z chwil bez znaczenia. Chcę się położyć i nigdy nie odstępować swojego syna. Jeżeli istnieje coś takiego jak wola życia, myślę, że swoją utraciłem.

Ale czy rzeczywiście? Co takiego sprawia, że nadal oddycham? Chciałbym powiedzieć, że Rachel i Laney. To właściwa odpowiedź, ludzka odpowiedź, jakiej można by się po mnie spodziewać. Jeżeli nie, to nie sposób mnie lubić.

Szczera odpowiedź brzmi jednak tak: oddycham, ponieważ się boję. Boję się śmierci. Boję się życia. Boję się straty. Boję się zmiany. Boję się wszystkiego i niczego jednocześnie. Instynkt, te synapsy, które ostały się jeszcze sprzed epoki lodowcowej, nie daje mi spokoju. Nie daje mi się wyłączyć. Zmienia połączenia nerwowe w moim mózgu. Nie myślę już na lata, na dni czy nawet na minuty do

przodu. Nie myślę nawet o jeden oddech do przodu. Stałem się automatem, którego jedyną funkcją jest przetrwanie.

Daję im się odprowadzić, ale oglądam się przez ramię na Jake'a. Chce mi się płakać, ale zabrakło mi łez. Zamiast tego czuję lodowaty chłód, który promieniuje z mojej klatki piersiowej.

– Nie mogę go zostawić – mówię, ale tylko szeptem.

– Już dobrze, panie Connolly – odpowiada policjant. – Zajmiemy się nim. Musimy sprowadzić panu pomoc.

– Nic mi nie jest.

Pochyliła się w moją stronę, gdy idziemy wydeptaną, ocienioną ścieżką.

Dzieje się coś dziwnego. Nie pamiętam tego, jak przeszedłem obok domu Martinów-Kleinów. Nie jestem nawet pewien, gdzie się znajduję, oprócz tego, że siedzę w karetce. Sanitariusz przytrzymuje przy mojej twarzy maseczkę. Wdycham chłodne powietrze bez strachu. Właściwie czuję się kompletnie odrętwiały.

Przewracam oczami, widzę srebrzyste instrumenty medyczne, kroplówkę i rękaw ciśnieniomierza na moim bicepsie. Przykryli mnie trzema kocami, ale nie czuję właściwie ich ciężaru.

– Niech pan się po prostu odpręż, panie Connolly. Spadło panu ciśnienie. Uzupełniamy panu płyny i podaliśmy środek uspokajający. Wszystko będzie w porządku.

Nie, nieprawda, ale on nie zdaje sobie z tego sprawy. A ja mu nie mówię. Zamykam oczy.

Kiedy podnoszę się do siadu, jest ze mną Rachel. Wyciąga rękę i razem z sanitariuszem pomaga wysiąść z karetki. Obejmujemy się. Łzy płyną jej rzęsiami po policzkach. Dygocze w moich ramionach. Trzymam ją, ale wciąż nic nie czuję.

Powinienem reagować inaczej. Rozglądam się przekonany, że ludzie się na mnie gapią, dziwiąc się, jak mogę zachowywać się tak normalnie, tak nonszalanc-ko wobec śmierci swojego syna.

– Jesteś zimny – mówi Rachel.

W którymś momencie przestała płakać.

– Nic mi nie jest.

Tłum ludzi się rozrzedza.

Nagle się orientuję.

– Gdzie Laney? Nie powinna...

– Nie przejmuj się. Jest z moją mamą.

Nie wiedziałem, że mama Rachel przyjechała znad morza. Właściwie przez cały ten czas nie pomyślałem nawet o tym, żeby zadzwonić do swoich rodziców. Nie zadzwoniłem do rodzeństwa. Ale wyrzuty sumienia wydają się teraz absurdalne.

Słyszę warkot uruchamianego silnika. Po podjeździe sunie powoli drugi

ambulans. Mam ochotę wsiąść do niego, tak jakby Jake odniósł po prostu kontuzję na meczu futbolu flagowego. Ale nie pozostaje mi już nic innego, jak tylko wciągać w płuca powietrze, a potem je wydychać.

ROZDZIAŁ 29

DZIEŃ CZWARTY

Upłynęły ponad dwadzieścia cztery godziny, odkąd znalazłem syna – ciąg pustych chwil boleśnie powolnych i jednocześnie tak ulotnych, że rozmyły się w pamięci. Zabrano nas, razem, do domu. Płakaliśmy, razem. Wszyscy troje spaliśmy w pokoju rodzinnym; reszta domu wciąż wygląda tak jak po policyjnym przeszukaniu. W pewnym momencie rozzwania się dzwonek do drzwi. I zdaje się, że nie przestaje dzwonić. Zakryte talerze i półmiski maszerują do naszej kuchni, gdy uczynni sąsiedzi, wśród nich wielu z tych, którzy jeszcze dzień wcześniej miotali na Jake'a najcięższe oskarżenia, wracają pod nasze drzwi, niosąc jedzenie, milczący, ze współczuciem w oczach. Zapada cisza. Rachel zawozi Laney do mieszkania swojej matki. Zostaję sam, żeby posprzątać bałagan. Robię to z odrętwiającą regularnością.

Tego wieczoru dowiaduję się, że kroki, które za sobą słyszałem, gdy szukałem Jake'a, należały do kamerzysty lokalnej stacji stowarzyszonej z NBC. Nagrał wszystko z ręki. O czwartej po południu tego samego dnia policja wydała wstępny raport ze śledztwa. Teraz jedno i drugie oglądam w telewizji.

– Dziś wieczorem ostatnie elementy tragicznej układanki, która wstrząsnęła świadomością Amerykanów, ułożyły się w całość, a z masakry wyłoniła się postać bohatera. Nagranie, które za chwilę państwo obejrzyście, zostało zarejestrowane dzisiaj przed południem przez kamerzystę telewizyjnego w Wilmington w stanie Delaware. Uważany poprzednio za drugiego sprawcę poniedziałkowej strzelaniny Jake Connolly został znaleziony martwy w lasku na tyłach domu swojego szkolnego kolegi i prawdopodobnego sprawcy, Douglasa Martina-Kleina. Policja wydała dziś wieczorem wstępny raport, z którego wyłania się niezwykła, lecz smutna historia. Wygląda na to, iż młody Jake dowiedział się, że Martin-Klein planuje masakrę, i próbował go od tego odwieść. Do konfrontacji między nimi doszło w domu Martinów-Kleinów, gdzie jak podaje policja, Douglas strzelił do Jake'a z tego samego karabinka szturmowego, którego użył później w szkolnej strzelaninie. Pocisk ugodził Jake'a Connolly'ego w plecy w okolicach lędźwiowych. Niezwykle jest jednak to, co wydarzyło się później.

Pomimo bólu związanego z raną, która według policji okazałaby się śmiertelna, Jake Connolly podjął heroiczny wysiłek i wydostawszy się z domu, pobiegł na tyły posesji do fortu, który obaj chłopcy zbudowali wiele lat wcześniej.

Tam rozsypał ponad sto sztuk amunicji, zanim został zastrzelony przez Martina-Kleina. Policja jest zdania, że ten czyn mógł uratować życie dziesiątkom uczniów szkoły.

Policja wydała również raport, który wyjaśnia nieporozumienia związane z pewnymi materiałami śledczymi, jakie przedostały się do mediów w pierwszych dniach po tragedii. Chociaż ślady krwi Jake'a Connolly'ego znaleziono na drzwiach wejściowych szkoły, uważa się obecnie, że krew tę miał na rękach Douglas Martin-Klein po tym, gdy Jake dokonał tragicznej próby zapobieżenia strzelaninie. Zeznania świadków, według których do budynku szkolnego weszło tamtego dnia rano dwóch uzbrojonych ludzi, zostały wycofane.

Ostrzegamy, że materiał, który teraz państwu pokazemy, może być nieodpowiedni dla młodych widzów. Nagranie przedstawia scenę, gdy ojciec Jake'a, Simon Connolly, biegnie przez las, wołając syna, tylko po to, by na koniec znaleźć jego zwłoki przy wybudowanym w dzieciństwie szałasie.

W kieszeni Jake'a znaleziono też list. Na szczęście policja zwróciła mi go, nie ujawniając treści mediom. Przeczytałem go raz i nie jestem w stanie przeczytać ponownie. Jeszcze nie teraz. Jake napisał:

Tato,

od dłuższego czasu potrzebowałem chwili amnestii, ale bałem się o nią poprosić. Myślę, że wiesz już, o co chodzi. Myślę, że wiedziałeś od długiego czasu. Dłużej niż ja. Chodzi o Douga. Ale chyba także o mnie.

Boję się. Nie tego, żeby z Tobą porozmawiać, tylko tego, co się ostatnio dzieje, i tego, nad czym się zastanawiam. Nie mam pojęcia, co zrobić. Żaden wybór nie wydaje mi się dobry. To tak, jakbym skręcił gdzieś nie tam, gdzie trzeba, a teraz nie potrafię znaleźć drogi do domu.

Myślę, że Doug jest psychopatą. Nie mówię tego przez złośliwość. Czytałem literaturę naukową na ten temat. Nie jest taki, jak psychopaci w telewizji. Nie rysuje krwawych scen, nie wykleił ściany zdjęciami i przedmiotami osoby, na punkcie której ma obsesję, nic z tych rzeczy. Zresztą wszyscy lubimy przemoc w grach i filmach. Chodzi o coś innego, o ciemniejszą stronę jego psychiki.

Douga nic nie rusza. Kiedy Max się z niego nabija, Doug nie jest smutny, nie czuje się zraniony. Robi się tylko zły, po prostu wściekły. Tłumaczyłem Maksowi, żeby mu nie dokuczał, i właściwie przestał, ale inni w szkole nie przestali. Po prostu nie dają Dougowi spokoju. Mnie też zaczyna to wkurzać. Czemu ludzie muszą być dla siebie tacy podli? Czemu jedne dzieciaki wyżywają się codziennie na innych? Czasami chciałbym, żeby role się odwróciły. Żeby ktoś dał im nauczkę.

Przecież człowiek nie zna tak naprawdę danej osoby. Nieraz czuję, jakbym sam siebie nie znał. Zastanawiam się, co zrobię, kiedy sytuacja się jeszcze bardziej zaogni. Zastanawiam się, jakim tak naprawdę jestem człowiekiem. Doug ma karabin. Chowa go w szałasie, który zbudowaliśmy, kiedy byliśmy dziećmi. Nie widziałem broni, ale wiem. Powiedział mi. Niepokoję się, że może zrobić komuś krzywdę. Coraz bardziej mu odbija. Powiesił lalkę w moim ulubionym miejscu w lasce. Wiem, że to był on i że to miało być dla mnie ostrzeżenie. Myślę, że nic mi nie robi, ale powinienem Ci o tym powiedzieć. Myślę, że możesz pomóc, ale wiem, że powiadomisz szkołę albo rodziców Douga. Gdyby do tego doszło, myślę, że mógłby wybuchnąć i zrobić coś naprawdę złego.

Spróbuję porozmawiać z nim jeszcze jeden ostatni raz. Jeśli to nie podziała, dam Ci ten list. Tylko obiecaj mi, że się nie wkurzysz, okay?

Kocham Cię, Tato,

Jake

Wszystko, czego potrzebowałem, by go znaleźć, na jednej kartce papieru. Niestety, nadeszła za późno. Tak samo jak ja.

ROZDZIAŁ 30

DZIEŃ SZÓSTY

Kolejka przed kościołem owija się wokół placu. Rachel, Laney i ja siedzimy w pierwszej ławce. Co jakiś czas ktoś podchodzi do nas, klęka i składa nam kondolencje. Laney łka tak długo, że Rachel wreszcie prowadzi ją do pokoiku przy zakrystii, który ksiądz przeznaczył dla nas na wypadek, gdybyśmy potrzebowali chwili spokoju. Siedzę ze spuszczoną głową i słucham ściszonej muzyki organów.

Trumna stoi w kościele od wielu godzin, aby ludzie mogli pożegnać zmarłego. Laney już nie wychodzi z zakrystii. Czas utracił swoje znaczenie, bo gdy tylko kończy się jedna ceremonia, natychmiast zdaje się zaczynać następna. Jesteśmy teraz na pogrzebie. Ludzie rozmawiają o Jake'u. Wiem, iż niektórzy oczekują, że wstanę i przemówię, ale nie mogę. Słowa są we mnie, ale nie chcę się nimi dzielić. Boję się otworzyć tę furtkę, bo za nią czai się szalejąca wichura.

Czuję się w miarę dobrze, jestem całkiem zrównoważony aż do końca pogrzebu. Ludzie wracają do naszego domu. Nie chcę ich tutaj widzieć, ale są. Wiem, że Rachel odbiera to tak samo, bo wysłała Laney do swoich rodziców, do ich mieszkania. Staram się porozmawiać z bliższymi krewnymi i znajomymi, ale co tu jest do powiedzenia? Mówią o Jake'u, o jego odwadze. Słucham tego wszystkiego. Może nawet trochę pomaga. Ale potem widzę ją.

Siadam w kuchni, bo słabo mi na nogach, właśnie gdy otwierają się frontowe drzwi. Do domu niepewnym krokiem wchodzi kobieta. Rozpoznaję ją natychmiast i zrywam się z krzesła.

– Co tutaj robisz? – mówię na tyle głośno, że słyszy mnie kilkanaście osób.

Mary Moore nieruchomieje. Otwiera usta, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk.

Przepełnia mnie złość. Ta kobieta stała na moim podwórzu, potępiając mojego syna, a nawet życząc mojej córce śmierci, a teraz, gdy Jake okazał się bohaterem, ma czelność pokazywać się w moim domu.

– Wynoś się – mówię.

W pokoju, w którym przebywa teraz więcej osób, niż może się ich wygodnie zmieścić, robi się cicho jak makiem zasiał. Czuję na sobie spojrzenia wszystkich obecnych, ale sam mogę patrzeć tylko na Mary Moore. Szczęki mi się zaciskają i drżą ręce. Mam ochotę uciec, zaatakować, paść nieprzytomny – a wszystko to równocześnie.

Czyjeś paznokcie wpijają mi się w przedramię. Ktoś szarpie mnie tak mocno, że się odwracam i widzę przed sobą Rachel. Jej twarz jest pąsowa, oczy płoną.

– Co jest z tobą nie tak?!

– Ona...

– NIE! – Rachel wybucha płaczem. – Nie. Nie możesz tego zrobić!

Oglądam się przez ramię i widzę teraz te oczy. Okrągłe i zszokowane.

– Co? – pytam Rachel, a może wszystkich.

– Idź na górę – szepcze do mnie żona. – Opanuj się.

Siadam na brzegu naszego łóżka. Wystarcza chwila, żebym uświadomił sobie, co właśnie zrobiłem. Targają mną sprzeczne emocje. Skłamałbym, gdybym stwierdził, że postąpiłem z gruntu źle. Tak wielu ludzi oczerniało Jake'a. A teraz wszyscy przychodzą do naszego domu i opowiadają, jaki był wspaniały. Gdzie byli wczoraj, przedwczoraj, parę dni temu?

Z drugiej strony uświadamiam sobie, że wyprosiłem matkę jednej z ofiar. Jaki potwór postępuje w taki sposób? To godne potępienia. I żałuję, że nie mogę cofnąć czasu i swoich słów.

Wreszcie, szybciej, niż powinien był, hałas na parterze milknie, a goście się rozchodzą. Rachel staje w drzwiach do naszego pokoju.

– Zabieram Laney i jedziemy na jakiś czas do domu moich rodziców.

To nie jest prośba ani sugestia, to fakt. Oznajmia mi, że zabiera moją córkę.

– Nie – odpowiadam.

– Owszem. A ty musisz poszukać sobie pomocy.

– Co?

– Musisz z kimś porozmawiać. Z kimś, kto zdoła cię przekonać, że to wszystko to nie twoja wina.

Drzę teraz na całym ciele.

– Nigdy tego nie powiedziałem.

Parska śmiechem; to dźwięk pełen goryczy, którego nigdy wcześniej u niej nie słyszałem.

– Doprawdy, Simon. Pamiętam, jaki byłeś, kiedy chodziło o codzienne duperele. Marudziłeś, nieraz słyszałam, że zniszczyłeś dzieciom przyszłość, bo nie chciałeś zaprowadzić ich, żeby się pobawiły z innymi dziećmi u sąsiadów, na litość boską. Znam cię, Simon. Wiem, myślisz, że to wszystko jest skutkiem twoich błędów. Co gorsza, czujesz się winny, że wątpiłeś w naszego syna, może przez chwilę pomyślałeś, że był mordercą. I wiem... że myślisz, że gdybyś go znalazł...

– Zamknij się! – ucinam.

Rachel ani drgnie. Nie zamierza się wycofać.

– Znam cię, Simon. – Wracają łązy. – Nie mam po prostu teraz siły, żeby ci

pomóc.

Odwraca się i odchodzi. Jestem sam w naszym domu. Dostrzegam w tym gorzką ironię, bo często przez te lata marzyłem o paru chwilach tylko dla siebie.

ROZDZIAŁ 31

DZIEŃ DWUDZIESTY KTÓRYŚ

Pewnego dnia, straciłem już w tym momencie rachubę, wstaję z kanapy. Mięśnie mam obolałe od zakwasów, sztywne, a umysłowi brakuje zakotwiczenia. Myśli dryfują niczym statek widmo we mgle pośrodku oceanu. Bezrefleksyjnie przebieram się, wkładam buty do biegania i wychodzę.

Domu nie oblegają żadne tłumy. Możliwe, że jestem całkiem sam. Mimo to ruszam sprintem przed siebie, moje buty zdają się same biec. Podążają trasą sprzed tygodni, jakby stąpały po własnych jarzących się śladach, które wiodą nie wiadomo dokąd.

W połowie drogi do domu Martinów-Kleinów zwalniam kroku, bo nagle uświadamiam sobie, że to jest właśnie cel mojego biegu. Wciąż nie jestem w stanie obejrzeć się za siebie. Nie rozumiem, dlaczego biegnę akurat tam, ale teraz przynajmniej wiem dokąd. Przez sekundę zastanawiam się nad zawróceniem z drogi, ale zamiast tego przyspieszam. Oddech, nierówny i bolesny przez zimne powietrze, wydaje się jako jedyny walczyć o moje życie.

Nie zwalniam, gdy zbiegam z chodnika na trawnik Martinów-Kleinów. Z oddali widzę już prześwit w suchych zaroślach. Daję susa, i znów jestem w lesie.

Nie dobiegam do końca. Zatrzymuję się przy stawie i wpatruję w cienisty zarys szałas. Mroźna bryza trąca nagie gałęzie drzew, kładąc swój zimny dotyk na moich policzkach. Wydychane powietrze zmienia się w obłoki pary, które unoszą się przed moją linią wzroku – jedyny przejaw ruchu i życia w tej martwej scenarii.

Najpierw jeden krok. Potem drugi. Z wahaniem zbliżam się do miejsca śmierci Jake'a. Kiedy tam docieram, czas przestaje istnieć. Słońce zachodzi za rzędem strzelistych sosen, a wydłużające się cienie pełzają po leśnym poszyciu.

Jak mam to zostawić? Jak wstać i odejść? Jake zostanie sam, choć wiem, że już go tu nie ma. Nie mogę na to pozwolić. Zostanę więc przy nim. Siadam, bo dotarłem do kresu. A mogę myśleć tylko o początku.

*

Dwunastego lutego tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku nasz radiobudzik włączył się o piątej pięćdziesiąt rano. Wciąż pamiętam piosenkę, którą wtedy zagrał. *Waterfalls* grupy TLC.

Samotna matka wygląda przez szybę

Wpatrzona w syna, którego nie może zawrócić.

Wyciągnąłem rękę i poczułem pod łokciem nabrzmiąły brzuch Rachel, gdy wcisnąłem guzik i wyłączyłem muzykę. Coś musnęło delikatnie moją skórę, a może tylko mi się tak wydawało. Poprzedniego wieczoru obserwowałem, jak jego mała stópka kopała w jej brzuch (a przynajmniej wyglądała jak stópka). Przyglądałem się brzuchowi jeszcze przez chwilę w nadziei, że znowu to zobaczę. Rachel powiedziała, że się uspokoił, ale gapiłem się jeszcze trochę, bo nigdy nic nie wiadomo. Potem zgasilem światło i poszedłem spać, po raz ostatni jako zwyczajny mężczyzna. Następnego dnia miałem być już ojcem.

– Kochanie, już czas – wyszeptałem.

Rachel poruszyła się, wydając taki sam odgłos jak zawsze, odkąd ją poznałem: cichy, przeciągły pomruk, jak gdyby mówiła: „Kocham cię, ale daj mi spać”. Uśmiechnąłem się, tuląc ją (i swojego syna).

– Nie możemy się spóźnić – powiedziałem.

*

Nie jestem pewien, czemu uważałem, że nie możemy się spóźnić. Pięć godzin później siedzieliśmy w pokoju na oddziale położniczym, niespokojni i jednocześnie znudzeni. Indukcja porodu zaczęła się o czasie i tuż po ósmej rano lekarz dokonał amniotomii. Nie zamierzam wdawać się w szczegóły tej procedury. Wystarczy powiedzieć, że zapamiętałem ją na całe życie, ale raczej nie będę o niej opowiadał na żadnych spotkaniach towarzyskich.

Kiedy rozgrywaliśmy kolejną leniwą partię kart, tknęła mnie znajoma myśl; ta sama refleksja nachodziła mnie w dniu ślubu, podczas rozdania dyplomów w college’u, w czasie mojej Pierwszej Komunii, a także przy paru innych ważnych okazjach. W tych przełomowych momentach życia spodziewałem się zawsze jakiejś aury podniosłej cudowności. Zamiast tego, za każdym razem zdumiewała mnie całkowita banalność tych wydarzeń.

*

– Serce dziecka bije coraz wolniej – oznajmiła pani doktor. – Musimy przygotować się do cesarki.

Oczy Rachel zrobiły się wielkie i okrągłe. Wytrzymała już dwanaście godzin wywoływania porodu. Przed tym pamiętnym dniem przyznała mi się, że boi się

cesarskiego cięcia jak diabli. Najbardziej na świecie pragnęła urodzić siłami natury (nie bez środków farmakologicznych, ale normalnie, jak kiedyś). To niesamowite, ona nigdy w życiu nie miała żadnej operacji.

Aparat buczał i pikał równocześnie. Częstotliwość rytmu serca mojego syna spadła do sześćdziesięciu pięciu uderzeń na minutę.

– O Boże – powiedziałem.

Nikt mnie nie usłyszał, a przynajmniej nikt nie zareagował. Doktor przemawiał ściszym głosem do Rachel, ale nie mogłem tego słuchać. Wpatrywałem się tylko w monitor i siłą woli starałem się sprawić, żeby wyświetlany wskaźnik się poprawił. Trudno mi się do tego przyznać, bo zabrzmiało to cokolwiek dziwnie, ale robiłem coś jeszcze. Prawdopodobnie nie uda mi się tego poprawnie wyjaśnić, ale sięgnąłem w głąb siebie. Wewnętrznie odczuwałem to tak, jakbym pociągnął za kawałek swojej duszy, oderwał go i przekazał poczynającemu się życiu w ciele mojej żony. Starałem się dać nienarodzonemu synowi cząstkę własnej energii życiowej. Wstrzymując oddech, poczułem, jak odrywam część siebie. Wskaźnik na monitorze jeszcze się pogorszył.

Pani doktor zwróciła się do pielęgniarki:

– Przygotować salę numer cztery.

Pielęgniarka oddaliła się pospiesznie, a lekarka pochyliła się znowu nad Rachel.

– Musimy teraz przenieść panią na salę operacyjną. Częstotliwość rytmu serca dziecka za bardzo spadła. Wszystko będzie dobrze, ale musimy przygotować panią do cesarskiego cięcia. Dobrze?

Rachel pokiwała głową. Pani doktor wyszła z sali, a ja objąłem żonę. Czułem, jak łka, wtulona w moją pierś.

– Już dobrze – wyszeptałem. – Wszystko będzie w porządku.

– Przepraszam – zapłakała.

Serce mnie zabolęło, gdy usłyszałem to od niej.

– To nie twoja wina. Nie zrobiłaś niczego złego. Lekarze dopilnują, żeby Jake urodził się cały i zdrowy. A ja cały czas będę przy tobie. Obiecuję.

Rachel nie powiedziała już nic więcej. Dwie salowe (przypuszczalnie te same, które widzieliśmy rano) stanęły w drzwiach. Ostrożnie wywiozły Rachel razem z łóżkiem z sali na korytarz. Kiedy patrzyłem, jak ją zabierają, podeszła do mnie pielęgniarka.

– Panie Connolly, proszę ze mną. Zanim będzie pan mógł do niej wrócić, musimy pana przygotować do wejścia na salę operacyjną.

Są w życiu chwile, kiedy stajemy wobec decyzji niemożliwej: kiedy nie żyje się już tylko dla siebie, trzeba dokonać wyboru. W moim przypadku stało się to w najważniejszym momencie mojego dotychczasowego życia: wtedy gdy rodził się mój syn. Niektóre szczegóły tego wydarzenia pamięta tylko moja żona, bo wtedy

akurat mnie przy niej nie było. Pamiętam za to, jak siedziałem na stolku przy zagłówku stołu operacyjnego, na którym leżała. Pielęgniarki ustawiły parawan tuż pod jej piersią, zasłaniając operowaną część ciała nie tylko przede mną, lecz przede wszystkim przed Rachel. Byłem wcześniej operowany, ale pod narkozą. Rachel przez cały czas była świadoma, a ja nie wyobrażam sobie, jakie to musiało być dla niej przeżycie.

Staralem się ją wspierać najlepiej, jak mogłem. Trzymałem za rękę, gdy jej ciało drgało czasem z nerwów, a innym razem wskutek szarpnięć, jakich wymagała operacja.

– Rozciągają mi brzuch – jęknęła głosem bełkotliwym od znieczulenia zewnątrzoponowego.

– Nie przejmuj się – powiedziałem łagodnie. – Wszystko będzie dobrze.

Pielęgniarki i lekarze rozmawiali pewnym tonem podczas pracy. Umykała mi większość z tego, co mówili, ale wyglądało, że wszystko przebiega zgodnie z planem. Próbowałem zidentyfikować aparat mierzący częstotliwość bicia serca mojego syna, ale mi się nie udało. Może zresztą tak było lepiej.

– Boli – poskarżyła się Rachel.

– Mówi, że ją boli – powiedziałem pielęgniarce.

– Zaraz się tym zajmę – zapewniła.

Łzy spływały mojej żonie po twarzy, gdy leżała wpatrzona w sufit. Skapywały na grubo tkany materiał poszewki od poduszki, tworząc coraz większą plamę wilgoci. Otarłem jedną z policzka, a Rachel wzdrygnęła się, jakby ją to zabolalo.

– Wszystko będzie dobrze – powtórzyłem. Nie znajdowałem żadnych innych słów.

– Wyciągamy go – oznajmiła pani doktor. – Chce pan zobaczyć?

Podniosłem się, propozycja zaostrzyła moją ciekawość makabry, ale Rachel chwyciła mnie za rękę. Spuściłem wzrok, a ona zgromiła mnie spojrzeniem.

– Nie patrz na mnie – rozkazała przez zaciśnięte zęby.

Usiadłem z powrotem, kiwając poważnie głową. Ani pielęgniarki, ani lekarze nie zwrócili na to w ogóle uwagi. Wykonywali dalej swoją pracę.

Kiedy Jake wreszcie do nas dołączył, nie zauważyłem, która jest godzina. A może po prostu tego w ogóle nie zapamiętałem. Przedział czasowy od momentu, gdy Rachel kazała mi siedzieć przy sobie, do chwili, gdy pielęgniarka położyła Jake'a na małym blaszanym stoliku, zniknął albo nigdy nie istniał. Kto wie? Pamiętam tylko, jak odwróciłem głowę i po raz pierwszy go zobaczyłem. Popatrzył mi w oczy. Wiem, że każdy specjalista czy inny mądrała powie, że to niemożliwe, że noworodki widzą tylko światło i mrok. Ale ja wiem swoje. Nasze spojrzenia się spotkały. Łzy nabiegły mi do oczu, zamrugalem, strząsając je czym prędzej, żebym tylko znowu mógł zobaczyć swojego syna i żeby on także widział, że go widzę.

Ten widok odmienił mój świat. Jake wzywał mnie zupełnie bezgłośnie. Małeńka główka przekrzywiła się na bok, czerwone wargi ułożyły się w prostą kreskę. Chłonał mnie całego, przyjmował w siebie i trzymał tak mocno, że wiedziałem, że nigdy siebie nie odzyskam. Tamtego dnia zniknąłem, przestałem istnieć i narodziłem się na nowo jako ktoś całkiem inny. Już nie odrębna, autonomiczna jednostka, lecz część matrycy wspólnego istnienia. W tamtej chwili nie określiłem tego żadnym słowem, ale później nazwałem to nienazwane. Słowem, które przedtem zdawało mi się zrozumiałe, lecz okazało się wykraczać znaczeniem daleko poza to, co do tej pory znałem – słowem „miłość”.

– Chce go pan potrzymać? – spytała pielęgniarka.

Wstałem. Moje ciało zdawało się lekkie, prawie eteryczne, jakby Jake mógł mi przelecieć przez palce. Wyciągnąłem ramiona, a pielęgniarka, trochę synka umywszy, owinęła go tak sprawnie i szybko, że ledwo to spostrzegłem, a potem podała mi mój mały skarb. Poczułem jego ciężar na swoich przedramionach i wiedziałem już, że jest rzeczywisty, że zawsze będzie rzeczywisty, bez względu na wszystko. Popatrzył na mnie z wyrazem twarzy tak świeżym, tak nowym, że nie mogłem powstrzymać łez. Schyliłem się i pocałowałem go w czoło, ogrzewając suche wargi jego ciałem.

Nie wiem, jak długo go trzymałem. Zupełnie się zatraciłem, bo liczył się tylko Jake. Jedna z pielęgniarek dotknęła mojego ramienia.

– Teraz kolej mamy – powiedziała.

Otworzyłem szeroko oczy. Odwróciłem się powoli i spojrzałem na Rachel. Tego, co wtedy zobaczyłem, nic nie zatrze nigdy w mojej pamięci. Patrzyła na Jake’a oczami wciąż tak pełnymi lęku. Chociaż nigdy o tym nie rozmawialiśmy, tamten moment odmienił nas na zawsze. To małeńkie niemowlę, tak drobne i kruche, mogło się wydawać bardziej podatne na zranienie i wrażliwsze niż my. Prawda jest jednak taka, że to w nas obnażyło nową słabość, podatność na cierpienie i ból, którego wcześniej nie było. Nie żyliśmy już tylko dla siebie. Żyliśmy dla niego.

*

Już nie ma psa. Nie ma nikogo, kto wyprowadziłby mnie z lasu. Ostatecznie tym kimś okazuje się własna słabość. Moje wilgotne ubranie nasiąka zimnem i zaczynam dygotać. W ciemności zamykam oczy i odchodzę, wracam do domu i zasypiam.

ROZDZIAŁ 32

DZIEŃ DWUDZIESTY KTÓRYŚ

Nazajutrz rano idę po pocztę. Nie mam ochoty, ale ją odbieram. Po powrocie do domu wchodzę spokojnie do jadalni. Tutaj zawsze odkładam pocztę. Dzisiaj pokój wydaje się obcy, jakbym nigdy wcześniej go nie widział. Obrazy i zdjęcia rodzinne wciąż wiszą tam gdzie przedtem. Siedzę przy stole jadalnym otoczony bordiurą tapety w kwiatki, którą chciałem zerwać, kiedy dzieci były małe. Otaczają mnie zdjęcia Laney i Jake'a. Na jednym widać, jak jedno przy drugim bujają się na huśtawkach. Długie gęste włosy Laney ciągną się za nią jak płomień z silnika raketowego na obrazku w komiksie. Jake jest... uśmiechnięty.

Patrzę na każde zdjęcie wiszące na ścianie po kolei. Nasza jadalnia jest kolażem z ich dzieciństwa, ale moje oczy skupiają się tylko na jednym – na twarzy Jake'a. Uśmiech, uśmiech, uśmiech. No dobra, zmarszczone czoło też się trafia. I wyraz zaskoczenia. Są to zdjęcia, które wybraliśmy z Rachel, przeglądając to, co składowaliśmy w pudełku w gabinecie na górze, a potem zanieśliśmy je do jej ulubionego fotografa, żeby zrobił odbitki. Nowsze z nich pochodzą z laptopa Rachel i wydrukowaliśmy je sami w czerni i bieli (albo w sepii, jeśli akurat mieliśmy artystyczne natchnienie).

Życie jest poniekąd właśnie tym: wybieraniem wspomnień, które chce się oprawić w ramki. Wszyscy mamy jakieś pojęcie o tym, jak powinno wyglądać – składać się z samych radosnych chwil na placach zabaw. Są też chwile mniej przyjemne, które chowamy w pudełku gdzieś w ciemnym kącie naszej psychiki. Wiemy, że istnieją, ale niekoniecznie chcemy chwalić się nimi przed gośćmi, których zapraszamy na obiad.

W tej chwili oprawiam w ramki życie syna. Widzę, jak dobiega do trzeciej bazy, z kaskiem nasuniętym nisko na czoło, zaciśniętymi wargami i wielką determinacją. Jestem tak samo dumny, jakby działo się wszystko tu i teraz. Stoję w piasku i patrzę, jak obmywają go fale, gdy jego ciało jest jednocześnie tak bezbronne i pełne opanowania i gracji. Widzę go zastygniętego w czasie, kiedy w strugach wody wynurza się, żeby upewnić się, że młodszej siostrze nic się nie stało. W duchu, w sercu oprawiam zdjęcie Jake'a z konkursu talentów i wspomnienie, jak wyskakuje wysoko, by zebrać piłkę znad głowy obrońcy.

– Och, Jake – szepczę, uśmiechając się przez łzy.

Moje wspomnienia jak promyki światła przecinają mrok. Rozjaśniają ciemność, ale nikną pod ciężarem tego, czym stało się nasze życie. Ciemność jest paliwem napędzającym powolny upadek, jakim stało się moje życie po strzelaninie.

Nie umiem wznieść się znowu do góry.

Właśnie wtedy dostrzegam fioletową kopertę. Z wahaniem wyciągam po nią rękę, jakbym sprawdzał palcem ostrość noża. Kiedy opuszką palca dotykam grubego papieru, wiem, że jest rzeczywista. To coś niespodziewanego i budzącego lęk.

Palcem wskazującym i kciukiem biorę za róg koperty. Papier jest chłodny w dotyku. Powoli, ostrożnie wysuwam ją spod reszty korespondencji. To list, adres wykaligrafowany szkolnym charakterem pisma młodej dziewczyny. Serce zamiera mi w piersi. Bo list jest zaadresowany do mojego syna.

Czemu? Moja pierwsza myśl jest taka, że ktoś sobie pozwolił na perwersyjny żart. Ale to niemożliwe. Nerwowym, rozpaczliwym szarpnięciem rozrywam kopertę. Ręce mi się trzęsą, gdy wyciągam kartkę wyrwaną z zeszytu, z rzędem poszarpanych ząbków na jednej krawędzi, jakże podobną do tej, na której Jake napisał swój ostatni list. Czytam:

Drogi Jake'u,

mam na imię Jaimie i piszę do Ciebie z Kalifornii. Żałuję, że nie możesz przeczytać tego listu. To takie nie fair. Kiedy dowiedziałam się o Tobie z Internetu i telewizji, jeszcze zanim wszyscy dowiedzieli się, jak wspaniale się zachowałeś, od razu poczułam, że Ciebie zrozumieć. Mam nadzieję, że nie zabrmi to zbyt dziwnie, ale poczułam się tak, jakbym Cię znała. Bo może Ty i ja jesteśmy tacy sami. Bo widzisz, w szkole mało się odzywam. Nie zawsze rozmawiam z ludźmi. Czasami nie rozmawiam z nikim. Moja mama mówi, że taka już jestem. I chyba ma rację. Ale nie wystarczy, że usłyszysz coś od mamy, żebyś od razu w to uwierzył, nie?

To chyba dziwne, że piszę ten list. Gdyby moja mama wiedziała, nigdy, przenigdy nie pozwoliłaby mi go wysłać. I wątpię, żeby kiedykolwiek został przeczytany. Ale wywarłeś wielki wpływ nie tylko na życie tych, których uratowałeś, ale również na mnie, choć mieszkam tak daleko od Ciebie. Czasem ludzie gadają różne przykre rzeczy o nas, małymównych osobach, czy w ogóle o tych, którzy są po prostu inni. Tak właśnie mówili o Tobie. Może teraz, kiedy okazało się, jak bardzo się mylili, dostrzegą, że jeśli ktoś jest inny, nie znaczy, że jest przez to kimś złym. Może zrozumieją, że trzeba człowieka lepiej poznać, zanim zacznie się go oceniać.

Kiedy w życiu przyjdzie mi wybierać łatwą drogę, która jest zła, albo dobrą, która jest trudna, będę myśleć o Tobie i pamiętać o tym, co zrobiłeś dla swoich przyjaciół. Oby wszyscy robili tak samo.

Nigdy o Tobie nie zapomnę,

Jaimie

ROZDZIAŁ 33

DZIEŃ DWUDZIESTY KTÓRYŚ

Nazajutrz rano nie mogę wyrzucić z głowy myśli o tym liście. Nie do końca pewny, co to znaczy, przechadzam się po domu w tę i z powrotem; mój letarg zastąpiła drgająca niespokojna energia. Czuję potrzebę działania.

Nagle jak z eteru materializuje się myśl. Gdy się już uformuje, zaczyna pulsować niczym ameba. Skąd się wzięła, nie pamiętam. Po prostu działam, bez hamulców i bez premedytacji. Za pomocą Safari znajduję to, czego szukam, w miasteczku w Wirginii Zachodniej. Kiedy tam dzwonię i pytam, kobieta po drugiej stronie daje odpowiedź, na którą liczyłem – której byłem dziwnie pewny.

– Został nam jeden. Chłopczyk. Jeśli dotrze pan do nas i odbierze go w przyszłym tygodniu, to będzie pański.

– Przyjadę jutro – mówię.

– To chyba daleka droga?

Wzruszam ramionami, choć wiem, że tego nie widzi.

– Sześć, siedem godzin jazdy.

Kobieta ma wątpliwości.

– Jeśli da pan radę...

– Może pani być pewna.

Biorę prysznic i ubieram się po raz pierwszy w tym tygodniu. Stojąc przed lustrem nad umywalką, wyciągam krem do golenia i maszynkę. Ocieram dłonią zaparowane szkło i widzę swoje odbicie. Kropelki wody zniekształcają obraz, zacierają zmarszczki na mojej twarzy. Z całości wybija się cień zarostu na policzkach. Podoba mi się to, co sobą reprezentuje: zmianę. Odkładam więc maszynkę i krem z powrotem do szafeczki i schodzę na dół, przesuwając dłonią po tygodniowej szczecinie.

Kiedy wreszcie wychodzę z domu, słońce weszło już wysoko i tańczy wśród koron drzew. Krzyżujące się cienie ich pni znaczą podwórze, a z jednego z naszych wypielęgowanych krzewów wylatuje kardynał szkarłatny, by siąść na nagiej gałęzi. Przyglądam mu się, jak siedzi bez ruchu, a soczysta czerwień jego upierzenia kontrastuje z surowością prawie jeszcze zimowych szarości. Mogę na niego patrzeć. Boli, ale mogę się na to zdobyć.

Niespełniony pisarz w mojej głowie żałuje, że dzień nie jest jeszcze wiosenny. Zima oznacza śmierć, koniec cyklu. A ja się tak nie czuję, przynajmniej nie teraz. Czuję raczej nowy początek. Nie jeden z tych, które wywoływałyby ekscytację czy choćby zdenerwowanie. Ten początek jest niepewny, pełen nostalgii

i tęsknoty. Mimo wszystko jednak moja dusza się budzi i myślę, że jutro może zaświtać nowy dzień, a moja wola nabierze sił. Tak samo jak powolnie i boleśnie osuwałem się coraz niżej, tak teraz podnosić się będę w tym samym tempie. To krok w pewnym kierunku. Właściwym czy nie, zdaje się teraz daleko mniej ważne.

Biorę głęboki wdech, wsiadam do samochodu i jadę. Czekają mnie trzy przystanki. Dwóch się boję. Kiedy docieram do pierwszego, parkuję wóz na ulicy i przemierzam podjazd na piechotę. Dzwonię do drzwi i otwiera mi Mary Moore, matka dziewczyny, z którą mój syn poszedł na bal na zakończenie sezonu sportowego. Kiedy mnie widzi, otwiera szeroko oczy. Staram się przywołać na twarz uśmiech, ale wiem, że wygląda na wymuszony. Przechodzę do sedna, zanim zdąży zatrzasnąć mi drzwi przed nosem.

– Tak bardzo mi przykro za to, co zrobiłem. Ja...

– Rozumiem, Simon – przerywa mi.

Pierwszy raz któreś z nas zwróciło się do drugiego po imieniu. Czuję, że ta kobieta jest mi dziwnie bliska, ta, która przeżyła tak jak ja tragedię śmierci dziecka. I myślę, że odczuwamy podobnie.

– Nie wiem, dlaczego to powiedziałem.

Mary Moore kręci głową.

– To ja przepraszam. Nie powinnam była wtedy iść pod wasz dom. Ja po prostu... od tamtego czasu... czuję się, jakbym chodziła we mgle. Jakbym nie miała już po co żyć.

Robię krok do przodu, a ona się śmieje, zbywa mnie machnięciem ręki, gdy próbuję niezdarnie przytulić ją we wspierającym uścisku.

– Nie przejmuj się. Wypłakałam już wszystkie łzy. Przynajmniej na razie.

Kiwam głową.

– Ja też.

Nie pozostało już nic do powiedzenia. Uświadamiam sobie, że nie musiałem niczego mówić, ale gdy idę z powrotem do samochodu, przyznaję, że czuję się trochę lepiej.

Następny przystanek jest znacznie trudniejszy. U drugiej Mary. Sama jazda do tego domu sprawia, że przewraca mi się w żołądku. Mimo to nie daję za wygraną. Tłumię też chęć ucieczki zaraz po tym, gdy zadzwoniłem do drzwi. Przyszedłem powiedzieć Martinom-Kleinom, że to nie ich wina, choć wiem, że będą się za to obwiniać do końca życia. Nie mam złudzeń co do mocy sprawczej moich słów – nie sądzę, by mogły odmienić ich życie. Ale po prostu muszę je wypowiedzieć.

Stoję na schodkach, oblizuję spierzchnięte wargi i czekam. Mijają kolejne sekundy, ale nikt nie otwiera. Kątem oka – jestem tego pewien – spostrzegam ruch firanki w jednym z okien. Kiedy się odwracam, nikogo tam nie ma. Wpatruję się w to okno jeszcze przez chwilę. Potem odchodzę, wiedząc, że już tu nie wrócę.

*

Całą noc jadę do Wirginii Zachodniej. W połowie drogi opuszczam szybę, żeby zimne powietrze nie dało mi zasnąć. Do celu podróży, do miasteczka u podnóża zielonych pagórków, docieram o wpół do szóstej rano. Za wcześnie, żeby komukolwiek składać wizytę. Skręcam więc z szosy i jadę polną drogą na szczyt pagórka. Zatrzymuję się na piaszczystym parkingu, tuż przed aż trzema tablicami dotyczącymi zezwoleń na polowania.

Zagłębiając się w ciemny las. Wysoko nad głową, między majestatycznymi koronami drzew, widzę wycinek ciemnofioletowego nieba. Kilkaset metrów dalej otwiera się przede mną krajobraz. Widzę zaokrąglone szczyty łańcucha górskiego na wschodzie. Zza tych niższych sączy się światło, malując niebo całą paletą barw natury. Siadam na liściastym poszyciu i patrzę na wschód słońca, zupełnie sam.

Musiałem się zdrzemnąć, bo gdy spojrzałem na zegarek, jest dziewiąta czterdzieści trzy. Zrywam się z ziemi i wracam tą samą drogą, którą przyszedłem. Bez problemu znajduję samochód i zjeżdżam ze wzgórza. Docieram do szosy i z pomocą GPS-u trafiam na farmę. Klasyczny płot z trzech poziomych desek na palikach grodzi opadające pola po obu stronach długiego, wijącego się podjazdu. Jadę nim aż przed skromny jednopiętrowy dom kolonialny okolony gankiem, z pięknie pomalowanymi okiennicami. Kiedy otwieram drzwiczki i wysiadam, słyszę szczekanie.

Otwiera mi kobieta, z którą rozmawiałem przez telefon.

– Pan Connolly. Miło mi, że pan do nas dotarł. Mam jeszcze trzech innych zainteresowanych, ale trzymam chłopczyka specjalnie dla pana.

– Bardzo pani dziękuję.

Wprowadza mnie do domu. Przy kuchni jest dobudówka – nie miejsce, gdzie można jadać posiłki, lecz pokój dla szczeniąt. Całość jest odgradzona niskim przepierzeniem. Gdy podchodzę bliżej, widzę, jak u góry podskakuje, a potem znika idealny żółty pyszczek.

– Lubi podskakiwać, taka psia sprężynka.

Zatrzymuję się i obserwuję, jak łeppek szczeniaka to podskakuje, to znika, to podskakuje, to znika. I nie mam najmniejszych wątpliwości.

– Chcę go zabrać do domu.

Kobieta się śmieje.

– Właśnie dlatego pan przyjechał.

Tak naprawdę nie ma pojęcia, dlaczego tu jestem. Ja zresztą też. Po prostu działałem nie ze względu na przeszłość i nie ze względu na przyszłość, tylko ze względu na teraźniejszość. Wyciągam rękę po to, co proste i zwyczajne, i modlę się, żeby dobrze chwycić.

ROZDZIAŁ 34

MÓJ OSTATNI ROZDZIAŁ

Minął jeszcze tydzień, zanim zajechałem przed dom nad oceanem. Widzę mamę Rachel, jak zamiata ganek od frontu. Chwilę później, zbudzony brakiem ruchu, dostrzega ją też ktoś inny. Mały żółty ogon zaczyna merdać jak szalony.

– W porządku, Bub. Dobrze się spisałeś.

Szczeniak stoi teraz na fotelu pasażera z przednimi łapami na brzegu okna i czarnym nosem maluje mokre ślady na szybie, popiskując. Mam go dopiero od kilku dni, ale już widzę wspaniałego psa, na którego wyrośnie. Jest w jego oczach coś, co każe się domyślać ludzkiej duszy ukrytej gdzieś w środku.

Mama Rachel nie kryje zdumienia. Pomimo niespotykanie ciepłej jak na początek grudnia pogody ma na sobie wiatrówkę z ciepłą podpinką i wełnianą czapkę. Jej włosy, siwe teraz, lecz wciąż ze śladami dawnego blondu, tańczą na wietrze. Słońce oświetla jej twarz, pełną rezerwy i niepewności.

– Cześć, babcia – mówię.

Szczeniak, mój nowy szczeniak, ciągnie za smycz. Mój biszkoptowy labrador z rodowodem.

Babcia stwierdza oczywistość.

– Masz psa.

Kiwam głową.

– Rachel i Laney są w domu?

Odkłada miotłę i idzie w moją stronę. Spodziewam się lekkiego dreszczu niepewności, jakbym mógł się okazać nieprzewidywalny czy wręcz niebezpieczny. Przypuszczam, że szczeniak dodatkowo uwiarygodnia ten obraz. Ona jednak bierze mnie w objęcia, podczas gdy pies podskakuje przy jej nogach.

– Są na plaży. Spacerują.

– Dzięki – mówię. – Chodź, mały.

Odwracam się i idę podjazdem w stronę ulicy.

– Simon – woła za mną teściowa. – Bądź wobec nich ostrożny.

Jej słowa wywołują smutek. Ale wiem, co ma na myśli. Muszę być wobec nich ostrożny i teraz, i zawsze. Tak jak one wobec mnie. Taki już nasz los.

Szczeniak ma nosa do oceanu. Ciągnie mnie w dobrą stronę. W ciszy słyszę już szum fal. Czuję motylki w brzuchu.

Wspinam się na szczyt wydmy i widzę ocean, a także je obie – Laney i Rachel. Stoją nad spienioną wodą, córka wtulona w matkę. Już z oddali wyczuwam ich tęsknotę, jakby czekały, że na horyzoncie pojawi się jakiś cud.

Nie podchodzę do nich od razu. Najpierw chłonę ten widok, aż zapadnie mi głęboko w duszę. Wreszcie ruszam przed siebie. Nie sam z siebie – pies mnie ciągnie. Musi się przywitać z tymi dwiema nieznanymi. Piszczy i szczeka skamłaco. Laney słyszy go mimo huczących fal. Odwraca się, wpatrzona tylko w szczeniaka jak z obrazka. Robi kilka kroków w moją stronę i dopiero wtedy orientuje się, kim jestem. Podnosi wzrok, widzi mnie i nie zwalnia, lecz przyspiesza kroku. Podbiega do mnie, a ja biorę ją w ramiona i podnoszę, upuszczając psią smycz. Szczeniak tańczy u naszych stóp, gdy tulę córkę tak mocno, żeby nawet powietrze nie mogło nas rozdzielić.

– Kocham cię, fistaszku.

– Och, tatusiu, nie odchodź.

Zatyka mnie.

– Nie odejdę. Tak mi przykro.

– Ciii.

Laney skupia uwagę na szczeniaku. Daję jej smycz, a ona od razu odpina ją od obroży. Pies biegnie swobodnie, z Laney przy boku. Kopia w piasku i dziwią się krzykom mew kłócących się o kraba. Patrząc na nich i się uśmiecham.

Rachel do mnie nie podchodzi. Kiedy na nią spoglądam, unosi brwi, jakby pytała, co mnie tu sprowadza. Idę do niej. Rozmawiamy. Nie patrzymy sobie w twarz, tylko na córkę bawiącą się ze swoim nowym psem.

– Szczeniak?

Wzruszam ramionami.

– Sam nie wiem. Wziąłem telefon, chciałem zadzwonić... podjąłem decyzję i zacząłem szukać hodowców. Potem tak jakby samo się potoczyło.

Rachel się śmieje.

– To nie w twoim stylu, Simon.

– No, wiem.

Wygląda na zaniepokojoną, gdy pyta:

– Jak się wabi?

Potrząsam głową, jakbym zapewniał, że ta myśl, jej główne zmartwienie, nie przyszła mi nawet do głowy.

– Bubba.

Znowu się śmieje.

Przez chwilę nic nie mówimy. Kiedy ponownie się odzywam, trudno mi przestać.

– Przepraszam, Rachel. – Ciągnę dalej mimo jej protestów. – Pozwól, że to powiem. Przepraszam za to, że nie umiałem nigdy przestać myśleć. Mam wrażenie, że tak dużo mi umknęło tylko dlatego, że nie umiałem po prostu cieszyć się życiem. Wszystko musiało coś znaczyć, wszystko stawało się jakimś kluczowym momentem kształtującym osobowość naszych dzieci na... zawsze. Zapomniałem,

że każda chwila powinna być wyjątkowa i ważna, z nimi... i z tobą.

Rachel bierze mnie za rękę.

– Jesteś w porządku, Simon. Zawsze byłeś w porządku. Jasne, za bardzo się nad wszystkim zastanawiasz, ale nie ma w tym nic złego. Robisz to, ponieważ taki już jesteś i ponieważ kochasz całym sobą. Wszyscy to wiemy. Nie musisz przeproszać.

– Ale czuję, że za bardzo się o niego martwiłem i przez to nigdy tak naprawdę nie cieszyłem się czasem, który wspólnie spędzaliśmy.

Chociaż chciałbym powiedzieć, że już więcej nie płakaliśmy, było inaczej: płakaliśmy razem.

– Zapominasz o tym, co było dobre – szepcze Rachel. – O Disneylandzie i wszystkich wakacjach tutaj. O tej zabawie, w którą bawiliście się we trójkę nad wodą: siedzieliście, wystawiając się na fale, i gdy fala rozbijała się o was, krzyczeliście razem. – Rachel śmieje się przez łzy.

– O nie – dopowiadam.

– Właśnie: „O nie!”. Pamiętaj o tych rzeczach, okay?

– Postaram się. Chcę pamiętać wszystko.

Oboje zastanawiamy się nad tym zdaniem. Jedyne, czego nie chcemy pamiętać, nie dane nam będzie nigdy zapomnieć. Usiłuję przedrzeć się przez tę myśl, ale Rachel pomaga.

– Wiesz, podoba mi się ta broda.

Uśmiecham się.

– Czuję się z nią bardzo męsko. Ale założę się, że Laney będzie miała zupełnie inne zdanie.

Rachel zagląda mi w oczy.

– Za bardzo cię kocha.

– Poświęcałem jej zbyt mało uwagi. Z Jakiem było łatwiej. Rozumiem, jak to jest być chłopakiem. Czuję, że spędzałem z nią za mało czasu.

– Przesadzasz, dobrze się spisałeś – mówi. – Lepiej niż dobrze. Dałeś jej coś znacznie lepszego. Pokazałeś typ mężczyzny, za jakiego wyjdzie. Mężczyznę, który będzie ją kochał z całego serca. Mężczyznę, który zrobi wszystko, by była bezpieczna. Mężczyznę, który pomoże jej wychować ich wspólne dzieci. Mężczyznę, który będzie ją traktował jak najbardziej wyjątkową dziewczynę na ziemi.

– Jak tego dokonałem?

Ścisnęła moją dłoń.

– Będąc sobą.

Wiem, że przemilcza coś ważnego. Wie tak samo dobrze jak ja, że straciliśmy coś oboje. Myślę, że teraz nie chodzi o nas. Chodzi o siłę i przetrwanie. O życie nie bez, lecz pomimo strachu.

– Wiesz, że bez względu na to, jak szybko byśmy go znaleźli, i tak by nie przeżył. Koroner nam to powiedział.

– Wiem – mówię, choć wątpię, czy kiedykolwiek naprawdę przyjmę to do wiadomości. Nadal będę się obwiniał, ale będę też nadal żył z tym poczuciem winy. – Przepraszam za to, jak się zachowywałem. Rozmawiałem z Mary Moore, mamą Kandice. Przeprosiłem ją. To było niewybaczalne, ale jest mi przykro.

Słyszę, jak córka śmieje się po raz pierwszy od długiego czasu. Kiedy się odwracam, Laney na nas patrzy. Jej oczy są pełne nadziei. Zostawia psiaka, wstaje i podbiega do nas. Rozkłada ramiona i wie, czego chce. Rachel też. Obejmujemy się we troje, stając się jednością, podczas gdy za nami huczy ocean. Słońce oświetla Laney policzek i połyskliwa łza spływa po jej nieskazitelnej młodej skórze. Może to pierwsza łza radości na tym świecie.

Trzymamy się razem w uścisku. Łzy wysychają, a chwila rozciąga się i zbliża do normalności. Szczeniak trąca Laney w łydkę. Moja córka odwraca się z radosnym piskiem i ucieka, gdy pies w zabawie próbuje tarosić jej spodnie u kostek.

Przyglądamy się, jak nasza córka biegnie coraz dalej, i dopiero po jakimś czasie zdaję sobie sprawę, że Rachel i ja nadal się obejmujemy. To dobre uczucie.

Kiedy Rachel znów się odzywa, wracam wspomnieniem do przeszłości, sprzed narodzin Jake'a i Laney. Teraz wspomnienie jest zaprawione goryczą, ale uświadamiam sobie przynajmniej, że było kiedyś też słodkie.

– Myślisz tylko o Jake'u. Za surowo się traktujesz. Opuść sobie wreszcie. Nie spaprałeś Jake'owi życia. Wychowałeś go na tak wspaniałego człowieka, że oddał życie w obronie innych. Ocalił te dzieciaki.

– Rzeczywiście – mówię, spoglądam na ocean, wsłuchując się w śmiech córki. – I nie tylko je.

Rachel przekrzywia głowę.

– Co masz na myśli?

Myślę o Jake'u. Mój syn lubił nosić dłuższe włosy. Uwielbiał grać w futbol z kumplami. Jako starszy brat był bliski ideału i nigdy nie traktował młodszej siostry jako podrzędnej formy życia. Jake kochał swoją rodzinę całym sobą. Bystry i zabawny, może i był trochę nieśmiały. Przede wszystkim jednak zależało mu na ludziach tak, jak powinno zależeć nam wszystkim. Jak przypomniał mi list od Jaimie, Jake może nauczyć czegoś nas wszystkich.

Kiedy odpowiadam, nie płaczę. Ani się nie uśmiecham. Patrzę na Laney.

– Nas też ocalił.

PODZIĘKOWANIA

Michelle... moja najlepsza przyjaciółko, życie ze mną może być ciężkie, ale zawsze popychasz mnie do przodu wtedy, gdy trzeba mnie popchnąć, i rozumiesz, kiedy nie dam rady ruszyć się już ani o milimetr. Kocham Cię.

Mamo i Tato... mieliście własne zmartwienia, tak różne od tych mojego pokolenia, ale wyrastające z tego samego źródła. Na pewno nie było Wam łatwo patrzeć na to, jak pięć razy zmieniam kierunek studiów. Wygląda, że psychologia okazała się najlepsza.

Dziękuję Uniwersytetowi Notre Dame... uczelni pełnej historii, kultury, życia towarzyskiego i inspiracji. Mój pobyt pod skrzydłem tej ogromnej *Alma Mater* zaowocował wspaniałym, choć dziwnym życiem.

Dziękuję pani Long... mojej nauczycielce angielskiego ze szkoły średniej. Jestem pewien, że nigdy Pani tego nie zobaczy, ale jeśli tak się zdarzy, będzie Pani tak zszokowana, jak ja jestem wdzięczny.

Dziękuję Tracy Garozzo... po prostu dlatego, że wiem, jak się ucieszysz, kiedy to zobaczysz. Pomogłaś mi przetrwać jedno z najtrudniejszych doświadczeń mojego życia – okres, zanim moje dzieci poszły do szkoły – dzięki temu, że rozmawiałaś ze mną jak z normalnym człowiekiem, a nie jak z tatą, który został w domu, żeby wychowywać dzieci.

Dziękuję Kari Reardon... pierwszej osobie, która przeczytała tę powieść. Dzięki, że poczułem się jak pisarz lepszy niż w rzeczywistości.

Dziękuję Captain's Catch... pokazaliście mi, że w życiu warto robić coś lepszego niż czyścić pojemniki na śmieci w sklepie rybnym.

Dziękuję Stephanie Kip Rostan... lepszy z Ciebie miotacz niż z Papelbona, bez dwóch zdań. Dzięki, że dostrzegłaś we mnie potencjał i namówiłaś mnie do jego wykorzystania. I dzięki, że tak dobrze mnie rozumiesz.

Dziękuję Lyssie Keusch... za to, że jestem teraz lepszym pisarzem. Nauczyłem się tak dużo w tak krótkim czasie. To wspaniałe, że teraz pracuję już inaczej.

Dziękuję Rebecce Lucash... za całą pomoc w pisaniu. Twój głęboko przemyślany punkt widzenia dał mi wiarę, że ta historia może przemówić nie tylko do rodziców.

HarperCollins... jestem Wam coś winien.

Spis treści

PROLOG	ROZDZIAŁ 1	ROZDZIAŁ 2	ROZDZIAŁ 3	ROZDZIAŁ 4
ROZDZIAŁ 5	ROZDZIAŁ 6	ROZDZIAŁ 7	ROZDZIAŁ 8	ROZDZIAŁ 9
ROZDZIAŁ 10	ROZDZIAŁ 11	ROZDZIAŁ 12	ROZDZIAŁ 13	ROZDZIAŁ 14
ROZDZIAŁ 15	ROZDZIAŁ 16	ROZDZIAŁ 17	ROZDZIAŁ 18	ROZDZIAŁ 19
ROZDZIAŁ 20	ROZDZIAŁ 21	ROZDZIAŁ 22	ROZDZIAŁ 23	ROZDZIAŁ 24
ROZDZIAŁ 25	ROZDZIAŁ 26	ROZDZIAŁ 27	ROZDZIAŁ 28	ROZDZIAŁ 29
ROZDZIAŁ 30	ROZDZIAŁ 31	ROZDZIAŁ 32	ROZDZIAŁ 33	ROZDZIAŁ 34
PODZIĘKOWANIA				

